

AGATHA CHRISTIE
"Spotkanie w Bagdadzie"

przełożyła: Anna Mencwel

Rozdział pierwszy

I

Kapitan Crosbie wyszedł z banku wyraźnie zadowolony; jak człowiek, który realizując czek, przekonał się, że ma na koncie więcej, niż się spodziewał.

Kapitan Crosbie często sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Taki już był. Niewysoki, krępy, z różową twarzą i nastroszonym wojskowym wąsikiem. Krok miał godny, ubierał się może zbyt krzykliwie. Gawędziarz, lubiany w towarzystwie. Kawaler o pogodnym, miłym usposobieniu, ot, zwykły, niczym niewyróżniający się mężczyzna. Setki takich jak Crosbie można spotkać na Wschodzie.

Wyszedł na ulicę Bankową, gdzie, jak sama nazwa wskazuje, mieściła się większość tutejszych banków. W chłodnym gmachu banku panował półmrok i zalaływoło stęchlizną. Na zapleczu terkotały maszyny do pisania zagłuszające inne dźwięki.

Na ulicy Bankowej w ostrym słońcu wirował kurz, panował nieopisany harmider. Samochody trąbiły wściekle, przekupnie przekrzykiwali się jak szaleni. Gdzieś w małych grupkach toczyły się zacięte spory ludzi sprawiających wrażenie, jakby chcieli skoczyć sobie do gardła, a naprawdę będących za pan brat. Mężczyźni i chłopcy z tacami przemykali ulicą, sprzedając wszelkiego rodzaju towary: prawidła, cukierki, pomarańcze, banany, ręczniki, grzebienie, żyletki i Bóg wie co jeszcze. Co chwila ktoś kaszłał i spluwał. Nad tym wszystkim unosiło się wysokie, smętne zawodzenie mężczyzn prowadzących osły i konie, którzy przepychali się przez strumień pojazdów i przechodniów nawołując: "Balek, balek!".

Była jedenasta rano w Bagdadzie.

Kapitan Crosbie zatrzymał chłopaczka pędzącego ze stertą gazet i kupił jakiś dziennik. Z ulicy Bankowej skręcił w ulicę Raszida, główną arterię miasta, ciągnącą się prawie cztery mile wzdłuż rzeki Tygrys.

Rzucił okiem na nagłówki, wsunął gazetę pod pachę, przeszedł jakieś dwieście metrów, po czym zboczył w małą uliczkę wiodącą na rozległy chan. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowały się drzwi z mosiężną tabliczką. Crosbie wszedł do środka i znalazł się w jakimś biurze.

Schludny iracki urzędnik przerwał pisanie na maszynie i wyszedł mu z uśmiechem naprzeciw.

- Witam, panie kapitanie. Czym mogę służyć?

- Pan Dakin jest u siebie? Dobrze, pójdę do niego.

Wszedł na górę po spadzistych schodach i znalazł się w brudnym korytarzu. Podeszedł do drzwi znajdujących się na końcu, zapukał.

- Proszę - usłyszał w odpowiedzi.

Crosbie wszedł do pokoju. Było to wysokie pomieszczenie, skromnie umeblowane. Piec olejowy, na nim spodek z wodą, długa niska kanapa, przed nią stoliczek, dalej duże zniszczone biurko. Starannie zasłonięte okna nie wpuszczały dziennego światła, wewnątrz oświetlała lampa. Za zniszczonym biurkiem siedział nie mniej zaniedbany mężczyzna o niezdecydowanej, znużonej twarzy człowieka, który wie, że nie radzi sobie z życiem, i machnął na wszystko ręką. Obaj mężczyźni, pogodny, pewny siebie Crosbie i smętny, znużony Dakin, zmierzili się wzrokiem.

- Witam, Crosbie - powiedział Dakin. - Wrócił pan z Kirkuku?

Tamten skinął głową. Starannie zamknął za sobą drzwi. Te odrapane drzwi, z których zlaźła farba, miały jedną nieoczekiwaną zaletę: były doskonale dopasowane, bez najmniejszej szczeliny na dole.

Dźwiękoszczelne.

Kiedy się zamknęły, zachowanie obu mężczyzn uległo pewnej zmianie. Kapitan Crosbie stał się mniej energiczny i pewny siebie. Dakin zaś mniej się garbił i nie wyglądał już tak niezdecydowanie. Gdyby ktoś przysłuchiwał się ich rozmowie, byłby zdziwiony, że to Dakin jest zwierchnikiem.

- Coś nowego, sir? - spytał Crosbie.

- Tak - westchnął Dakin. Miał przed sobą jakiś papier. Wskazał na dwa inne listy i powiedział:

- To się odbędzie w Bagdadzie.

Następnie zapalił zapałkę, przyłożył ogień do papieru i przyglądał się, jak płonie. Kiedy papier się zwęglił, dmuchnął ostrożnie i popiół rozprószył się wokół.

- Tak - powtórzył. - Wyznaczono Bagdad. Na dwudziestego w przyszłym miesiącu. Mamy "zachować ścisłą tajność".

- Na suku mówi się o tym już od trzech dni - stwierdził sucho Crosbie.

Przez twarz wysokiego mężczyzny przemknął charakterystyczny dla niego znużony uśmiech.

- Ścisłe tajne! Nie ma rzeczy ściśle tajnych na Wschodzie, nieprawdaż, Crosbie?

- Nie ma, sir. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to nigdzie nie ma rzeczy ściśle tajnych. W czasie wojny fryzjer w Londynie wiedział często więcej od naczelnego dowództwa.

- To nie ma takiego znaczenia w tej sprawie. Jeśli spotkanie ma się odbyć w Bagdadzie, to wkrótce trzeba to podać do wiadomości publicznej. I wtedy dopiero się zacznie, zwłaszcza dla nas.

- Myśli pan, że w ogóle do tego dojdzie? - spytał Crosbie sceptycznie. - Czy wujek Joe - to pozbawione respektu określenie odnosiło się do przywódcy wielkiego mocarstwa europejskiego - rzeczywiście zamierza przyjechać?

- Chyba tym razem tak, Crosbie - powiedział Dakin z namysłem. - Tak, chyba tak. I jeśli spotkanie przebiegnie... przebiegnie bez zakłóceń... cóż, to mogłoby być ratunkiem dla... wszystkiego. Jeśli tylko można osiągnąć porozumienie... - urwał.

Twarz Crosbiego wciąż wyrażała sceptycyzm.

- Czy... proszę mi wybaczyć, sir, czy to w ogóle możliwe?

- W takim sensie, jak pan to rozumie, Crosbie, zapewne nie! Jeśli chodziłoby tylko o zbliżenie dwóch ludzi reprezentujących całkowicie odmienne ideologie, prawdopodobnie cała sprawa skończyłaby się tak jak zwykle: jeszcze większą nieufnością, jeszcze większym antagonizmem. Ale jest trzeci element. Jeśli ta niesamowita opowieść Carmichaela jest prawdziwa...

Nie dokończył zdania.

- Nie wierzę w nią, sir. Jest stanowczo zbyt niesamowita!

Dakin milczał przez chwilę. Widział wyraźnie szczerą, zatroskaną twarz, słyszał cichy, bezbarwny głos, opowiadający niemieszczącą się w głowie historię. I pomyślał dokładnie tak jak wtedy: "Albo mój najlepszy, najbardziej godny zaufania człowiek zwariował, albo to wszystko prawda...".

Po chwili odezwał się tym samym cichym, melancholijnym głosem:

- Carmichael wierzył w to. Jego odkrycia potwierdziły przypuszczenia. Chciał tam jechać, żeby znaleźć coś więcej, mieć dowody. Nie wiem, czy to było rozsądne z mojej strony, ale go puściłem. Jeżeli nie wróci, zostanie tylko moja wersja relacji Carmichaela, która z kolei jest wersją tego, co ktoś jemu opowiedział. Czy to wystarczy? Bardzo wątpię. Jest to, jak sam pan mówi, tak niesamowita historia... Ale jeśli Carmichael we własnej osobie znajdzie się tutaj, w Bagdadzie, dwudziestego, i opowie swą własną wersję, jako naoczny świadek, i przedstawi dowody...

- Dowody? - przerwał gwałtownie Crosbie. Dakin skinął głową.

- Tak, ma dowody.

- Skąd pan wie?

- Szyfr. Wiadomość dotarła przez Salah Hassana. I zacytował starannie: "Biały wielbłąd z ładunkiem owsa przechodzi przez przełęcz".

Urwał i po chwili mówił dalej:

- A więc Carmichael zdobył to, po co pojechał, ale podejrzewano go od samego początku. Są na jego tropie. Pójdą za nim wszędzie i, co o wiele niebezpieczniejsze, będą na niego czekać, tutaj. Najpierw na granicy. A jeśli przejdzie granicę, wtedy kordon otoczy ambasady i konsulaty. Niech pan posłucha.

Poszperał w papierach na biurku i przeczytał na głos:

- Anglik podróżujący samochodem z Persji do Iraku zastrzelony, prawdopodobnie napad bandycki. Kupiec kurdyjski powracający z gór schwyty w zasadzkę, zabity. Inny Kurd, Abdul Hassan, podejrzany o przemyt papierosów, zastrzelony przez policję. Zwłoki mężczyzny, zidentyfikowane później jako armeńskiego kierowcy ciężarówek, znalezione na szosie Rowanduz. Wszyscy, niech pan zauważy, mają podobny rysopis. Wzrost, waga, włosy, budowa pasują do Carmichaela. Oni nie zdają się na los. Szukają go. Kiedy znajdzie się w Iraku, niebezpieczeństwo będzie jeszcze większe. Ogrodnik w ambasadzie, służący w konsulacie, urzędnik na lotnisku, cle, stacji kolejowej... hotele pod obserwacją... Kordon, i to zwarty.

Crosbie uniósł brwi.

- Sądzi pan, że to ma aż taki zasięg?

- Nie ma żadnych złudzeń. Nawet u nas są przecieki. I to jest najgorsze. Skąd mam mieć pewność, że nasz plan ściągnięcia bezpiecznie Carmichaela do Iraku nie jest już w ręku nieprzyjaciela? Zna pan przecież podstawową zasadę: mieć swojego człowieka w obozie przeciwnika.

- Czy jest ktoś... kogo pan podejrzewa? Dakin powoli pokręcił głową. Crosbie westchnął.

- A tymczasem - spytał - gramy dalej?

- Tak.

- A co z Croftonem Lee?

- Ma przyjechać do Bagdadu.

- Wszyscy przyjeżdżają do Bagdadu - powiedział Crosbie. - Nawet wujek Joe, pańskim zdaniem, sir. Ale jeżeli

cokolwiek stanie się prezydentowi w czasie jego pobytu tutaj, bomba pójdzie w górę z całym impetem.

- Nic się nie może stać - odparł Dakin. - To należy do nas. Dopilnować, żeby nic się nie stało.

Kiedy Crosbie wyszedł, Dakin wciąż jeszcze siedział pochylony nad biurkiem. Wymamrotał pod nosem:

- Przyjeżdżają do Bagdadu...

Na bibule narysował koło, pod nim napisał: "Bagdad", potem w różnych punktach naszkicował wielbłąda, samolot, parowiec, małą dymiącą lokomotywę - zbiegające się na okręgu. Następnie w rogu narysował pajęczynę. W środku pajęczyny napisał: "Anna Scheele". Pod spodem postawił wielki znak zapytania.

Po czym wziął kapelusz i wyszedł z biura. Na ulicy Raszida ktoś pokazał na niego i zapytał, co to za jeden.

- Ten? Och, to Dakin. Z koncernu naftowego. Fajny facet, ale nic mu się nie udaje. Oferma. Podobno pije. Tacy jak on nigdy do niczego nie dojdą. W tej części świata, żeby coś osiągnąć, trzeba mieć ikrę.

Rozdział drugi

I

Victoria Jones siedziała na ławce w Fitzjames Gardens. Była całkowicie pochłonięta rozmyślaniami, a właściwie moralizowaniem; rozstrzygała bowiem kwestię, jakie straty może ponieść człowiek, jeśli wykorzysta swój talent w nieodpowiednim momencie.

Victoria, tak jak większość ludzi, miała zalety i wady. Jej dobre strony to wielkoduszość, dobre serce i odwaga. Miała w sobie naturalną skłonność do ryzyka, co może być uznane za zaletę lub wadę, zależnie od punktu widzenia; nasz wiek na przykład ceni sobie wysoko takie wartości jak spokój i bezpieczeństwo. Zasadniczą jej wadą była skłonność do kłamstw w każdej dosłownie sytuacji. Nie mogła oprzeć się urojeniom i przedkładała je zawsze nad rzeczywistość. W kłamstwie wykazywała płynność, łatwość i artystyczny wręcz zapał. Jeśli spóźniała się na spotkanie (co często miało miejsce), nie zadowalała się wybąkaniem jakiejś wymówki w rodzaju: "stanął mi zegarek" (co się zdarzało) albo "nie mogłam się doczekać autobusu". Woląла wdać się w kłamliwe wyjaśnienia, że słoń zbiegł z zoo i zatarasował jezdnię albo że była świadkiem przerażającego włamania do sklepu i pomagała policji. Dla Victorii świat, w którym tygrysy czaiłyby się na Strandzie, a niebezpieczni bandyci szaleliby na Tooting, byłby naprawdę wspaniały.

Była smukłą dziewczyną o wdzięcznej postaci i świetnych nogach. Twarz miała szczerą, rysy drobne i czyste. Była w niej jednak pewna przewrotność. Ta "buźka z gumy" - jak nazwał ją jeden z wielbicieli - umiała na zawołanie wykrzywić twarz i zdumiewająco przedrzeźniać każdego.

I ten właśnie talent wpędził Victorię w obecne tarapaty. Zatrudniona jako maszynistka u pana Greenholtza w firmie Greenholtz, Simmons and Lederbetter na Graysholme Street, W. C.2, Victoria zabijała poranną nudę, zabawiając trzy inne maszynistki i gońca przedstawianiem pani Greenholtz odwiedzającej męża w biurze. Czuła się bezpiecznie, przekonana, że pan Greenholtz udał się do swych agentów, i dawała upust fantazji.

- Dlaczego nie zgadzasz się na tę kozetkę Knole'a, tatuśku? - mówiła Victoria wysokim płaczącym głosem. - Pani Dievtakis kupiła sobie stalowoniebieską. Twierdzisz, że nas nie stać? W takim razie dlaczego zapraszasz tę blondynkę na kolację i dansingi, co? Myślisz, że nie wiem? Ale jak ty chodzisz z blondyną, to ja będę miała kozetkę i wszystko w śliwkowym kolorze, i złote poduszki. A kiedy mówisz, że idziesz na służbową kolację, robisz z siebie durmia... tak... i wracasz ze szminką na koszuli. Więc będę miała kozetkę Knole'a i zamówię sobie futrzaną pelerynkę... przepiękną pelerynkę... zupełnie jak z norek, ale nie prawdziwe norki, i kupię ją bardzo tanio, świetny zakup...

Nagły spadek zainteresowania publiczności, która początkowo siedziała jak w transie, a teraz, jak zmówiona, szybko podjęła pracę, kazał Victorii przerwać przedstawienie. Ujrzała pana Greenholtza, który stał w drzwiach z wbitym w nią wzrokiem.

Victoria, której nic innego nie przyszło do głowy, krzyknęła tylko: "Och!".

Pan Greenholtz chrząknął.

Zrzucił płaszcz, skierował się do swego gabinetu i trzasnął drzwiami. Prawie natychmiast rozległ się dzwonek, dwa krótkie i jeden długi sygnał - wzywał Victorię.

- To po ciebie, Jones - zauważyła niedbale koleżanka Victorii z błyskiem radości w oku, która zwykle towarzyszy niepowodzeniom bliźniego. Pozostałe maszynistki dzieliły to uczucie wykrzykując: "Dostanie ci się, Jones" i "Będą kłopoty, Jones". Wstrętny goniec przejechał tylko palcem po gardle i wydał ponury jęk.

Victoria wzięła notes, ołówek i pomknęła do pana Greenholtza, zbierając po drodze resztki pewności siebie.

- Pan mnie wzywał? - bąknęła, patrząc na niego niewinnie.

Pan Greenholtz miętosił trzyfuntowe banknoty i szukał po kieszeniach drobnych.

- A, jest pani - zauważył. - Mam pani dość, młoda damo. Co pani na to, żeby wypłacił pani tygodniowe pobory i wyrzucił panią, tak jak pani stoi, bez wymówienia?

Victoria (która była sierotą) już otworzyła usta, by wytłumaczyć, jak to krytyczny stan matki przechodzącej ciężką operację doprowadził ją do ogłupienia i jak to ze swojej skromnej pensji musi utrzymać rodzinę, ale spotkawszy nieprzyjemne spojrzenie pana Greenholtza, zmieniła zamiar i zamknęła usta.

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparła miłym, ciepłym głosem. - Ma pan zupełną rację.

Pan Greenholtz wyraźnie osłupiał. Nie był przyzwyczajony, by jego zwolnienia z pracy przyjmowano z takim entuzjazmem i zrozumieniem. By ukryć lekkie zmieszanie, przebierał w monetach leżących na biurku. Znowu zaczął szperać po kieszeniach.

- Brakuje dziewięciu pensów - zauważył ponuro.

- Drobiazg - rzekła uprzejmie Victoria. - Będzie pan miał na kino albo na cukierki.

- Chyba też nie mam żadnych znaczków.

- Nie szkodzi. Nie piszę listów.

- Mógłbym pani dostać - stwierdził pan Greenholtz bez przekonania.

- Proszę się nie kłopotać. A co z referencjami? Pan Greenholtz znów zawrzał gniewem.

- Dlaczego, u diabła, miałbym dawać pani referencje? - zapytał z wściekłością.

- Taki jest obyczaj - odparła Victoria. Pan Greenholtz przysunął do siebie kartkę i nagryzmołił parę słów. Cisnął jej kartkę.

- To pani wystarczy?

"Panna Jones pracowała w mojej firmie przez dwa miesiące jako stenotypistka. Stenografuje niedokładnie i robi błędy. Została zwolniona z powodu trwonienia czasu".

Victoria skrzywiła się.

- Trudno to nazwać rekomendacją - zauważyła.

- Bo też i nie miała to być rekomendacja.

- Powinien pan co najmniej stwierdzić - powiedziała Victoria - że jestem uczciwa, rozsądna i że można na mnie polegać. Bo tak jest. Mógłby pan jeszcze dodać, że jestem dyskretna.

- Dyskretna? - zakrzyknął pan Greenholtz.

Wytrzymała jego spojrzenie z niewinną miną.

Mając w pamięci rozmaite listy pisane przez Victorię, pan Greenholtz doszedł do wniosku, że nawet człowiek głęboko urażony musi zachować przezorność.

Sięgnął po kartkę, podarł ją i sporządził nowe pisemko.

"Panna Jones pracowała w mojej firmie przez dwa miesiące jako stenotypistka. Została zwolniona z powodu redukcji personelu".

- A teraz?

- Mogło być lepiej - powiedziała Victoria. - Ale ujdzie.

Oto dłaczego Victoria, zaopatrzona w tygodniową pensję (bez dziewięciu pensów), siedziała, rozmyślając, na ławce w Fitzjames Gardens. Był to trójkątny plac, na którym posadzono byle jakie krzaki wokół kościoła i nad którym górował jakiś wielki magazyn.

Victoria zazwyczaj (jeśli nie padało) kupowała sobie w barze jedną kanapkę z serem i jedną z sałatą i pomidorem, po czym zjadała swój niewyszukany lunch w tej niby--wiejskiej scenerii.

Tego dnia, przeżuwanie w zamyśleniu kanapki, mówiła sobie, zresztą nie po raz pierwszy, że wszystko należy robić w odpowiednim czasie i miejscu, a biuro zdecydowanie nie jest odpowiednim miejscem na przedrzeźnianie żony szefa. W przyszłości musi okiełznać swą wybujałą fantazję; co za licho podkusiło ją, by popisywać się w nudnym biurze? W każdym razie uwolniła się od firmy Greenholtz, Simmons and Lederbetter, a perspektywa otrzymania zajęcia w innym miejscu napełniała ją miłym uczuciem oczekiwania. Victoria zawsze była wniebowzięta, kiedy miała podjąć nową pracę. Nigdy nie wiadomo - myślała sobie - co się człowiekowi przydarzy.

Kiedy wyrzuciła resztki chleba trzem czatującym wróblom, które natychmiast zaczęły gwałtownie wrywać sobie okruszyny, zdała sobie nagle sprawę, że na drugim końcu ławki siedzi jakiś chłopak. Zauważyła go już wcześniej kątem oka, ale mając zajęta głowę świetnymi planami na przyszłość, nie przyjrzała mu się dokładnie. To, co widziała teraz (zezując z boku), bardzo jej się podobało. Był to przystojny chłopak, z jasnymi włosami niczym cherubin, silnie zarysowaną brodą i niezwykle błękitnymi oczami, które, jak się jej zdawało, wpatrywały się w nią od jakiegoś czasu z ukrytym podziwem.

Victoria nie miała żadnych zastrzeżeń do zawierania znajomości w miejscach publicznych. Uważała się za doskonałą znawczynię ludzi, potrafiącą odróżnić wszelkie objawy zuchwałości ze strony nieżonatych mężczyzn.

Uśmiechnęła się szeroko, a chłopak odpowiedział na jej uśmiech jak pociągnięta za sznurek marionetka.

- Dzień dobry - odezwał się. - Ładnie tutaj. Często tu przychodzisz?

- Właściwie codziennie.

- Co za pech, że nigdy przedtem tu nie zaszedłem. To był twój lunch?

-Tak.

- Za mało jesz. Umarłbym z głodu po marnych dwóch kanapkach. A gdybyśmy tak poszli na kielbasę do baru na Tottenham Court Road?

- Nie, dziękuję. Najadłam się. Nie mogłabym już nic przełknąć.

Oczekiwała, że powie: "Może innym razem", ale nie powiedział. Westchnął tylko i dodał:

- Mam na imię Edward, a ty?

- Victoria.

- Na cześć dworca kolejowego?

- Victoria nie jest tylko nazwą dworca - sprostowała. - Jest jeszcze królowa Victoria.

- No tak. Jak masz na nazwisko?

- Jones.

- Victoria Jones - powiedział Edward, sprawdzając, jak to brzmi. Pokręcił głową. - Nie pasuje mi.

- Masz rację - powiedziała żywo Victoria. - Gdybym miała na imię Jenny, brzmiałoby fajnie: Jenny Jones. Ale Victoria wymaga czegoś z większą klasą. Na przykład Victoria Sackville-West. Coś takiego. To musi wibrować w ustach.

- Można coś docześcić do nazwiska Jones - stwierdził Edward pocieszająco.

- Bedford Jones.

- Carisbrooke Jones.

- St. Clair Jones.

- Lonsdale Jones.

Edward przerwał tę miłą zabawę, spoglądając na zegarek i wydając okrzyk zgrozy.

- Muszę lecieć do mojego przeklętego szefa... a ty?

- Jestem bez pracy. Dzisiaj wyleciałam.

- Och, to okropne - powiedział Edward z prawdziwą troską.

- Zaoszczędź sobie współczucia, bo wcale się nie martwię. Po pierwsze, bez problemu znajdę coś innego, a po drugie, nieźle się uśmiełam.

I Victoria zatrzymała jeszcze trochę Edwarda, relacjonując barwnie, ku jego wielkiemu ubawieniu, poranną scenę w biurze i odgrywając ponownie panią Greenholtz.

- Jesteś naprawdę cudowna, Victorio - powiedział. - Powinnaś grać na scenie.

Przyjęła komplement z pełnym zadowolenia uśmiechem i zauważyła, że Edward musi lecieć, bo inaczej i jego wyleją.

- Tak, a ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie znajdę tak łatwo innej pracy. Być dobrą stenotypistką, to jest coś! - stwierdził Edward z zazdrością w głosie.

- Tak naprawdę to wcale nie jestem dobrą stenotypistką - przyznała szczerze Victoria. - Ale na szczęście dzisiaj nawet najbardziej kiepska stenotypistka znajdzie sobie jaką taką pracę, w każdym razie w szkolnictwie czy towarzystwie dobroczynnym, nie mogą przyzwoicie zapłacić, więc biorą takie jak ja. Najbardziej mi odpowiada praca w jakimś towarzystwie naukowym. Te wszystkie naukowe nazwy i określenia są tak straszne, że jeśli człowiek nie wie, jak je napisać, to żaden wstyd, bo nikt tego nie potrafi. A co ty robisz? Chyba jesteś po służbie wojskowej. Służyłeś w RAF-ie?

- Zgadłś.

- Jako pilot bojowy?

- Znow zgadłś. Są w stosunku do nas bardzo przyzwoici, starają się nam znaleźć pracę i tak dalej, ale, widzisz, cały kłopot w tym, że inteligencja nie jest naszą mocną stroną. W RAF-ie to niepotrzebne. Posadzili mnie za biurkiem, z kupą papierków i cyfr, i jeszcze kazali mi myśleć, a ja po prostu odpadłem. To wszystko zresztą nie miało żadnego sensu. Ale tak to jest. Głupio ci, kiedy widzisz, że jesteś absolutnie do niczego.

Victoria pokiwała głową ze współczuciem. Edward mówił dalej z goryczą:

- Ludzie na marginesie. Wyłączeni. W czasie wojny było wszystko w porządku... spisywaliśmy się nieźle... ja na przykład dostałem odznaczenie DFC... ale teraz... równie dobrze mógłbym nie istnieć.

- Musi przecież być...

Nie dokończyła. Nie potrafiła wyrazić słowami swego przekonania, że dla przymiotów przynoszących kiedyś odznaczenia powinno znaleźć się jakieś miejsce w świecie lat pięćdziesiątych.

- To mnie trochę przybiło - powiedział Edward. - Fakt, że się do niczego nie nadaję. No, muszę lecieć... ale... czy byłabyś zła... czy nie uznasz tego za bezczelność... gdybym...

Victoria szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, gdy Edward, jękając się i czerwieniejąc, wskazywał na aparat fotograficzny.

- Tak bardzo chciałbym mieć twoje zdjęcie. Widzisz, jutro jadę do Bagdadu.

- Do Bagdadu? - zawołała Victoria z wyraźnym rozczarowaniem.

- Tak. Naprawdę wolałbym nie jechać... teraz. Jeszcze dziś rano byłem szczęśliwy... Znalazłem sobie tę pracę... żeby

się stąd ulotnić.

- Co to za praca?

- Dość okropna. Kultura... poezja, tego rodzaju rzeczy.

Moim szefem jest doktor Rathbone; medale, wyróżnienia; chodzące uduchowanie; patrzy na ciebie przez pincenez. Jego pasją jest wzlot duchowy, rozpowszechnia po świecie te swoje ideały. Otwiera księgarnie na końcu świata - teraz w Bagdadzie. Ma tłumaczenia dzieł Szekspira i Milтона na arabski, kurdyjski, perski i armeński, wszystko pod ręką. To głupota, moim zdaniem, bo British Council wszędzie robi dokładnie to samo. No, ale tak już jest. Żyję z tego, więc nie powinienem narzekać.

- Co ty właściwie robisz?

- Na dobrą sprawę, jestem chłopcem do wszystkiego. Kupuję bilety, wypełniam kwestionariusze paszportowe, sprawdzam paczki z tymi okropnymi dziełkami poetyckimi, biegam tu, tam i siam. A kiedy już jesteśmy na miejscu, moim zadaniem jest bratać ze sobą, to jeden z chlubnych celów młodzieży, ludzi wszystkich narodów, by w jedności wznosili się na wyżyny ducha... - Edward stawał się coraz bardziej melancholijny.

- Prawdę mówiąc, to wszystko jest dość upiorne. Victoria nie była w stanie dodać mu otuchy.

- Sama widzisz - powiedział Edward. - Jeśli nie masz mi za złe... jedno z profilu i jedno enface... ach... wspaniale...

Rozległy się dwa pstryknięcia i Victoria chętnie zamruczała jak kotka z zadowolenia, jak każda młoda kobieta, która wie, że zrobiła wrażenie na atrakcyjnym przedstawicielu odmiennej płci.

- To naprawdę okropne, że muszę wyjechać akurat teraz, kiedy poznałem ciebie - powiedział Edward. - Korci mnie, żeby machnąć na to ręką... ale chyba nie mogę... tak w ostatniej chwili... po tych wszystkich obrzydliwych formularzach i wizach, i w ogóle. To nie byłoby najlepsze zagranie.

- Może nie będzie tak źle, jak myślisz - pocieszyła go Victoria.

- No, nie wiem - rzekł z powątpiewaniem Edward.

- Wiesz, to zabawne - dodał - ale mam uczucie, że coś tu gdzieś nie gra.

- Nie gra?

- Jakby było coś nieuczciwego. Nie wiem, dlaczego tak mi się wydaje. Nie mam żadnych podstaw. Po prostu takie odczucie, to się zdarza. Kiedyś miałem podobną historię z pojemnikiem paliwa. Więc zacząłem przeglądać całe to piekielne urządzenie i okazało się, że pierścień się zaklinował w zapasowej pompie.

Victoria nic nie zrozumiała z tych technicznych szczegółów, ale podjęła myśl przewodnią.

- Uważasz, że on jest oszustem... ten Rathbone?

- To mi się w głowie nie mieści. Człowiek tak niesamowicie przyzwoity i wykształcony, i należący do tych wszystkich towarzystw, za pan brat z różnymi biskupami i dyrektorami szkół. Nie. Mam tylko takie odczucie... zresztą czas pokaże. No, to na razie! Szkoda, że nie jedziesz ze mną.

- Szkoda - westchnęła.

- Jakie masz plany?

- Pójdę do agencji St. Guildric na Gower Street i poszukam pracy.

- Do widzenia, Victorio. Partir, c'est mourir un peu - dodał Edward z mocnym brytyjskim akcentem. - Te francuskie fireyki znają się na rzeczy. Nasi tylko plotą bzdury, że rozstania są rozkosznym cierpieniem, głupie osły.

- Do widzenia Edwardzie. Powodzenia!

- Założę się, że już nigdy o mnie nie pomyślisz.

- A może się mylisz...

- Jesteś zupełnie inna od wszystkich dziewczyn, które znałem. Chciałbym tylko... - Zegar wybił kolejny kwadrans i Edward zawołał: - O rety... muszę lecieć...

Ulotnił się błyskawicznie i zniknął w wielkiej paszczy Londynu. Victoria została sama na ławce. Jej myśli biegły dwoma odrębnymi torami.

Jeden - to wątek Romea i Julii. W jej odczuciu ona, i Edward byli w sytuacji podobnej do nieszczęśliwej pary, choć zapewne Romeo i Julia wyrażali swe uczucia bardziej wyszukany językiem. Ale sytuacja, myślała Victoria, była taka sama. Spotkanie, natychmiastowe oczarowanie... zniweczenie... dwa kochające serca rozłączone. Przypomniała sobie wierszyk, który kiedyś często mówiła jej niania:

Kocham cię - powiedział do Alicji Jumbo,

Nie wierzę - powiedziała Alicja do Jumbo,

Ty nie kochasz mnie naprawdę tak jak mówisz, bo

Chcesz jechać do Ameryki i zostawić mnie w zoo.

Wystarczy zastąpić Amerykę Bagdadem i jesteśmy w domu!

Wstała, strząsnęła okruszki z kolan i szybkim krokiem opuściła FitzJames Gardens, kierując się na Gower Street.

Podjęła dwie decyzje: po pierwsze, stwierdziła, że zakochała się w Edwardzie i że go zdobędzie.

Po drugie, zdecydowała, że skoro Edward będzie wkrótce w Bagdadzie, to jej nie pozostaje nic innego, jak też pojechać do Bagdadu. Zastanawiała się właśnie, jak to można zrobić. Że można to zrobić w taki lub inny sposób, nie miała żadnych wątpliwości. Była kobietą pełną optymizmu i o silnym charakterze. Powiedzenie, że rozstania są rozkosznym cierpieniem, wydało jej się równie sentymentalne co Edwardowi.

"Tak czy inaczej - powiedziała do siebie Victoria - muszę dostać się do Bagdadu!"

II

- Czy ma pani sprawozdania z udziałów Krugenhofa, panno Scheele?

- Tak, proszę pana.

Panna Scheele, osoba chłodna i sprawna, podała szefowi dokumenty.

Pan Morganthal czytał je, mrużąc pod nosem.

- Chyba wszystko w porządku.

- Z całą pewnością, proszę pana.

- Jest tu Schwartz?

- Czeka w drugim biurze.

- Proszę go zaraz do mnie sprowadzić.

Panna Scheele nacisnęła jeden z sześciu dzwonek.

- Będę panu potrzebna?

- Nie, nie sędzę, panno Scheele.

Anna Scheele wysunęła się bezszelestnie z pokoju.

Była pozbawioną wdzięku platynową blondynką. Miała jasne, lniane włosy ściągnięte w zgrabny węzeł na karku. Nosila silne okulary, spod których spoglądały bystre, jasnoniebieskie oczy. Jej twarz o czystych, drobnych rysach była całkowicie bez wyrazu. Wszystko, do czego doszła, zdobyła sprawnością, a nie wdziękiem. Miała niebywałą pamięć, potrafiła zapamiętać rzeczy najbardziej skomplikowane, cytowała nazwiska, daty i cyfry bez korzystania z jakichkolwiek notatek. To ona sterowała olbrzymim zespołem firmy, a robiła to tak zręcznie, że wszystko funkcjonowało jak w dobrze naoliwionej maszynie. Była chodzącą dyskrecją, zawsze pełna energii, którą potrafiła trzymać w ryzach i kontrolować.

Otto Morganthal, stojący na czele międzynarodowej firmy bankowej Morganthal, Brown and Shipperke, zdawał sobie świetnie sprawę, że tego, co zawdzięcza Annie Scheele, nie może wyrazić za pomocą żadnych pieniędzy. Miał do niej bezwzględne zaufanie. Jej pamięć, doświadczenie, trafność sądu, jej zrównoważony chłodny umysł - były bezcenne. Płacił jej wysoką pensję i zapłaciłby bez wahania więcej, gdyby o to poprosiła.

Była wprowadzona nie tylko w tajniki interesów firmy,

ale również w jego życie prywatne. Kiedy spytał ją o zdanie, jak ma postąpić w sprawie drugiej żony, doradziła mu rozwód i wskazała dokładną sumę alimentów. Nie okazała współczucia ani ciekawości. Nie była, jego zdaniem, taką kobietą. Nie sądził, by w ogóle kierowała się uczuciami i nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zastanowić się, co właściwie ona sobie myśli. Bardzo by się zdziwił, gdyby ktoś mu powiedział, że w ogóle coś sobie myśli - wyjąwszy sprawy Ottona Morgantala oraz firmy Morganthal, Brown and Shipperke.

Był więc zupełnie zbity z tropu, kiedy szykując się do wyjścia z pracy, powiedziała:

- Chciałam prosić o trzytygodniowy urlop, jeśli to możliwe. Od przyszłego wtorku.

Patrząc na nią, odparł niezręcznie:

- To wielce dla nas kłopotliwe... nie wyobrażam sobie...

- Nie sędzę, żeby to był jakiś problem, proszę pana. Panna Wygate świetnie się we wszystkim orientuje. Zostawię jej notatki i wszelkie dyspozycje. Pan Cornwall może się zająć fuzją z Ascherem.

- Chyba nie jest pani chora czy coś takiego? - spytał, znowu niezręcznie, Morganthal.

Nie mógł sobie wyobrazić panny Scheele chorej. Nawet zarazki szanowały Annę Scheele i ją oszczędzały.

- Ależ nie. Chcę pojechać do Londynu do siostry.

- Do siostry? - Nie wiedział, że ma siostrę. Nigdy nie myślał o pannie Scheele jak o osobie mającej krewnych czy rodzinę. Nigdy nie wspomniwała, że ma bliskich. I oto teraz mówi zwyczajnie o jakiejś siostrze w Londynie. Ubiegłej jesieni byli razem w Londynie, ale słowem nie napomknęła o siostrze.

- Nie wiedziałem, że ma pani siostrę w Anglii - powiedział z wyrzutem.

Panna Scheele lekko się uśmiechnęła.

- Tak, mam. Wyszła za mąż za Anglika związanego

z British Museum. Musi przejść poważną operację. Chcę, żebym była razem z nią. Chciałabym pojechać.

Morganthal zorientował się, że jest zdecydowana. Mruknął:

- No dobrze, dobrze. Niech pani wraca jak najszybciej. Rynek nigdy nie był tak chwiejny. Wszystko przez ten przeklęty komunizm. Cały kraj jest nim przesiąknięty. Wojna może wybuchnąć lada chwila. Czasami myślę, że to jedyne wyjście. A teraz jeszcze prezydent wybiera się na tę idiotyczną konferencję do Bagdadu. W moim przekonaniu to jakaś pułapka. Chcą go wciągnąć w zasadzkę. Bagdad! Akurat to miasto ze wszystkich miejsc na ziemi!
- Przecież będzie pod odpowiednią ochroną - powiedziała uspokajająco panna Scheele.
- W zeszłym roku szach Iranu. Bernadotte w Palestynie. To szaleństwo, istne szaleństwo.
- Ale w końcu - dodał Morgenthal ponuro - cały świat jest zwariowany.

Rozdział trzeci

I

Hotel Savoy powitał Annę Scheele z szacunkiem, jaki okazuje się stałym bywalcom i ważnym gościom; pytano o zdrowie pana Morgenthala, zapewniano, że jeśli apartament jej nie odpowiada, wystarczy, żeby powiedziała słówko: Anna Scheele bowiem przedstawiała sobą DOLARY.

Panna Scheele wykapała się, ubrała, zatelefonowała na Kensington, po czym zjechała windą. Przeszła przez obrotowe drzwi i poprosiła o taksówkę. Taksówka podjechała. Anna Scheele wsiadła i skierowała ją do sklepu jubilerskiego Cartiera na Bond Street.

Kiedy samochód oddalił się od Savoyu i znalazł się na Strandzie, niewysoki, ciemny mężczyzna, oglądający wystawę w sklepie, spojrzął nagle na zegarek i skinął na taksówkę, która szczęśliwie znalazła się w pobliżu, a która chwilę przedtem, dziwnym trafem, nie zatrzymała się na nawoływania wzburzonej pani z pakunkami w rękę.

Druga taksówka jechała StranDEM, nie tracąc z oka pierwszej. Kiedy oba pojazdy zatrzymały się na światłach Pan Bolford machnął pulchnymi rękami.

- Jakość - westchnął. - To, co zawsze było renomą tego kraju! Jakość! Brak tandety, pretensjonalności. W seryjnej produkcji jesteśmy do niczego, taka jest prawda. To jest wasza specjalność. My powinniśmy się starać, powtarzam, o jakość. Poświęcić czas, włożyć wysiłek i wypuszczać rzeczy, którym nic na świecie nie dorówna. No tak... na kiedy wyznaczymy pierwszą miarę? Od dziś za tydzień o jedenastej trzydzieści? Doskonale. Dziękuję pani bardzo.

Anna Scheele skierowała się do wyjścia. Przeszła pomiędzy staroświeckimi ponurymi belami materiału i znowu znalazła się na ulicy. Zatrzymała taksówkę i wróciła do Savoyu. Taksówka stojąca po przeciwnej stronie ulicy, w której siedział mały ciemny mężczyzna, pojechała tą samą trasą, ale nie skręciła do Savoyu. Skierowała się naokoło na Embankment, skąd zabrała niską tęgą kobietę, która właśnie opuściła Savoy służbowym wyjściem.

- I jak tam, Louisa? Przeszukałaś pokój?

- Tak. I nic.

Anna Scheele jadła lunch w restauracji. Miała zarezerwowany stolik przy oknie. Maitre d'hôtel dopytywał się troskliwie o zdrowie pana Morgenthala.

Po lunchu Anna Scheele wzięła klucz i poszła do siebie. Łóżko posłane, w łazience czyste ręczniki, wszystko na wysoki połysk. Anna podeszła do dwóch lotniczych walizek, które stanowiły jej bagaż; jedna była otwarta, druga zamknięta. Rzuciła okiem na zawartość niezamkniętej walizki, po czym wyjęła kluczyki z torebki i otworzyła drugą. Wszystko było w idealnym porządku, rzeczy poukładane tak, jak je sama rozmieściła, nikt niczego nie dotykał, nie przewracał. Na wierzchu leżała skórzana teczka, w rogu - mały aparat Leica i dwie rolki filmu. Filmy były zapieczętowane, nieotwarte. Anna przejechała paznokciem po klapce teczki i podniosła ją. Uśmiechnęła się lekko. Pojedynczy, prawie niedostrzegalny jasny włos zniknął. Szybkim ruchem

rozsyłała trochę pudru, na lśniąco skórę teczki i dmuchnęła. Skóra lśniła czystością. Nie było żadnych odcisków palców. A przecież tego ranka, po nałożeniu odrobiny brylantyny na swe gładkie włosy, Anna miała w ręku teczkę. Powinny więc być na niej odciski palców, jej własne. I znowu się uśmiechnęła.

- Dobra robota - powiedziała do siebie. - Ale nie do końca...

Szybko zapakowała neser i zeszła na dół. Wzięła taksówkę i podała kierowcy adres: 17 Elmsleigh Gardens.

Elmsleigh Gardens jest cichą, ciemną uliczką przy Ken-sington Square. Anna zapłaciła za taksówkę i wbiegła po schodach do drzwi frontowych. Zadzwoiła. Po kilku minutach otworzyła starsza kobieta o podejrzliwej twarzy, która jednak natychmiast rozpromieniła się w uśmiechu powitania.

- Jak się panna Elsie ucieszy! Jest w gabinecie, na końcu. Pani przyjazd tak ją podtrzymał na duchu!

Anna szybkim krokiem przeszła przez ciemny korytarz i otworzyła drzwi na samym końcu. Weszła do małego, zagraconego, przytulnego pokoju z wielkimi skórzanymi fotelami o zniszczonych obiciach. Siedząca w jednym z nich kobieta zerwała się radośnie.

- Anna, moja kochana!

- Elsie!

Ucałowały się serdecznie.

- Załatwione - powiedziała Elsie. - Idę dziś wieczorem. Mam nadzieję...

- Głowa do góry - powiedziała Anna. - Wszystko będzie dobrze.

II

Mały ciemny mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu wszedł do budki telefonicznej na stacji High Street Kensington i wykręcił numer.

- Yalhallia Gramophone Company?

- Tak.

- Mówi Sanders.

- Sanders znad Rzeki? Jakiej Rzeki?

- Rzeki Tygrys. Raport o A. S. Przyleciała dziś rano z Nowego Jorku. Była u Cartiera. Kupiła pierścionek z diamentem i szafirem za sto dwadzieścia funtów. Poszła do kwaciarni Jane Kent - dwanaście funtów osiemnaście szylingów kosztowały kwiaty, które kazała przesłać do lecznicy na Portland Place. Zamówiła kostium u Bolforda i Ivory'ego. Nikt z nich nie ma podejrzanych kontaktów, ale jeszcze się im przyjrzymy. Pokój A. S. w Savoyu przeszukany. Nie znaleziono nic podejrzanego. W walizce teczka zawierająca dokumenty dotyczące fuzji Paper-Wolfensteins. Czysta sprawa. Aparat i dwie rolki prawdopodobnie nienaświetlonych filmów. Bardzo możliwe, że to mikrofilmy, ale według raportu są to nienaświetlone oryginalne klisze. A. S. wzięła mały neseser i pojechała do siostry na 17 Elmsleigh Gardens. Siostra udaje się dziś wieczór do lecznicy na Portland Place na operację. Potwierdzone w książce rejestracyjnej lecznicy. Wizyta A. S. chyba czysto prywatna. Nie zdradza niepokoju, nie podejrzewa, że jest śledzona. Dzisiejszą noc spędzi pewno w lecznicy. Zatrzymała pokój w Savoyu. Samolot do Nowego Jorku zabukowany na dwudziestego trzeciego.

Człowiek, który mienił się Sanders znad Rzeki, przerwał i dorzucił nieurzędowe poniekąd postscriptum:

- A jeśli chce pan wiedzieć, co o tym myślę, to wszystko jedna wielka bzdura! Szasta pieniędzmi i tyle wszystkiego. Dwanaście funtów osiemnaście szylingów na kwiaty! To się w głowie nie mieści!

Rozdział czwarty

I

Victorii ani przez chwilę nie przyszło do głowy, że mogłaby nie osiągnąć celu, co najlepiej świadczy o jej wrodzonej pogodzie ducha. Nie dla niej melancholijne strofy Longfello-wa o statkach, co płyną wśród nocy. Co za pech! Kiedy się zakochała - trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - w przystojnym chłopcu, los chciał, że chłopak wyjeżdżał nazajutrz na drugi koniec świata. Dlaczego nie do Aberdeen czy do Brukseli albo na przykład do Birmingham?

"Akurat Bagdad - pomyślała Victoria. - Takie już mam szczęście!" W każdym razie, nie zważając na trudności, postanowiła jakoś dostać się do Bagdadu. Idąc stanowczym krokiem Tottenham Court Road, rozważała sposoby i środki, by osiągnąć cel. Bagdad. Co się dzieje w Bagdadzie? Edward mówił o kulturze. Czy Victoria mogłaby zajmować się kulturą? UNESCO? Tak, UNESCO wysyła ludzi w świat, czasami do różnych cudownych miejsc. Ale, uzmysłowiła sobie, dotyczy to zwykle nieprzeciętnych młodych kobiet po wyższych studiach, które w porę zakrzętną się koło sprawy.

Victoria doszła do wniosku, że trzeba działać po kolei i skierowała się do biura podróży, by zasięgnąć informacji. Nic prostszego niż dostać się do Bagdadu. Można podróżować samolotem, statkiem do Basry, pociągiem do Marsylii, a stamtąd statkiem do Bejrutu i dalej autokarem przez pustynię. Można jechać przez Egipt. Na upartego da się odbyć całą drogę koleją, ale o wizy było obecnie ciężko, ludzie często dostawali odmowę, a bywało i tak, że otrzymywali decyzję już po terminie wyjazdu. Bagdad znajdował się w strefie funta sterlinga, więc pieniądze nie stanowiły problemu. Taki był w każdym razie punkt widzenia biura podróży. Słowem, dla kogoś, kto posiadał od sześćdziesięciu do stu funtów gotówką, podróż do Bagdadu nie przedstawiała żadnych trudności.

Dla Victorii, która obecnie miała trzy funty dziesięć szylingów (minus dziewięć pensów), dodatkowe dwanaście szylingów i pięć funtów na książeczce oszczędnościowej, wybór prostej i bezpośredniej drogi nie wchodził w grę.

Próbowała się czegoś dowiedzieć o pracy hostessy czy stewardesy w samolocie, ale okazało się, że są to bardzo atrakcyjne posady, po które ustawiano się w kolejce.

Następnie Victoria udała się do agencji St. Guildric. Energiczna panna Spenser przywitała ją jak osobę, która zrzędzeniem losu trafiała tu dość regularnie.

- Mój Boże, panno Jones, znowu bez pracy? Miałam nadzieję, że tym razem...

- To było nie do wytrzymania - stwierdziła stanowczo Victoria. - Trudno opowiedzieć, co ja wycierpiałam.

Na białych policzkach panny Spenser pojawił się rozkoszny rumieniec.

- Nie - zaczęła. - Przecież nie... Nie wyglądał na takiego, co... chociaż, rzeczywiście, jest trochę prostacki... Mam nadzieję...

- Nic się nie stało - powiedziała Victoria z bohaterским uśmiechem. - Potrafię się ustrzec.

- Tak, oczywiście, ale to wielce nieprzyjemne.

- Tak - zgodziła się Victoria. - To jest nieprzyjemne. W każdym razie... - i znowu wyczarowała bohaterским uśmiechem.

Panna Spenser sięgnęła do teczek.

- Towarzystwo Niesienia Pomocy Samotnym Matkom im. Świętego Leonarda poszukuje maszynistki. Oczywiście nie płacą zbyt wiele...

- Czy jest jakaś szansa - spytała szybko Victoria - na pracę w Bagdadzie?

- W Bagdadzie? - zdumiała się panna Spenser. Victoria pomyślała, że równie dobrze mogła wymierać Kamczatkę albo biegun południowy.

- Bardzo bym chciała dostać się do Bagdadu - podjęła.

- Jako sekretarka?

- Wszystko jedno - odparła Victoria. - Pielęgniarka, kucharka czy niania szaleńca. Jakkolwiek. Panna Spenser pokręciła głową.

- Obawiam się, że nie ma wielkich nadziei. Wczoraj była tu pewna pani z dwiema dziewczynkami, oferowała przejazd do Australii.

Victoria machnęła ręką, nie interesowała jej Australia.

Wstała.

- Jeżeli przypadkiem coś się trafi... Chodzi mi tylko o przejazd... - Dostrzegła w oczach panny Spenser wyraźne zaniepokojenie. - Mam tam... eee... krewnych. Wiem, że jest tam mnóstwo świetnie płatnych posad. Ale przedtem trzeba się dostać na miejsce.

"Tak - mówiła sobie Victoria po wyjściu z agencji St. Guildric. - Trzeba się tam dostać".

Spostrzegła ku swemu zdumieniu, że, tak jak to zwykle bywa, gdy myśli zaprzątnięte są jakąś sprawą, wszystko nagle jakby się sprzysięgło, by kierować jej uwagę na Bagdad.

W popołudniowej gazecie przeczytała krótką wzmiankę o znanym archeologu, doktorze Pauncefoot Jonesie, który rozpoczął prace wykopaliskowe przy starożytnym mieście Murik, sto dwadzieścia mil od Bagdadu. Zauważyła ogłoszenie linii oceanicznych proponujące rejsy do Basry (a stamtąd pociągami do Bagdadu, Mosulu itd.). W gazecie, którą wyłożyła szufladę na pończochy, rzuciło się jej w oczy kilka linijek o studentach w Bagdadzie. "Złodziej z Bagdadu" siedział w najbliższym kinie, a na wystawie elitarnego księgarstwa, przed którą Victoria często przystawała, wystawiono na widocznym miejscu Nową Biografię Haruna ar-Raszida, kalifa Bagdadu.

Wydawało się jej, że nagle cały świat patrzy na Bagdad. A przecież do godziny mniej więcej za kwadrans drugą dnia dzisiejszego żaden Bagdad w ogóle jej nie przyszedł do głowy.

Perspektywy wyglądały marnie, ale Victoria ani myślała się poddać. Miała bogatą wyobraźnię i optymistyczną wiarę, że jeśli naprawdę się czegoś chce, zawsze znajdzie się sposób.

Wieczór spędziła na sporządzaniu listy rozmaitych możliwości:

Pójść do Foreign Office?

Dać ogłoszenie?

Iść do poselstwa Iraku?

Firma Datę?

Towarzystwo Okrętowe Ditto?

British Council?

Biuro Informacji Selfridge?

Biuro Porad dla Mieszkańców?

Nie, żadne z powyższych rozwiązań nie miało szans powodzenia. Dopisała:

Zdobyć sto funtów?

II

Następnego dnia Victoria spała długo; zmęczyła się wczoraj wieczorem intensywną gimnastyką umysłową, a niewykluczone, że podświadomie odczuwała też pewien luz: nie musi stawić się w biurze punktualnie o dziewiątej!

Obudziła się pięć po dziesiątej, natychmiast wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Kończyła właśnie rozczesywać swe niesforne ciemne włosy, gdy zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę.

Usłyszała głos panny Spenser, mocno podniecony

- Och, tak się cieszę, że panią zastałam. Doprawdy zadziwiający zbieg okoliczności.

- Co takiego? - zawołała Victoria.

- Niesamowity przypadek. Niejaka pani Hamilton Clipp... jedzie za trzy dni do Bagdadu... złamała rękę... potrzebuje osoby do towarzystwa... natychmiast do pani zadzwoniłam. Nie wiem oczywiście, czy nie zwróciła się do innych agencji...

- Już idę - powiedziała Victoria. - Gdzie ją można znaleźć?

- W Savoyu.

- Zaraz... a to zabawne nazwisko? Tripp?

- Clipp, jak klipa, nie wiem dlaczego przez dwa pp; ale ona jest Amerykanką - stwierdziła na koniec panna Spenser jakby to wszystko wyjaśniało.

- Pani Clipp, Savoy.

- Państwo Hamiltonowie Clipp. Dzwonił do nas jej mąż.

- Jest pani cudowna - powiedziała Victoria. - Do widzenia.

Szybko wyszczotkowała kostium, myśląc przy tym, że mógłby być mniej zniszczony; poprawiła grzebieniem włosy, by wygładzić fryzurę i dostosować ją nieco do roli anioła stróża i doświadczonej podróżniczki. Po czym wzięła do ręki rekomendację pana Greenholtza i potrząsnęła głową.

"Trzeba wymyślić coś lepszego" - powiedziała do siebie.

Autobusem nr 19 Victoria dojechała do Green Park, wysiadła i weszła do hotelu Ritz. Jeszcze w autobusie zerknęła przez ramię kobiecie czytającej gazetę i teraz to wykorzystwała. W czytelnicy napisała kilka paragrafów na swą cześć od Lady Cynthii Bradbury, która, jak przeczytała wcześniej, właśnie wyjechała z Anglii do Afryki Wschodniej...

"niezastąpiona, kiedy trzeba pomóc w chorobie - pisała Victoria - niezwykle zręczna we wszystkim, co robi..."

Po wyjściu z Ritz przecięła ulicę i poszła kawałek Al-Bermarle Street aż do hotelu Balderton, gdzie zwykli zatrzymywać się wyżsi duchowni i staroświeckie matrony z prowincji.

Teraz napisała rekomendację od biskupa Llangow, spokojnym charakterem pisma, kaligrafując w słowie "eminencja" staranne małe greckie "e".

Tak wyposażona wsiadła do autobusu nr 9 i udała się do Savoyu.

W recepcji spytała o panią Hamilton Clipp, podała swoje nazwisko i powołała się na agencję St. Guildric. Recepcjonista przysunął telefon i już chciał wykręcić numer, ale ujrawszy kogoś powiedział:

- O, jest właśnie pan Hamilton Clipp.

Pan Hamilton Clipp był bardzo wysokim szpakowatym Amerykaninem o miłej powierzchowności i powolnym sposobie mówienia.

Victoria przedstawiła się i powołała na agencję.

- Dobrze, panno Jones, najlepiej, jak pani pójdzie zobaczyć się z żoną. Jest u siebie. Zdaje się, że rozmawia z inną młodą damą, ale może już skończyła.

Zimny strach ścisnął serce Victorii. Czyżby wszystko było tak bliskie, a zarazem tak dalekie?

Pojechali windą na trzecie piętro.

Kiedy szli długim, pokrytym dywanem korytarzem, z ostatnich drzwi wysunęła się młoda kobieta, która zmierzała w ich kierunku. Victoria uległa nagle złudzeniu, że zbliżająca się kobieta to ona sama. Może z powodu kostiumu nieznanym, dokładnie takiego, jaki chciałaby mieć na sobie. "Pasowałyby na mnie jak ulał. Ona jest mojego wzrostu. Och, gdybym mogła go z niej zderzeć!" - pomyślała Victoria, w której obudził się jakiś pierwotny dziki instynkt kobiecy.

Młoda kobieta minęła ich w przejściu. Mały welwetowy kapelusik, nałożony z jednej strony na blond włosy, częściowo skrywał twarz nieznanym, ale pan Hamilton Clipp obejrzał się za nią ze zdumieniem.

"Proszę, proszę - powiedział do siebie. - Kto by pomyślał? Anna Scheele we własnej osobie".

Zwrócił się wyjaśniająco do Victorii:

- Przepraszam, panno Jones. Co za dziwny zbieg okoliczności: tę młodą damę widziałem zaledwie tydzień temu w Nowym Jorku, to sekretarz jednego z naszych wielkich międzynarodowych banków...

Mówiąc to, zatrzymał się przed drzwiami w korytarzu. Klucz wisiał w zamku, pan Hamilton zapukał, otworzył drzwi i przepuścił przodem Victorię.

Pani Hamilton Clipp siedziała koło okna na krześle z wysokim oparciem. Na ich widok wstała. Była to niska kobieta z ostrym ptasim spojrzeniem. Prawą rękę miała w gipsie.

Pan Hamilton Clipp przedstawił jej Victorię.

- Mamy wyjątkowego pecha - mówiła jednym tchem para Clipp. - Proszę sobie wyobrazić: jesteśmy w Londynie, jest cudownie, wszystkie plany, marszruta zapięte na ostatni guzik, mam zabukowane miejsce na podróż. Chcę odwiedzić w Iraku córkę, mężatkę. Nie widziałyśmy się prawie dwa lata. I nagle ten wypadek, dokładnie mówiąc, zdarzyło się to w Westminster Abbey, spadłam z kamiennych schodków i stało się. Zawieźli mnie do szpitala, założyli gips. W sumie

to nie jest bardzo uciążliwe, ale co tu mówić, jestem trochę bezradna; a jednak zdobędę się na tę podróż, zobaczymy, jak

to będzie. George ma tu niestety służbowe sprawy, nie może się ruszyć co najmniej przez trzy tygodnie. Uważał, że powinien wziąć pielęgniarkę, ale w końcu jak już się dostanę na miejsce, nie chcę, żeby ktoś się przy mnie plątał. Sądzię wszystkim się zajmie, a tak musiałabym płacić pielęgniarce bilet powrotny. Więc pomyślałam sobie, że podzwonię po agencjach i może znajdą mi kogoś, kto ze mną pojedzie tylko w jedną stronę.

- Nie jestem właściwie pielęgniarką - powiedziała Victoria, sugerując, że praktycznie nią jest. - Mam jednak duże doświadczenie w tego rodzaju pracy. - I przedstawiła pierwsze referencje. - A jeśli potrzebowałaby pani kogoś do pisania listów czy sekretarki, to byłam przez kilka miesięcy sekretarką u mojego wuja. Mój wuj - dodała skromnie - to biskup Llangow.

- Więc pani wuj jest biskupem. To niezwykle.

Państwo Hamiltonowie Clipp - stwierdziła w duchu Victoria - byli oboje pod głębokim wrażeniem. (Jak mogło być inaczej, skoro zadała sobie tyle trudu!)

Pani Hamilton wręczyła mężowi oba zaświadczenia.

- To doprawdy cudowne - powiedziała z szacunkiem. - Opatrznościowe. Spełnienie modlitwy. "Dokładnie" - pomyślała Victoria.

- Obejmuje pani tam jakąś posadę czy jedzie do krewnych? - dopytywała się pani Hamilton Clipp.

Victoria, w całym zamięcie sporządzania referencji, nie pomyślała zupełnie, że trzeba będzie zapewne podać jakieś uzasadnienie podróży do Bagdadu. Nieprzygotowana do odpowiedzi na to pytanie, musiała błyskawicznie coś zaimprovizować. Przypomniała sobie wczorajszą gazetę.

- Jadę do wujka. To doktor Paucefoot Jones - wyjaśniła.

- Naprawdę? Ten archeolog?

- Tak. - Przez chwilę Victorię ogarnęła wątpliwość, czy może trochę nie za wielu tych szacownych wujków.

- Bardzo interesują mnie jego badania, ale nie mam odpowiednich kwalifikacji, więc opłacenie mojej podróży z funduszy ekspedycji nie było możliwe. Krucho u nich z pieniędzmi. Ale jeśli pojedę na własny koszt, mogę do nich dołączyć i na coś się przydać.

- To musi być bardzo interesująca praca - powiedział pan Hamilton Clipp. - Mezopotamia jest wielkim polem do działania dla archeologów.

- Niestety - Victoria zwróciła się do pani Clipp - mój wuj biskup przebywa w tej chwili w Szkocji. Ale mogę podać pani telefon do jego sekretarki, która jest w Londynie. Pimlico 87693, to jedna z linii Fulham Palace. Będzie u siebie od godziny - zatrzymała chwilę wzrok na zegarze stojącym na kominku - wpół do dwunastej, gdyby pani chciała się z nią porozumieć i o mnie zapytać.

- Jestem pewna... - zaczęła pani Clipp, ale mąż wszedł jej w słowo.

- Czasu jest bardzo mało. Samolot odlatuje pojutrze. Czy ma pani paszport?

- Tak. - Victoria poczuła ulgę; miała ważny paszport dzięki krótkiemu wypadowi do Francji w ubiegłym roku. - Wzięłam go ze sobą na wszelki wypadek - dodała.

- To się nazywa mieć głowę na karku - pochwalił ją pan Clipp. Nawet gdyby była rozważana inna kandydatka, w tym momencie byłoby już po niej. Victoria, ze świetnymi rekomendacjami, wujkami i paszportem pod ręką, miała niewątpliwie przewagę.

- Potrzebne będą wize - powiedział pan Clipp, biorąc paszport. - Wstąpię do Burgeona, naszego przyjaciela w American Express, on się tym zajmie. Niech pani dowie się dziś po południu, pewnie trzeba będzie coś podpisać.

Victoria skinęła głową.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, usłyszała głos pani Hamilton Clipp.

- Taka miła dziewczyna, taka szczerą. Mieliliśmy naprawdę szczęście.

Victoria, zachowując resztki przyzwoitości, zaczerwieniła się po uszy.

Szybko wróciła do domu, by warować przy telefonie i w razie czego przybrać wytworną, subtelny ton godny sekretarki biskupa, gdyby pani Clipp zechciała przypadkiem upewnić się co do jej osoby. Ale pani Clipp była widocznie tak oczarowana szczerością Victorii, że nie miała zamiaru zwracać sobie głowy takimi drobiazgami. W końcu zatrudniła ją tylko na parę dni jako osobę do towarzystwa.

Formularze zostały w porę wypełnione i podpisane, wize załatwione i ustalono, że Victoria spędzi ostatnią noc w Savoyu, by pomóc pani Clipp wyprawić się o siódmej rano na terminal i lotnisko Heathrow.

Rozdział piąty

Łódź, która dwa dni temu opuściła bagna, płynęła majestatycznie wzdłuż Shatt al-Arab. Prąd był silny i stary człowiek prowadzący ją nie musiał specjalnie pracować wiosłem. Jego ruchy były spokojne i rytmiczne. Oczy na pół zamknięte.

Niemal szeptem nucił miękko smętną, niekończącą się arabską pieśń:

Asri bi lel ya yamali

Hadhi alek ya ibn Ali.

Trudno zliczyć, ile razy Abdul Suleiman z plemienia Arabów bagiennych spływał tak rzeką do Basry. W łodzi siedział jeszcze jeden człowiek; w jego ubiorze można było dostrzec owo żalosne pomieszanie Wschodu z Zachodem, co dzisiaj jest tak częstym zjawiskiem. Na długiej szacie z pasiastej bawełny miał znoszoną kurtkę koloru khaki, starą, poplamioną i podartą. Zrobiony na drutach wyblakły czerwony szalik wystawał spod złachanej kurtki. Okrycie głowy miało w sobie ową arabską dostojność: oczywiście

kefia, czarno-biała, i czarny jedwabny agal. Szeroko rozwarte nieruchome oczy mężczyzny wpatrywały się tępo w brzeg rzeki. I on zaczął teraz nucić pod nosem, w tej samej tonacji. Była to postać, jakich pełno w Mezopotamii. Nic nie wskazywało na to, że jest Anglikiem, a tym bardziej, że trzyma w ręku tajemnicę, którą usiłovali przechwycić i zniszczyć wraz z nim wpływowi ludzie w każdym niemal kraju świata.

Mężczyzna sięgnął pamięcią do wydarzeń ostatnich tygodni. Zasadzka w górach. Lodowaty śnieg na przełęczy. Karawana wielbłądów. Czterodniowy ciężki marsz przez pustynię w towarzystwie dwóch ludzi z wędrownym kinem. Dni spędzone w czarnym namiocie i podróż z oddanymi ludźmi z plemienia Aneizeh. Wszystko niezmiernie trudne, połączone z niebezpieczeństwem, stałe wymykanie się z otaczającego go nieprzyjacielskiego kordonu.

“Henry Carmichael. Brytyjski agent. Wiek około trzydziestu lat, oczy piwne, sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Mówi po arabsku, kurdyjsku, persku, armeńsku, turecku, językiem urdu, różnymi dialektami góralskimi. Zaprzyjaźniony z tubylcami. Niebezpieczny”.

Carmichael urodził się w Kaszgarze, gdzie jego ojciec pełnił jakąś urzędową funkcję z ramienia rządu. Malec seplenił w różnych dialektach i narzeczach: niańki, a później przyjaciele wywodzili się z najróżniejszych ras. Miał oddanych ludzi we wszystkich niemal dzikich regionach Środkowego Wschodu.

Jedynie w miastach jego kontakty okazywały się zawodne. Czuł teraz, zbliżając się do Basry, że nadszedł krytyczny moment misji. Wkrótce będzie musiał stanąć oko w oko z cywilizowanym światem. Bagdad był jego ostatecznym celem, przezornie wolał jednak nie jechać tam wprost.

W każdym mieście w Iraku wszystko już na niego czekało, starannie opracowane i zorganizowane wiele miesięcy wcześniej. Sam miał uznać, w którym miejscu dokona “ładowania”. Nie zawiadomił słówkiem swoich zwierzchników, choć mógł to zrobić pośrednimi kanałami. Tak było bezpieczniej. Miał go oczekiwać samolot w umówionym miejscu i czasie, ale ten prosty plan nie wypalił. Carmichael podejrzewał zresztą, że nie wypali. Nieprzyjaciel wiedział o akcji. Przecieki! Zawsze to samo: ten zabójczy, niepojęty przeciek.

Zachowywał więc zwiększoną czujność. Tutaj, w pozornie bezpiecznym mieście Basra, miał instynktowną pewność, że ryzyko będzie większe niż w dzikich ostępach. Myśl, że mógłby paść na ostatnim okrążeniu, była nie do zniesienia. Stary Arab, wiosłując rytmicznie, nucił pod nosem, nie odwracając głowy.

- Pora się zbliża, synu. Niech cię Allah ma w swojej opiece.

- Nie zabawiaj długo w mieście, ojcze. Wracaj na bagna. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Będzie, jak Allah zechce. Wszystko w Jego rękach.

- Inszallah - powtórzył za nim Carmichael.

Przez chwilę zapragnął gwałtownie, by w jego żyłach płynęła krew człowieka Wschodu, a nie Zachodu. Nie ważyć na szali szans sukcesu czy klęski, nie rozważać w kółko poszczególnych posunięć, nie zastanawiać się bez końca, czy plan akcji jest mądry i dalekowzroczny. Zrzucić wszelką odpowiedzialność na Wszechmiłosiernego, Wszechmądrego. Inszallah, zwycięzę!

Gdy wymawiał te słowa, czuł ogarniający go spokój i fatalizm tego kraju, a to było takie ważne! Za chwilę musi opuścić bezpieczny port, wyjść na ulice miasta, narazić się na przenikliwe spojrzenia. Powiedzie mu się wtedy, jeśli będzie nie tylko wyglądał, ale i czuł jak Arab.

Łódź skrzyła łagodnie w kanał po prawej stronie rzeki. Stały tu przycumowane wszelkiego rodzaju statki rzeczne i nadpływały wciąż nowe. Cudowna sceneria, niemal jak w Wenecji. Łodzie z wysokimi zakrzywionymi dziobami, z wyblakłą farbą ochronną. Stały ich tu setki, przycumowane ciasno obok siebie wzdłuż nabrzeża.

Stary powiedział miękko:

- Przyszła pora, synu. Masz tu wszystko, co trzeba?

- Tak, mam ustalony plan. Czas na mnie.

- Niech Bóg da ci prostą drogę i długie życie.

Carmichael zebrał swój pasiasty strój i ruszył po śliskich kamiennych schodkach do przystani.

Ludzie wokół niego stanowili zwykły obrazek w portowym mieście. Mali chłopcy, sprzedawcy pomarańcz, siedzący w kucki przed tacami z towarem. Tace lepiące się od ciastek i słodczy, ze sznurowadłami, tanimi grzebieniami i zwojami sznurków. Ludzie rozglądali się, spluwali od czasu do czasu na boki, szwendali się, pobrzękując paciorkami różańców. Po przeciwnej stronie ulicy - gdzie mieściły się sklepy i banki - szybkim krokiem szli zaafetowani młodzi

effendi, ubrani po europejsku, w lekko purpurowe barwy. Widziało się też Europejczyków - Anglików i innych cudzoziemców. Widok Araba schodzącego z pokładu wraz z pięćdziesięcioma innymi Arabami nie wzbudził w nikim zdziwienia ani zainteresowania.

Carmichael przechadzał się spokojnie, przyglądał się otoczeniu z pewną dozą dziecięcej radości, nie większej i nie mniejszej, niż trzeba. Od czasu do czasu kaszłał i spluwał, ale niezbyt gwałtownie, tyle tylko, żeby nie odstawać od reszty. Dwa razy wydmuchał nos palcami.

Jako obcy przybysz udał się na suk. Wybrał drogę przez most na końcu kanału.

Panował tu jeden wielki zgiełk i harmider. Jakiś Arab kroczył energicznie i zamasyście odsuwając wszystkich na boki, torowały sobie drogę obładowane osły, a ich właściciele pokrzykiwali ochryple: "Balek, balek...". Dzieci kłóciły się i piszczały, i biegały za Europejczykami, wołając błagalnie: "Baksheesh, madame. Baksheesh. Meskin - meskin...". Sprzedawano tu obok siebie aluminiowe garnki, filiżanki, spodki i imbryki, kute wyroby z miedzi, srebro z Amary, tanie zegarki, emaliowane kubki, hafty i perskie dywaniki o wesołych wzorach. Mosiężne skrzynki z Kuwejtu, używane marynarki i spodnie, dziecięce wełniane sweterki. Regionalne pikowane kapy, malowane szklane lampy, stopy glinianych dzbanków i garnków. Tandeta świata cywilizowanego przemieszana z rodzimymi towarami.

Wszystko - normalne i zwyczajne. Po długim pobycie w odludnych regionach Carmichael był oszołomiony tą bieganią i zamętem, ale nie wydarzyło się nic szczególnego, nikt nie podskoczył na jego widok, nie zainteresował się jego osobą. Mimo to, instynktem człowieka, który przez kilka lat poznał, co to pościg, poczuł rosnący niepokój - niejasny lęk przed niebezpieczeństwem. Nie dostrzegł nic podejrzanego. Nikt nawet na niego nie spojrział. Był pewien, że nikt go nie śledzi ani nie obserwuje. Miał wszakże nieokreślone przeświadczenie o wiszącym nad nim zagrożeniu. Skreślił w wąską, ciemną uliczkę, znowu w prawo i potem w lewo. Idąc pomiędzy niewielkimi budami, dotarł do chanu i przez drzwi dostał się na jakiś dziedziniec. Wokoło ciągnęły się kramy. Carmichael podszedł tam, gdzie wisiały ferwahy, podobne do okryć z owczych skór z północy. Stał i macał skóry. Właściciel sklepu częstował kawą jednego z klientów - wysokiego dorodnego mężczyznę z brodą, w zielonym tarbuszu, co wskazywało, że jest to hadzi przybywający z Mekki.

Carmichael dalej oglądał ferwah.

- Besh hadha? - zapytał.

- Siedem dinarów.

- Za drogo.

- Prześlesz mi dywan do chanu? - spytał hadzi.

- Na pewno - odparł kupiec. - Wyjeżdżasz jutro?

- Tak, o świcie, do Karbali.

- To moje miasto - wtrącił Carmichael. - Już z piętnaście lat nie widziałem grobu al-Husajna.

- Święte miasto - powiedział hadzi.

- Mam tańszy ferwah na zapleczu - odezwał się właściciel sklepu przez ramię hadzięgo.

- Potrzebny mi biały ferwah, taki jak robią na północy.

- Coś się znajdzie.

Kupiec wskazał na drzwi prowadzące do drugiej izby.

Rozmowa przebiegała zgodnie z rytuałem - dialog, jaki codziennie można usłyszeć na suku. Tyle że słowa-klucze - Karbala, biały ferwah - stały na swoim miejscu, we właściwym kontekście.

Kiedy Carmichael kierował się do drzwi prowadzących do drugiej izby, podniósł wzrok na twarz kupca. I zrozumiał natychmiast: to nie ten człowiek! Chociaż widział tamtego tylko raz w życiu, miał świetną pamięć i nie mógł się pomylić. Tak, jest podobieństwo, uderzające podobieństwo, ale to zupełnie ktoś inny.

Przystanął i zapytał z lekkim zdziwieniem:

- Gdzie w takim razie jest Salah Hassan?

- To mój brat. Zmarł trzy dni temu. Zajmuję się jego sprawami.

A zatem brat. Podobni jak dwie krople wody. Może brat też dla nich pracował. Znał przecież hasła. Niemniej Carmichael wchodził do środkowej ciemnej izby ze wzmoczoną czujnością. Tutaj także na półkach piętrzyły się towary, tygielki do kawy, młoteczki do cukru, miedziane i mosiężne, stare perskie srebra, haftowana bielizna poukładana w stosy, emaliowane tace z Damaszku i serwisy do kawy.

Biały, starannie złożony ferwah leżał osobno na małym

stoliczku. Carmichael zbliżył się i wziął go do ręki. Pod spodem, na stosie europejskich ubrań, znoszony, nieco pretensjonalny garnitur. Portfel z pieniędzmi i dokumentami znajdował się w wewnętrznej kieszeni marynarki. Do sklepu wszedł jakiś Arab, a zaraz powinien pojawić się pan Walter Williams z firmy Messrs Gross and Co., agencji importującej statki, który potwierdziłby spotkanie, ustalone wcześniej dla Carmichaela. Oczywiście istniał prawdziwy Walter Williams - żadnego ryzyka! - szanowany przedsiębiorca. Całość przebiegała zgodnie z planem. Carmichael z westchnieniem ulgi zaczął rozpinąć podartą wojskową kurtkę. Wszystko w porządku.

Gdyby postanowiono użyć rewolweru, byłby to koniec Carmichaela, koniec jego myśli. Ale nóż ma nad rewolwerem pewną przewagę - jest bezszelestny.

Przed Carmichaelem na półce stał duży miedziany tygiel do kawy, wypolerowany na wysoki połysk. Miał po niego wstąpić pewien amerykański turysta. Błysk ostrza odbił się w lśniącej krągłej powierzchni - zniekształcony, ale nie budzący wątpliwości obraz: człowiek skradający się z tyłu, przez draperie, z długim zakrzywionym nożem, który właśnie wyciągnął zza pazuchy. Jeszcze sekunda i nóż utkwi w plecach Carmichaela.

Carmichael obrócił się jak błyskawica. Niskim płynnym ciosem powalił tamtego na ziemię. Nóż przeleciał przez całą długość izby. Carmichael pozbierał się szybko, przeskoczył ciało mężczyzny, rzucił się biegiem przez pierwszy pokój, dostrzegł w przelocie przerażoną, wściekłą twarz kupca i lekko zdziwioną dorodnego hadziego. Po chwili był już na dworze i pędził przez chan. I znowu znalazł się na zatłoczonym suku; skręcał to w tę, to w tamtą stronę; szwendał się teraz bez pośpiechu, bo pośpiech w tym kraju budzi zawsze podejrzenia.

Gdy tak się wałęsał bez celu, tu przystanął, by obejrzeć jakiś przedmiot, tam, by pomacać tkaninę, jego mózg pracował gorączkowo. Wszystko się zawaliło. Po raz kolejny był zdany na własne siły, w obcym, wrogim otoczeniu. I miał niemiłą świadomość, że to, co się wydarzyło przed chwilą, było niezmiernie wymowne.

Niebezpieczeństwo groziło mu nie tylko ze strony ludzi, którzy go ścigali. I nie tylko tych, którzy strzegli bram cywilizacji. Wrogowie znajdowali się też we własnych szeregach. Znali hasła, udzielali prawidłowych odpowiedzi. Atak przypuszczono dokładnie wtedy, kiedy poczuł się bezpieczny. Może to nie powinno być zaskakujące, że zdrada czai się na własnym podwórku. Zawsze tak chyba było: jak świat światem wtyczki nieprzyjaciela działały w obozie drugiej strony. Zawsze też kupowano ludzi. Kupić człowieka jest łatwiej, niż się wydaje - można go kupić nie tylko za pieniądze.

Ale trudno, stało się, nie pora zastanawiać się, jak do tego doszło. Trzeba uciekać i zdać się na własne siły. Bez pieniędzy, bez żadnej pomocy, bez nowych kontaktów, zdemaskowany. Może nawet w tej chwili ktoś go śledzi?

Nie odwrócił się. Po co? Ci, którzy za nim szli, znali swoją robotę.

Wałęsał się więc dalej, spokojnie, bez celu. Pozornie obojętny, rozważał w duchu rozmaite rozwiązania. Opuścił w końcu suk i przeszedł mostek na kanale. Zatrzymał się dopiero przed budynkiem z wielką tablicą z godłem i napisem: "Konsulat Brytyjski".

Rozejrzał się na wszystkie strony. Wyglądało na to, że nikt na niego nie zwracał najmniejszej uwagi. Cóż łatwiejszego, zdawałoby się, jak po prostu wejść do konsulatu. Przez chwilę pomyślał o pułapce na myszy, otwartej pułapce kuszącej kawałkiem sera; proste i łatwe, dla myszy również.

Cóż, trzeba podjąć ryzyko. Nie bardzo widział zresztą jakieś inne wyjście.

Zdecydował się i wszedł do środka.

Rozdział szósty

Richard Baker siedział w Konsulacie Brytyjskim, czekając na konsula.

Przypłynął dziś rano statkiem "Indian Queen". Przeszedł już kontrolę celną; w walizkach miał prawie same książki, a między nimi poutykane piżamy, koszule i inne rzeczy, jakby wrzucone po namyśle.

"Indian Queen" przybyła punktualnie i Richard, który liczył się z dwudniowym opóźnieniem, co było rzeczą normalną w wypadku niewielkich statków handlowych, miał teraz dwa dni w zapasie przed wyruszeniem, via Bagdad, do celu swej podróży, Tell Aswad - siedziby starożytnego miasta Murik.

Miał już plany na te dwa dni. Od dawna fascynował go słynny kopiec położony na wybrzeżu kuwejskim, kryjący ponoć starożytne zabytki. Okazja zwiedzenia tego miejsca spadła mu prosto z nieba.

Pojechał do biura linii lotniczych, by dowiedzieć się, jak się dostać do Kuwejtu. Samolot, jak mu powiedziano, odlatywał następnego dnia o dziesiątej rano, a wracać mógł na drugi dzień. Wszystko układało się więc świetnie. Oczywiście nie obędzie się bez nieuchronnych formalności: kuwejska wiza wjazdowa i wyjazdowa. W tej sprawie miał zwrócić się do Konsulatu Brytyjskiego. Konsul generalny w Basrze nazywał się Clayton i Richard poznał go kilka lat temu w Iranie. "Z przyjemnością się z nim spotkam" - pomyślał Richard.

Konsulat miał kilka wejść. Główną bramę - dla samochodów. Furtkę prowadzącą z ogrodu na ulicę ciągnącą się wzdłuż Shatt al-Arab, a przy głównej ulicy znajdowało się wejście dla interesantów. Richard wszedł do środka, podał urzędnikowi swą wizytówkę, usłyszał, że konsul generalny jest chwilowo zajęty, ale wkrótce będzie wolny, i udał się do małej poczekalni po lewej stronie korytarza, który ciągnął się w prostej linii od wejścia z ogrodu.

W poczekalni siedziało kilku interesantów. Richard ledwie na nich spojrzał. Prawdę mówiąc, rzadko kiedy zwracał uwagę na ludzi. Kawałek starej ceramiki podniecał go o wiele bardziej niż jakaś tam istota ludzka urodzona w jakimś Anno Domini dwudziestego wieku.

Rozmyślał więc sobie z rozkoszą o pewnych aspektach pisma Mari i przemieszczeniach plemion jamnickich w 1750 r. p.n.e.

Trudno orzec, co przywróciło go do teraźniejszości i poczucia, że jest wśród ludzi. Z początku był to niepokój, jakieś napięcie. "To przyszło nosem" - pomyślał, choć nie mógł mieć żadnej pewności. Nie był w stanie postawić konkretnej hipotezy, ale tak było, kierowało nim nieomylnie uczucie, cofające go do czasów ostatniej wojny, a zwłaszcza do pewnego incydentu, kiedy to Richard wraz z dwoma towarzyszami został zrzucony na spadochronie i oczekiwał w lodowatych godzinach świtu na swoje zadanie. Godziny zwątpienia, niskiego morale, kiedy człowiek zdawał sobie w pełni sprawę z całego ryzyka, godziny panicznego lęku, że można się nie sprawdzić, godziny, kiedy człowiek kuli się ze strachu. Taką właśnie poczuł teraz woń, ostrą, a zarazem trudno uchwytną.

Woń strachu...

Przez pewien czas rejestrował to podświadomie. Jedna połowa jego umysłu uparcie usiłowała skupić się na epoce sprzed naszej ery. Ale siła chwili obecnej była zbyt wielka.

Ktoś w tym pokoju był w panicznym strachu...

Rozejrzał się. Arab w podartej kurtce koloru khaki, przebierający beczynnymi palcami w bursztynowych paciorkach różańca. Krzepki Anglik ze szpakowatym wąsikiem - typ komiwojażera - kreślący coś w notesie, z przejętą, ważną miną. Szczupły, znużony mężczyzna o bardzo ciemnej skórze i bezbarwnej, obojętnej twarzy, oparty o krzesło, jakby odpoczywał. Człowiek o wyglądzie irackiego urzędnika. Stary Pers w lejącym się śnieżnym stroju. Ludzie ci sprawiali wrażenie całkowicie obojętnych na wszystko.

Brzęk bursztynowych paciorków stał się rytmiczny. Coś przypominał. Richard wyteżył uwagę, bo zrobił się senny. Długi - krótki - długi - krótki - to był alfabet Morse'a - z pewnością alfabet Morse'a. Znał Morse'a, w czasie wojny miał do czynienia z sygnalizacją. Bez trudu odczytał przekaz. SOWA. F-L-O-R-E-A-T-E-T-O-N-A. Do licha! Tak, to było to. Powtarzało się: "Floreat Etona". Wystukane, a raczej wybrzękane przez obdartego Araba. A to co znowu? "Sowa. Eton. Sowa".

Jego własne przezwisko z Eton, kiedy nosił wielkie, solidne okulary.

Przeglądał się teraz Arabowi uważnie, śledząc każdy szczegół: pasiasta szata, stara kurtka khaki, podarty zrobiony na drutach czerwony szalik z puszczonej oczkami. Postać, jakich setki w portowym mieście. Arab patrzył na Richarda pustym wzrokiem, nic nie wskazywało na to, że go rozpoznaje. Ale paciorki nadal pobrzękiwały.

"Tu Fakir. Pilnuj się. Kłopoty."

Fakir? Fakir? Jasne! Fakir Carmichael! Ten, który się urodził albo mieszkał gdzieś na końcu świata - Turkiestan, Afganistan?

Richard wyjął fajkę. Pociągnął ją na próbę, po czym zajrzał do główki i postukał nią o stojącą obok popielniczkę: "Przyjąłem".

Wydarzenia zaczęły się teraz toczyć w błyskawicznym tempie. Richardowi, już później, trudno je było dokładnie odtworzyć.

Arab w podartej wojskowej kurtce wstał z miejsca i skierował się do drzwi. Kiedy przechodził obok Richarda, potknął się, rozpostarł ręce i przytrzymał się jego, żeby nie upaść. Po czym wyprostował się, przeprosił i poszedł w kierunku drzwi.

Wszystko było tak zaskakujące i odbywało się tak szybko, że Richardowi zdawało się, iż ogląda scenę z filmu, a nie rzeczywiste wydarzenia. Krzepki komiwojazer upuścił notes i zaczął wyciągać coś z kieszeni marynarki. Z powodu tuszy i opiętego ubrania trwało to kilka sekund i w czasie tych sekund Richard przystąpił do działania. Kiedy mężczyzna uniósł rewolwer, Richard wytrącił mu go z ręki. Broń wyleciała w powietrze, a kula poszła w podłogę.

Arab wyszedł z pokoju, skręcił w stronę biura konsula, ale po chwili zatrzymał się gwałtownie, zawrócił, popędził do drzwi wejściowych i wybiegł na ruchliwą ulicę.

Kawas podbiegł do Richarda, który stał, trzymając za ramię barczystego mężczyznę. Każdy z obecnych w poczekalni zachowywał się inaczej: iracki urzędnik podskakiwał w podnieceniu w miejscu, ciemny chudzielec gapił się szeroko otwartymi oczami, a stary Pers, nieporuszony, patrzył w jeden punkt.

Richard odezwał się pierwszy:

- Cemu, u diabła, wymachiwał pan tą pukawką? Nastąpiła króciutka chwila milczenia, po czym grubas powiedział płacząco z londyńskim akcentem:

- Przykro mi, bracie, czysty wypadek, po prostu niezręczność.

- Bzdura. Chciał pan strzelić do tego Araba, który uciekł.

- Nie, nie bracie, nie strzelić. Tylko go postraszyć. Poznałem go: to facet, który mnie oszukał na antykach. Chciałem się zabawić.

Richard Baker nie lubił rozgłosu. Instynkt podpowiadał mu, by przyjąć wyjaśnienia komiwojażera za dobrą monetę. Co właściwie mógłby udowodnić? I czy stary kolega, Fakir Carmichael, podziękowałby mu za zrobienie szumu wokół całej sprawy? Na pewno nie, jeśli przyjąć, że bierze on udział w akcji otoczonej ścisłą tajemnicą.

Richard rozluźnił uścisk na ramieniu mężczyzny. "Zlany potem" - stwierdził w duchu.

Kawas mówił gorączkowo:

- Nie wolno przynosić broni do Brytyjskiego Konsulatu. To jest zabronione. Konsul będzie bardzo zły.

- Przepraszam - powiedział grubas. - Mały wypadek, to wszystko. - Próbował wepchnąć pieniądze w dłoń kawasa, ale ten odsunął jego rękę z oburzeniem.

- Lepiej, jak sobie pójdę - stwierdził barczysty mężczyzna. - Nie będę czekać, aż przyjdzie konsul. -I rzucił do Richarda: - Nie wypieram się, że to ja, jestem w Airport Hotel, gdyby coś się działo, ale to był zwykły wypadek. Zrobiłem to dla draki.

Richard patrzył za nim z niechęcią, kiedy oddalał się z niezręczną pewnością siebie, a potem skręcił do wyjścia prowadzącego na ulicę.

Richardowi wydawało się, że postąpił słusznie, ale trudno mieć dobre rozeznanie, jeśli człowiek błądzi po omacku.

- Pan Clayton jest już wolny - powiedział kawas.

Baker szedł za kawasem długim korytarzem. Widoczny z dala krąg słońca stawał się coraz większy. Biuro konsula znajdowało się po prawej stronie na końcu.

Clayton siedział za biurkiem; spokojny szpakowaty mężczyzna o myślącej twarzy.

- Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina - powiedział Richard. - Spotkaliśmy się w Teheranie, dwa lata temu.

- Tak, tak. Był pan wtedy z doktorem Pauncefoot Jonesem. Teraz też pan jedzie do niego?

- Tak. Jestem w drodze, ale mam dwa dni wolne i chciałbym się wybrać do Kuwejtu. Mam nadzieję, że to prosta sprawa.

- Oczywiście. Jutro rano ma pan samolot. Zaledwie półtorej godziny lotu. Zatelegrafuję do Archiego Gaunta, mieszka tam na stałe. Przenocuje pana. A dzisiaj niech pan przenocuje u nas.

Richard lekko zaprotestował.

- Nie chciałbym sprawiać państwu kłopotu. Mogę nocować w hotelu.

- W Airport Hotel jest straszny tłok. Będzie nam bardzo miło, jeśli pan zostanie. Żona z pewnością chciałaby pana znowu zobaczyć. Zaraz, zaraz, kto jest u nas teraz? Crosbie z koncernu naftowego i jakiś młokos od doktora Rathbone'a, załatwia na cle skrzynie z książkami. Może pójdziemy na górę do Rosy?

Wstał i wyszedł wraz z Richardem z biura. Przeszli przez zalany słońcem ogród, skąd prowadziły schodki do części rezydencyjnej konsulatu.

Gerald Clayton popchnął wahadłowe drzwi na końcu schodków i wpuścił gościa do długiego ciemnego korytarza; na podłodze leżały tu piękne dywany, a po obu stronach stały wspaniałe meble. Richard odetchnął z ulgą w ciemnym chłodzie hallu, po oślepiającym blasku słońca.

- Rosa, Rosa! - zawołał Clayton i z drugiego pokoju wyszła pani Clayton, którą Richard pamiętał jako osobę pogodną i niesłychanie żywotną.

- Przypominasz sobie, kochanie, Richarda Bakera? Był u nas w Teheranie z doktorem Pauncefoot Jonesem.

- Tak, tak, pamiętam - uśmiechnęła się pani Clayton, wyciągając rękę. - Poszliśmy razem na bazar i pan kupił przepiękne kilimy.

Gdy sama nie robiła zakupów, pani Clayton uwielbiała, kiedy jej przyjaciele i znajomi latali po bazarach i szukali okazji. Wiedziała świetnie, ile co jest warte i doskonale umiała się targować.

- To najlepszy zakup, jaki kiedykolwiek zrobiłem - powiedział Richard. - I to wyłącznie dzięki pani.

- Pan Baker chce lecieć jutro do Kuwejtu - powiedział Gerald Clayton. - Zaproponowałem mu, aby dziś u nas znocował.

- Ale jeśli to ma być kłopot... - zaczął Richard.

- Ależ żaden kłopot - zaprotestowała pani Clayton. - Nie mogę umieścić pana w najlepszym pokoju gościnnym, bo zajął go kapitan Crosbie, ale i tak urządzimy pana całkiem wygodnie. Nie chce pan przypadkiem kupić kuwejckiej skrzyni? Akurat są wspaniałe na suku. Gerald mi nie pozwala, chociaż przydałaby się jeszcze jedna na zapasowe kołdry.

- Ależ, kochanie, trzy ci nie wystarczą? - spytał łagodnie Clayton. - Muszę pana przeprosić - zwrócił się do Richarda. - Czas już na mnie. Słyszałem, że było jakieś zamieszanie w poczekalni. Podobno ktoś wystrzelił z rewolweru?

- Na pewno jakiś szejch - zawołała pani Clayton. - To tacy impulsywni ludzie i uwielbiają broń palną.

- Nic podobnego - odezwał się Richard. - Strzelał Anglik. Chciał trafić jednego Araba. - I dodał cicho: - Wytrąciłem mu broń z ręki.

- Więc pan w tym brał udział? - zdziwił się Clayton. -Nie wiedziałem. - Wyjął z kieszeni wizytówkę. - "Robert Hali, firma Achilles, Enfield". To chyba on. Nie wiem, dlaczego chciał się ze mną zobaczyć. Nie był chyba pijany?

- Twierdził, że to miał być kawał - odparł krótko Richard - i że broń wypaliła przez przypadek. Clayton uniósł brwi.

- Komiwojażer nie nosi na co dzień naładowanej broni w kieszeni.

"Clayton - pomyślał Richard - nie jest głupi".

- Może należało go zatrzymać? - spytał.

- Trudno rozstrzygnąć, jak należy postąpić w takiej sytuacji. Czy człowiek, do którego strzelał, nie został ranny?

-Nie.

- W takim razie chyba lepiej było pozostawić sprawę własnemu biegowi.

- Ciekaw jestem, co się za tym kryje.

- Tak, tak... Też się zastanawiam.

Clayton robił wrażenie trochę roztargnionego.

- Muszę iść - powiedział i pospiesznie się oddalił.

Pani Clayton zaprosiła Richarda do bawialni, przestronnego środkowego pokoju z zielonymi poduszkami i zasłonami, i zaproponowała mu do wyboru kawę lub piwo. Poprosił o piwo i po chwili dostał rozkosznie zimny napój.

Spytała, dlaczego wybiera się do Kuwejtu, i Richard opowiedział o swoich planach.

Spytała, dlaczego się dotąd nie ożenił, a Richard odparł, że chyba nie nadaje się do żeniaczki, co pani Clayton skwitowała krótkim: "Bzdura".

- Archeologowie - stwierdziła - są idealnymi mężami; a czy jakieś młode damy wybierają się w tym roku na wykopaliska?

- Jedną czy dwie - odparł Richard - i, rzecz jasna, pani Pauncefootjones.

Pani Clayton spytała z nadzieją, czy te dziewczyny są ładne, a Richard odpowiedział, że nie wie, bo nie widział ich jeszcze. Nie miały dużego doświadczenia - dodał.

Ostatnia uwaga Richarda wyraźnie ubawiła panią Clayton.

Do bawialni wszedł niski, krępy mężczyzna, o energicznym sposobie bycia i przedstawił się jako kapitan Crosbie. Pan Baker - mówiła pani Clayton - jest archeologiem i wy-

kopuje szalenie interesujące przedmioty o tysiącletniej historii. Kapitan Crosbie powiedział, że nigdy nie mógł zrozumieć, w jaki sposób archeologowie potrafią z taką precyzją określić wiek tych przedmiotów. "Zawsze uważałem ich za obrzydliwych kłamców, ha, ha!" - roześmiał się, a wówczas Richard spojrzął na niego z pewnym znużeniem. - No dobrze - spytał kapitan Crosbie - ale w jaki sposób archeolog wie, ile lat ma jakiś przedmiot? - Richard odparł, że długo musiałby to wyjaśniać, i pani Clayton szybko zabrała go, żeby obejrzał swój pokój.

- Jest bardzo miły - mówiła pani Clayton - ale czegoś mu brakuje. Nie ma zielonego pojęcia o kulturze.

Richard powiedział, że pokój jest aż nadto wygodny, i jego uznanie dla pani Clayton jako gospodyni wzrosło jeszcze bardziej.

Poczuł ręką, że coś ma w kieszeni marynarki. Wyjął złożoną, brudną kartkę. Spojrzął na nią ze zdziwieniem, bo był pewien, że wcześniej jej tam nie było. Jakiś człowiek zręcznym ruchem musiał mu ją wsunąć do kieszeni, tak że Richard niczego nie zauważył.

Wyprostował kartkę. Była brudna i sprawiała wrażenie, jakby wiele razy składano ją i rozkładano.

W sześciu wierszach, niewyraźnym pismem, major John Wilberforce rekomendował niejakiego Ahmeda Mohammeda jako pracowitego i zdolnego pracownika, który potrafi prowadzić ciężarówkę i wykonywać drobne naprawy, a ponadto jako bardzo uczciwego człowieka - był to w gruncie rzeczy zwykły na Wschodzie "papierek" czy rekomendacja. Nosił datę sprzed osiemnastu miesięcy, co również było normalne, jako że "papierki" są skrupulatnie przechowywane przez swych właścicieli.

Marszcząc brwi, Richard zanalizował po kolei poranne wydarzenia, z właściwą sobie precyzją i logiką.

Fakir Carmichael, teraz już był tego pewny, bał się o swoje życie. Ścigano go i przybiegł do konsulatu. Dlaczego? Szukać bezpiecznego schronienia? Znalazł się tu jednak w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Nieprzyjaciel, bądź wysłannik nieprzyjaciela, już na niego czekał. Komiwojażer musiał mieć bardzo surowy rozkaz, skoro ryzykował strzał do Carmichaela w obecności świadków. Była to zatem sprawa gardłowa. Carmichael zwrócił się o pomoc do dawnego kolegi szkolnego i udało mu się przekazać Richardowi ten pozornie niewinny papierek. Była to więc na pewno niezwykle ważna kartka i jeśli złapią Carmichaela i stwierdzą, że już jej nie ma, połapią się, w czym rzecz, i zaczną szukać osoby lub osób, którym Carmichael mógł ją przekazać.

Co miał zatem zrobić Richard Baker?

Mógł przekazać karteczkę Claytonowi, jako przedstawicielowi Jego Królewskiej Mości.

Mógł też ją zachować, do czasu kiedy zgłosi się po nią Carmichael.

Po namyśle zdecydował się na drugie rozwiązanie.

Przede wszystkim podjął pewne środki ostrożności.

Oderwał czystą połowę strony ze starego listu i zabrał się do pisania rekomendacji dla kierowcy ciężarówek, używając tych samych słów, ale inaczej je formułując. Sądził bowiem, że ma do czynienia z szyfrem, w którym szyk wyrazów ma znaczenie, chociaż oczywiście wiadomość mogła być podana niewidocznym atramentem.

Następnie wytarł swoje dzieło kurzem z własnych butów, zgniótł je w rękach, zginał i rozginał papier, aż ten osiągnął wygląd starej, brudnej kartki.

Zmietosił ją i schował do kieszeni. Przyglądał się przez jakiś czas oryginałowi i rozważał różne możliwości.

W końcu uśmiechnął się i złożył papier wiele razy, aż stał się mały i podłużny. Wyjął z torby kawałek plasteliny (którą

zawsze brał w podróż), zawiązał swoją paczuszkę w nieprzemakalny materiał wycięty z woreczka na gąbkę i włożył w plastelinę. Następnie zaczął toczyć i gładzić plastelinę, by uzyskać gładką powierzchnię. Po czym wwalcował w nią odcisk cylindrycznej pieczęci, którą miał przy sobie. Teraz przyglądał się badawczo wynikowi swej pracy. Przepięknie rzeźbiony rysunek boga słońca Szamasza uzbrojonego w miecz sprawiedliwości. "Miejmy nadzieję, że to dobry omen" - powiedział do siebie. Tego wieczoru, kiedy sprawdził kieszeń marynarki, którą miał na sobie rano, stwierdził, że pognieciona kartka zniknęła.

Rozdział siódmy

Wreszcie prawdziwe życie! - pomyślała Victoria, siedząc na terminalu. Nadeszła magiczna chwila, podano komunikat: "Pasażerowie odlatujący do Kairu, Bagdadu i Teheranu proszeni są o zajęcie miejsc w autobusie".

Magiczne nazwy, czarowne słowa; oczywiście nie dla pani Hamilton Clipp, która prawdopodobnie większą część życia spędziła na przesiadkach ze statku na samolot, z samolotu na pociąg, z krótkimi postojami w luksusowych hotelach. Ale dla Victorii była to cudowna odmiana po tym, co słyszała na co dzień: "Proszę to zanotować, panno Jones". "W liście jest pełno błędów. Trzeba to przepisać, panno Jones". "Woda się gotuje, skarbie, niech pani zrobi herbatę". "Znam takie jedno miejsce, gdzie świetnie robią trwałą". Trywialna, nudna codzienność! A tu - Kair, Bagdad, Teheran - wszystkie wspaniałości Wschodu (i do tego Edward...).

Victoria wróciła na ziemię: jej pracodawczyni - niezmordowane gadułka, jak już zdążyła zauważyć Victoria - kończyła właśnie dłuższy wywód:

- ... i, wie pani, właściwie nic nie jest czyste. Zawsze bardzo uważam z jedzeniem. Ten smród na ulicach i bazarach, nie może pani sobie nawet wyobrazić! A te niehigieniczne szmaty, które oni noszą! A niektóre toalety! Trudno je w ogóle nazwać toaletami!

Victoria posłusznie wysłuchiwała tych przygnębiających opinii, ale czar nie prysnął. W jej wieku człowiek nic sobie nie robi z brudu czy zarazków. Dojechali na Heathrow i Victoria pomogła pani Clipp wyjść z autobusu. Miała już pod swoją pieczę paszporty, bilety, pieniądze itp.

- Mój Boże - powiedziała pani Clipp. - Jak to dobrze, że mam panią przy sobie. Naprawdę nie wiem, jak bym sobie sama poradziła.

"Podróż samolotem - myślała Victoria - przypomina wycieczkę szkolną. Nauczyciele, energiczni, mili, stanowczy, opiekuńczy przeprowadzają dzieci za rękę przez każdy zakręt. A stewardesy, wystrojone w mundurki, z powagą guwernantek zajmujących się słabo rozwiniętymi dziećmi, tłumaczą łagodnie, co należy zrobić. Aż się prosi, żeby jeszcze mówiły: »A teraz, dzieci...«" - pomyślała Victoria.

Znudzony młodzieńcy jak automaty wyciągali rękę po paszport, wypytywali poufale o pieniądze i biżuterię, budząc w człowieku poczucie winy. Victoria, z natury łatwo poddająca się sugestii, zapragnęła nagle opisać swą jedyną skromną broszkę jako diamentową tiarę wartą dziesięć tysięcy funtów, tylko dlatego, by zobaczyć wyraz twarzy znużonego młodzieńca. Powstrzymała się jednak na myśl o Edwardzie.

Po przejściu rozmaitych kontroli, pasażerowie usiedli i znowu czekali, tym razem w obszernym pomieszczeniu z bezpośrednim widokiem na lotnisko. Dochodzący z zewnątrz huk rozgrzewającego się silnika był najbardziej odpowiednim akompaniamentem dla tego widowiska. Pani Hamilton Clipp z rozkoszą zagłębiła się w monolog o współpasażerach.

- Co za urocze dzieci, te dwa aniołki! Ależ to katorga podróżować tak z dziećmi bez żadnej pomocy. To chyba Anglicy. Matka ma świetnie skrojony kostium. Ale wygląda na zmęczoną. Jaki przystojny mężczyzna! Wyraźny typ latynoski. A cóż to za krzyżącą szachownicę ma na sobie ten człowiek? W bardzo złym guście. Na pewno jakiś biznesmen. Tamten, o tam, to Holender, stał przed nami przy kontroli. Ta rodzina tutaj to Turcy albo Persowie. Nie widzę w ogóle Amerykanów. Pewno latają Pan American. A ci trzej panowie rozmawiający ze sobą są na pewno z koncernu naftowego, jak pani myśli? Uwielbiam patrzeć na ludzi i zgadywać, kim są. Mąż twierdzi, że mam prawdziwy dar zgłębiania natury ludzkiej. Dla mnie to normalne, że człowiek interesuje się drugim człowiekiem. Założę się, że to futro z norek kosztowało trzy tysiące dolarów.

Pani Clipp westchnęła. Dokonała już co prawda oceny swoich towarzyszy podróży, ale była niezmordowana.

- Chciałabym wiedzieć, na co my właściwie czekamy. Ten samolot rozgrzewał się już cztery razy. Sterczymy tu i sterczymy. Dlaczego nas nie puszczają? Na pewno mamy opóźnienie.

- Nie ma pani ochoty na filiżankę kawy? Mogę skoczyć do bufetu.

- Nie, dziękuję, panno Jones. Piłam kawę przed wyjazdem na lotnisko, mam zresztą tak rozstrojony żołądek, że wszystko mogłoby mi zaszkodzić. Na co my właściwie czekamy?

Odpowiedź się znalazła, nim jeszcze skończyła pytanie.

Drzwi prowadzące z korytarza, od kontroli celnej i paszportowej, otworzyły się gwałtownie i jak huragan wypadł z nich wysoki mężczyzna. Urzędnicy linii lotniczych obskakiwali go ze wszystkich stron. Pracownik BOAC niósł dwa duże zapieczętowane płócienne worki.

Pani Clipp podniosła się z miejsca z ożywieniem.

- To jakaś gruba ryba - zauważyła.

"I nie ukrywa tego" - pomyślała Victoria.

W spóźnionym pasażerze była jakaś wykalkulowana pogoń za sensacją. Miał na sobie ciemnoszary płaszcz z wielkim kapturem. Na głowie nosił coś na kształt dużego sombrero, ale w jasnoszarym kolorze. Miał srebrne, dość długie kręcone włosy i wspaniałe srebrnoszare wąsy zakręcone na końcach. Wyglądał jak piękny rozbójnik na scenie. Victoria nie lubiła upozowanych teatralnych ludzi i przyglądała mu się z niechęcią.

Stwierdziła z niezadowoleniem, że urzędnicy na lotnisku nadskakiwali mu na wyścigi.

- Tak, sir Rupert. Oczywiście, sir Rupert. Samolot zaraz wystartuje, sir Rupert.

Sir Rupert, powiewając połami obszernego płaszcza, przeszedł przez drzwi prowadzące na lotnisko. Drzwi zatrzasnęły się za nim gwałtownie.

- Sir Rupert - mruknęła pani Clipp. - Ciekawa jestem, kto to jest.

Victoria pokręciła głową na znak, że nie wie, chociaż miała niejasne uczucie, że powierzchowność sir Ruperta nie jest jej obca.

- Może to ktoś u was w rządzie? - zasugerowała pani Clipp.

- Nie wydaje mi się - odparła Victoria.

Nieliczni członkowie rządu, których miała okazję ujrzeć na własne oczy, zrobili na niej wrażenie ludzi, którzy przeproszają za to, że żyją. Tylko na trybunach zachowywali się w sposób pompatyczny i pouczający.

- Proszę państwa - powiedziała elegancka stewardesa-guwernantka - proszę zajmować miejsca w samolocie. Tedy, proszę się pospieszyć.

Jej sposób zachowania sugerował, że wyrozumieli dorośli tracą czas przez bandę małych próżniaków.

Pasażerowie wysypali się na lotnisko.

Wielki samolot stał na pasach, silnik pracował, mrużąc jak olbrzymi, zadowolony lew.

Victoria i steward pomogli pani Clipp wsiąść do samolotu i zająć miejsce. Victoria usiadła obok niej, przy przejściu.

Dopiero kiedy już usadowiła wygodnie panią Clipp i sama zapięła pasy, zauważyła, że przed nimi siedzi ów ważny gość.

Drzwiczki się zamknęły. W kilka sekund później samolot powoli ruszył po pasach.

"Naprawdę lecimy - pomyślała Victoria w ekstazie. - Można mieć trochę stracha. A nuż nigdy nie oderwie się od ziemi? Zupełnie sobie tego nie wyobrażam".

Samolot kołował bez końca wzdłuż lotniska, potem powoli zawrócił i zatrzymał się. Rozpoczął się dziki ryk silników. Rozdawano gumę do żucia, cukierki i watę.

Coraz głośniejszej i głośniejszej, coraz wścieklej ryczały silniki. I znowu samolot ruszył. Najpierw powolutku, potem szybciej i jeszcze szybciej - maszyna pędziła po ziemi.

"Nigdy się nie oderwiemy - pomyślała Victoria. - Zginiemy".

Szybciej, płynniej, bez drgań, bez wstrząsów - byli w powietrzu, szybowali w górę, robili koło, lecieli nad parkingiem i główną szosą, w górę, wyżej - w dole śmieszna mała dymiąca kolejka, domki dla lalek, samochodziki. I jeszcze wyżej; nagle ziemia stała się nierzeczywista, przestała być czymś ludzkim i żywym - po prostu wielka mapa, a na niej linie, koła i punkty.

Pasażerowie w samolocie odpięli pasy, zapalili papierosy, otworzyli pisma. Victoria znajdowała się w nowym świecie, którego długość sięgała wielu metrów, a szerokość zaledwie kilku, w świecie zamieszkanym przez dwadzieścia-trzydzieści osób. I nic innego nie istniało.

Wyrzała przez okienko. Pod nimi - chmury, puszyste warstwy chmur. Samolot leciał w słońcu. Gdzieś w dole, pod chmurami, znajdował się świat, jej dotychczasowy świat.

Wzięła się w garść. Pani Hamilton Clipp coś do niej mówiła. Victoria wyjęła watę z uszu i pochyliła się ku niej z uwagą.

Sir Rupert wstał z fotela, zdjął szary filcowy kapelusz z szerokim rondem, zarzucił na głowę kaptur i wyciągnął się na siedzeniu.

"Nadęty osioł" - pomyślała Victoria bezpodstawnie uprzedzona do tego człowieka.

Pani Clipp siedziała nad otwartym pismem. Od czasu do czasu trącała łokciem Victorię - kiedy próbowała przewracać strony jedną ręką, pismo ześlizgiwało się na podłogę.

Victoria rozglądała się po samolocie. Stwierdziła, że podróż samolotem jest właściwie nudna. Otworzyła pismo, trafiła na reklamę: "Czy chcesz podnieść swoje kwalifikacje stenotypistki?", wstrząsnęła się, zamknęła pismo, wyciągnęła się na fotelu i zaczęła myśleć o Edwardzie.

Na lotnisko Castel Benito dotarli w ulewnym deszczu. Victoria trochę źle się czuła i musiała zebrać resztki energii, by pełnić swe obowiązki wobec pracodawczyni. W strugach deszczu jechali do kwater dla podróżnych. Wąznego sir Ruperta, zdążyła zauważyć Victoria, oczekiwał umundurowany oficer z czerwonymi patkami na kołnierzu. Pomknęli sztabowym samochodem do jakiejś rezydencji w Trypolisie.

Podróżnym przydzielono pokoje. Victoria pomogła pani Clipp umyć się, przebrać w szlafrok i położyć i rozstała się z nią do czasu wieczornego posiłku. Oddaliła się do swego pokoju, położyła się i przymknęła oczy, szczęśliwa, że nie widzi wznoszącej się i opadającej podłogi.

Obudziła się po godzinie, zdrowa i zadowolona, i poszła pomóc pani Clipp. Bardzo stanowcza stewardesa poinformowała pasażerów, że samochody czekają, by zawieźć ich na kolację. Po kolacji pani Clipp wdała się w rozmowę ze współpasażerami. Człowiek w marynarce w krzykliwą szachownicę zapalał sympatią do Victorii i długo jej opowiadał o produkcji ołówków.

Później przewieziono znowu wszystkich do kwater i podano krótki komunikat, że odjazd na lotnisko nastąpi o wpół do szóstej rano.

- Niewiele widziałam z Trypolisu - powiedziała ze smutkiem Victoria. - To tak wyglądają wszystkie podróże samolotem?

- Tak, tak to jest. Prawdziwy sadyzm, ten ich sposób budzenia człowieka o świcie. Często każą potem sterczeć na lotnisku przez dwie godziny. Kiedyś, pamiętam, w Rzymie zerwali nas o wpół do czwartej. Śniadanie o czwartej w restauracji. A z lotniska wystartowaliśmy dopiero o ósmej. Ale cóż, najważniejsze, że zawożą nas błyskawicznie na miejsce i że nie bałamuci się czasu po drodze.

Victoria westchnęła. Chętnie zbałamuciłaby dużo czasu. Chciała zobaczyć świat.

- Wie pani co? - mówiła pani Clipp w podnieceniu. - Pamięta pani tego interesującego mężczyznę? Już wiem, kto to jest. To sir Rupert Crofton Lee, ten słynny podróżnik. Na pewno pani o nim słyszała.

Tak, Victoria teraz sobie przypominała. Widziała zdjęcia w gazetach, jakieś sześć miesięcy temu. Sir Rupert był wielkim autorytetem w sprawach środkowych Chin, jednym z niewielu ludzi, którzy dobrze poznali Tybet i miasto Lhasa. Podróżował przez nieznane regiony Kurdystanu i Azji Mniejszej. Jego książki cieszyły się dużym powodzeniem, napisane były żywo i błyskotliwie. Sir Rupert miał więc powody do zachowania zwracającego uwagę. Wszystko było w pełni uzasadnione. Płaszcz z kapturem, kapelusz z szerokim rondem - była to, Victoria sobie teraz przypominała, rozmyślnie wybrana przez niego moda.

- Czy to nie prawdziwa sensacja? - pytała pani Clipp z entuzjazmem tropiciela śladów, leżąc nieruchomo na łożku, podczas gdy Victoria poprawiała pościel.

Victoria przyznała, że to wielka sensacja, ale stwierdziła w duchu, że przedkłada książki sir Ruperta nad jego charakter. Zachowanie sir Ruperta określiłaby jako popisywanie się, jak to mówią dzieci.

Start odbył się bez zakłóceń nazajutrz rano. Pogoda po-

prawiła się, świeciło słońce. Victoria wciąż była niepocieszona, że właściwie nic nie widziała z Trypolisu. Za to do Kairu samolot miał przylecieć w porze lunchu, odlot do Bagdadu był dopiero na drugi dzień rano, więc po południu Victoria mogła trochę pozwiedzać.

Lecieli nad morzem, ale wkrótce chmury zasłoniły niebieskie wody i Victoria, ziewając, zagłębiła się w fotelu. Sir Rupert już spał. Zsunął mu się kaptur, a głowa od czasu do czasu opadała na piersi. Victoria zauważyła ze złośliwą satysfakcją, że z tyłu na szyi sir Rupert ma mały czyrak. Dlaczego tak ją ucieszyło to spostrzeżenie - trudno powiedzieć; może wielki człowiek stał się w jej oczach bardziej ludzki i bezbronny. W końcu pod tym względem nie różnił się od zwykłych śmiertelników - nie omijały go drobne dolegliwości fizyczne. Sir Rupert zachowywał olimpijską postawę i kompletnie nie zwracał uwagi na swoich towarzyszy podróży.

"Co on sobie wyobraża? Że kim właściwie jest?" - zastanawiała się Victoria. Odpowiedź na to pytanie była oczywista: sir Rupertem Croftonem Lee, światową sławą, a ona - Victorią Jones, mierną stenotypistką bez żadnego znaczenia.

Po przyjeździe do Kairu Victoria zjadła lunch z panią Clipp, po czym pani Clipp powiedziała, że chce się do szóstej zdrzemnąć, i poradziła Victorii, żeby poszła obejrzeć piramidy.

- Zamówiłam pani samochód. Wiem, że przez te wasze przepisy skarbowe nie mogłaby pani wymierać tu pieniędzy.

Victoria i tak nie miała żadnych pieniędzy do wymiany, była więc bardzo wdzięczna pani Clipp i okazała to wylewnie,

- Ależ to nic takiego. Była pani dla mnie bardzo dobra. Dla nas, podróżujących z dolarami w rękę, wszystko jest proste.

Pani Kitchin, ta dama z dwójką uroczych dzieci, też bardzo chciała się wybrać, więc zaproponowałam, że pojedziecie razem, czy to pani odpowiada?

Victoria zgodziłaby się na wszystko, byle tylko zwiedzić kawałek świata.

- To świetnie. Najlepiej jechać zaraz.

Popołudnie w piramidach było wspaniałe. Byłoby jeszcze wspanialsze bez latorośli pani Kitchin, choć Victoria na ogół lubiła dzieci. Przy dłuższym zwiedzaniu dzieci stają się uciążliwe. Młodsze zrobiło się tak nieznośne, że trzeba było wracać z wycieczki wcześniej, niż zaplanowano.

Victoria, ziewając, padła na łóżko. Bardzo by chciała zostać przez tydzień w Kairze, popłynąć Nilem. "A skąd byś wzięła, dziewczyno, pieniądze?" - ostudziła swój zapał. I tak cudem leciała za darmo do Bagdadu.

"A co zrobisz, mówił jej chłodno jakiś głos wewnętrzny, kiedy już wylądujesz w Bagdadzie z marnymi kilkoma funtami przy duszy?"

Odsunęła od siebie tę kwestię. Edward znajdzie jej jakąś pracę. A jak jemu się nie uda, sama sobie znajdzie. Po co się martwić?

Zmęczona ostrym słońcem zamknęła oczy.

Poderwała się, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Tak się jej przynajmniej zdawało. Powiedziała: "proszę", ale nikt nie wchodził, wstała więc z łóżka, podeszła do drzwi i otworzyła je. Pukano nie do jej drzwi, ale do sąsiednich. Jedna z nieodłącznych stewardes, ciemnowłosa, ubrana w mundurek dziewczyna, pukała do drzwi sir Ruperta Croftona Lee. Otworzył akurat w chwili, kiedy wyjrzała Victoria.

- O co chodzi?

Był wyraźnie zdziwiony i zaspany.

- Przepraszam, że pana niepokoję - gruchała stewardesa - ale czy mógłby pan pójść do biura BOAC? Trzecie drzwi w dół korytarza. Chodzi o jakiś drobiazg w sprawie jutrzejszego lotu do Bagdadu.

- Dobrze, już idę.

Victoria wycofała się do siebie. Odechciało jej się spać. Spojrzała na zegarek. Dopiero wpół do piątej. Jeszcze półtorej godziny do zajęć przy pani Clipp. Postanowiła przejść się po Heliopolis. To można przynajmniej zrobić za darmo.

Upudrowała się, włożyła buty. Z trudem wsunęła w nie stopy - zwiedzanie piramid zdecydowanie im nie posłużyło.

Wyszła z pokoju na korytarz i skierowała się do głównego hallu. Po drodze minęła biuro BOAC. Na drzwiach wisiała przybita gwoździem tabliczka. W chwili, kiedy mijała biuro, drzwi otworzyły się i wyszedł sir Rupert. Szedł szybko i wyprzedził ją w kilku krokach. Kroczył teraz przed nią, powiewając połami palta i Victorii zdawało się, że coś go trapi. Pani Clipp była trochę zdenerwowana, gdy Victoria o szóstej stawiała się do swych obowiązków.

- Niepokoi mnie nadwaga bagażu. Myślałam, że wszystko zapłaciłam do końca, ale wygląda na to, że tylko do Kairu. Jutro lecimy irackimi liniami, mam bilet na całą trasę, ale nie na dodatkowy bagaż. Mogłaby pani to sprawdzić? Może powinnam wymienić jeszcze jeden czek podróży.

Victoria poszła więc zasięgnąć informacji. Z początku nie mogła znaleźć biura BOAC, w końcu okazało się, że znajduje się ono w dalszym korytarzu, po drugiej stronie hallu - było dość duże. Widocznie to pierwsze małe biuro służyło tylko w godzinach popołudniowej sjesty. Obawy pani Clipp o dodatkowy bagaż okazały się w pełni uzasadnione, czym się bardzo zmartwiła.

Rozdział ósmy

Na piątym piętrze biurowca w londyńskim City mieściła się Yelhalla Gramophone Co. Mężczyzna siedzący za biurkiem czytał książkę z dziedziny ekonomii. Zadzwoił telefon, mężczyzna podniósł słuchawkę. Odezwał się cichym, bezbarwnym głosem:

- Yalhalla Gramophone Co.

- Tu Sanders.

- Sanders znad Rzeki? Jakiej rzeki?

- Rzeki Tygrys. Raport w sprawie A. S. Zgubiliśmy ją. Chwila milczenia, po czym cichy głos, tym razem z twardą nutą, odezwał się znowu:

- Czy dobrze zrozumiałem?

- Zgubiliśmy Annę Scheele.

- Bez nazwisk. Poważny błąd. Jak to się stało?

- Pojechała do tej lecznicy. Mówiłem już panu. Jej siostra miała operację.

- I co?

- Operacja się udała. Spodziewaliśmy się, że A. S. wróci do Savoyu. Zatrzymała tam apartament. Nie wróciła. Lecznica była pod obserwacją, więc mieliśmy pewność, że stamtąd nie wyszła. Zakładaliśmy, że jest w lecznicy.

- A nie jest?

- Właśnie się dowiedzieliśmy. Odjechała karetką dzień po operacji.

- A więc świadomie wyprowadziła was w pole?

- Na to wygląda. Przysiągłbym, że nie wiedziała, że ją śledzimy. Zachowaliśmy wszelkie środki ostrożności. Byliśmy we trójkę i...

- Nie czas na tłumaczenia. Gdzie pojechała karetką?

- Do University College Hospital.

- Czego dowiedzieliście się w szpitalu?

- Że przywieziono pacjentkę pod opieką pielęgniarki. Pielęgniarką musiała być Anna Scheele. Nikt nie wie, gdzie się udała po przywiezieniu pacjentki.
- A pacjentka?
- Nic nie wie. Była pod narkozą.
- A więc Anna Scheele wyszła z University College Hospital przebrana za pielęgniarkę i mogła oddalić się wszędzie?
- Tak. Jeśli wróci do Savoyu...
- Nie wróci do Savoyu - uciął tamten.
- Sprawdzić w innych hotelach?
- Tak, ale założę się, że to nic nie da. Jest na to przygotowana.
- Jakie dostajemy instrukcje?
- Sprawdźcie porty: Dover, Folkestone itd. Sprawdźcie linie lotnicze. Przede wszystkim do Bagdadu na każdy lot przez najbliższe dwa tygodnie. Rezerwacja nie będzie na jej nazwisko. Szukajcie osób w jej wieku.
- Zostawiła walizki w Savoyu. Może się po nie zgłosi.
- Na pewno nie. Nie jest taka głupia jak ty. Czy jej siostra coś wie?
- Jesteśmy w kontakcie z jej osobistą pielęgniarką w lecznicy. Siostra myśli, że A. S. jest w Paryżu, załatwia tam jakieś sprawy dla Morgenthala i mieszka w hotelu Ritz. Jest przekonana, że A. S. wraca do Stanów dwudziestego trzeciego.
- Słowem, A. S. nic jej nie powiedziała. Nie zrobiłaby tego. Sprawdźcie te loty. To jedyna nadzieja. Musi się dostać do Bagdadu i musi tam lecieć samolotem, żeby zdążyć. I, Sanders...
- Tak?
- Żadnych wpadek więcej. To twoja ostatnia szansa.

Rozdział dziewiąty

Shrivenham, młody pracownik Ambasady Brytyjskiej, przestępował z nogi na nogę, gapiąc się na samolot krążący nad lotniskiem w Bagdadzie. Burza pędząca tumany kurzu szalała nad miastem. Palmy, domy, ludzie -wszystko spowite było gęstą, brunatną mgłą. Burza zerwała się zniecka.

Lionel Shrivenham zauważył z głęboką rozpaczą w głosie:

- Założę się, że nie wylądują.

- I co wtedy?

- Pewno pojadą do Basry. Tam jest podobno dobra pogoda.

- Czekasz na kogoś ważnego? Shiwenham znowu jęknął.

- Ale mam szczęście! Opóźnia się przyjazd nowego ambasadora. Radca Landsdowne jest w Anglii. Radca do spraw Wschodu, Rice, chory na infekcję gastryczną, leży z bardzo wysoką gorączką. Best jest w Teheranie; a ja tutaj, z całym tym paszтетem. Co za zamieszanie wokół tego faceta! Zupełnie nie wiem dlaczego. Nawet tajne służby postawiono na nogi. Należy do tych podróżników, co to zawsze krążą gdzieś na wielbłądzie po jakiejś głuszy. Nie wiem, dlaczego on jest dla nas taki ważny, ale tak czy owak to gruba ryba, a ja mam spełniać każde jego życzenie. Dostanie szafu, jeśli odeślą ich do Basry. Nie wiem, co powinienem zrobić. Sprowadzić go nocnym pociągami? A może lepiej jutro samolotem RAF-u?

Shrivenham znowu westchnął. Wzrosło w nim poczucie krzywdy, a zarazem odpowiedzialności. Od czasu swego przyjazdu do Bagdadu, trzy miesiące temu, miał ustawicznego pecha. Czuł, że jeszcze jedno potknięcie i jego świetnie zapowiadająca się kariera legnie w gruzach.

Samolot zmienił kurs i zaczął się zniżać.

- Nie da rady - stwierdził Shrivenham, ale zaraz krzyknął w podnieceniu: - Patrzenie państwo... chyba podchodzi do lądowania.

Jeszcze kilka chwil i samolot usiadł spokojnie na ziemi, a Shrivenham szykował się do powitania swego ważnego gościa.

Męskim okiem wypatrzył niebrzydką dziewczynę, po czym wystąpił, by przywitać przypominającą pirata postać w powiewnym płaszczu.

"Doskonały strój na maskaradę" - pomyślał z dezaprobatą, a głośno powiedział:

- Sir Rupert Crofton Lee? Shrivenham z Ambasady Brytyjskiej.

Sir Rupert, myślał Shrivenham, jest dość lakoniczny, chociaż może trudno się dziwić po tym całym napięciu przy krążeniu nad miastem i niepewności, czy samolot wylądował, czy nie.

- Okropna pogoda - podjął Shrivenham. - Zresztą nie pierwszy raz w tym roku zdarzają się takie rzeczy. A, jest pana bagaż. W takim razie idziemy, wszystko w porządku.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Shrivenham powiedział:

- Myślałem przez chwilę, że skierują was na inne lotnisko. Że tu nie można będzie wylądować. Nagle taka burza!

Sir Rupert wydał mocno policzki i powiedział ważnym głosem:

- To byłaby katastrofa, zupełna katastrofa. Gdybym musiał zmienić plany, młody człowieku, skutki byłyby poważne i dalekosiężne.

"Co za waśniak - pomyślał Shrivvenham bez odrobiny respektu. - Tacy jak on uważają, że świat się kręci wokół ich wariackich spraw".

A głośno powiedział z szacunkiem:

- Wyobrażam sobie, sir.

- Czy orientuje się pan, kiedy ambasador dotrze do Bagdadu?

- Na razie dokładnie nie wiadomo, sir.

- Nie chciałbym się z nim rozminąć. Ostatni raz widziałem go... zaraz... tak, w trzydziestym ósmym w Indiach. Shrivvenham milczał z rezerwą.

- Rice jest tutaj, o ile się nie mylę.

- Tak, sir, jest radcą do spraw Wschodu.

- Zdolny człowiek. Dużo wie. Chciałbym się z nim zobaczyć.

Shrivvenham zakaszał gwałtownie.

- Prawdę mówiąc, sir, Rice jest chory. Wzięli go na obserwację do szpitala. Ostry niezbyt żołądka. To wygląda na coś poważniejszego niż nasza zwykła bagdadzka niestrawność.

- Co to może być? - sir Rupert odwrócił się gwałtownie. - Ostry niezbyt żołądka, hm... Objawy wystąpiły nagle, czy tak?

- Tak, przedwczoraj, sir.

Sir Rupert zmarszczył brwi. Nagle opuściła go afektowana wyniosłość, stał się bardziej zwykły, nawet zatroskany.

- Zastanawiam się... - powiedział.

Shrivvenham patrzył na niego uprzejmie i wyczekująco.

- Zastanawiam się - podjął sir Rupert - czy to nie jest przypadek spowodowany zielenią Scheelego.

Shrivvenham milczał w zakłopotaniu.

Przed mostem Feisal samochód skręcił w lewo do Ambasady Brytyjskiej.

Sir Rupert nagle pochylił się do przodu.

- Proszę się zatrzymać na chwilę - powiedział rozkazująco. - Tak, po prawej. Tam gdzie te garnki.

Samochód podjechał miękko do prawego krawężnika i zatrzymał się.

Znajdował się tam mały iracki sklepik zawałony garnkami z surowej białej gliny i dzbanami na wodę.

Niewysoki krępy Europejczyk, który rozmawiał z właścicielem sklepu, oddalił się w kierunku mostu w chwili, gdy podjechali. Shrivvenhamowi wydawało się, że to Crosbie z I and P, którego spotkał raz czy dwa.

Sir Rupert wyskoczył z samochodu i ruszył zamaszyście do sklepu. Wziął jeden garnek i zaczął rozmawiać po arabsku z właścicielem, ale w tak szybkim tempie, że Shrivvenham nic nie mógł zrozumieć: mówił po arabsku powoli, przychodziło mu to z trudem i miał ograniczony zasób słów.

Sprzedawca uśmiechał się, rozkładał szeroko ręce, gestykulował, coś tłumaczył. Sir Rupert wyciągał rozmaite garnki i o coś pytał. W końcu wybrał dzban z wąską szyjką, wepchnął właścicielowi do rąk pieniądze i wrócił do samochodu.

- Ciekawa technika - powiedział sir Rupert. - Wyrabiają to w ten sam sposób od tysięcy lat, ten sam kształt mają dzbany w jednym z górskich regionów Armenii.

Włożył palec do wąskiego otworu, obracając nim w kółko.

- Surowa robota - stwierdził Shrivvenham bez entuzjazmu.

- Och, to nie żaden wyrób artystyczny, ale interesujący z punktu widzenia historycznego. Widzi pan te ślady ucha?

Można uzyskać niejedną informację historyczną na podstawie obserwacji prostych sprzętów codziennego użytku.

Mam tego całą kolekcję.

Samochód skręcił w bramę Ambasady Brytyjskiej.

Sir Rupert od razu poszedł do swojego pokoju. Shrivvenham był lekko ubawiony, zauważył bowiem, że sir Rupert, po całym wykładzie o glinianych garnkach, zostawił nonszalancko swój dzban w samochodzie. Shrivvenham rozmyślnie zaniósł go na górę do pokoju sir Ruperta i ostrożnie postawił na nocnym stoliku.

- Pański dzban, sir.

- Co? A, dziękuję, młody człowieku.

Sir Rupert wyglądała na roztargnionego. Shrivvenham powtórzył raz jeszcze, że niedługo będzie lunch, zapytał, czego sir Rupert się napije, po czym wyszedł z pokoju.

Kiedy sir Rupert został sam, zbliżył się do okna, wyjął z dzbana karteczkę i rozwinął ją. Wyglądził ręką. Było coś na niej napisane w dwóch liniach. Przeczytał uważnie tekst, następnie podpalił papier zapalką.

Wezwał służącego.

- Słucham, sir. Czy mam rozpakować walizki?

- Na razie nie. Chcę, żeby przyszedł tutaj pan Shrivvenham. Po chwili zjawił się Shrivvenham. Spytał z lekką obawą w głosie:

- Mogę w czymś pomóc, sir? Czy coś jest nie w porządku?

- W moich planach zaszła zasadnicza zmiana. Mogę oczywiście liczyć na pańską dyskrecję?

- W stu procentach, sir.

- Już dawno nie byłem w Bagdadzie, faktycznie od wojny. O ile wiem, hotele położone są głównie na drugim brzegu?

- Tak, sir. Na ulicy Raszida.

- Nad Tygrysem?

- Tak. Największy to Babylonian Palace, raczej dla urzędowych gości.

- A zna pan hotel Tio?

- Oczywiście, wielu ludzi się tam zatrzymuje. Dość dobra kuchnia, a prowadzi go przezabawny człowiek, Marcus Tio. Jest on w Bagdadzie prawdziwą instytucją.

- Niech mi pan zarezerwuje pokój w tym hotelu.

- Jak to? Nie zostanie pan w ambasadzie? - dopytywał się nerwowo Shrivvenham. - Ale... przecież... wszystko jest ustalone...

- Ustalone, ustalone. Ustalenia można zmieniać - warknął sir Rupert.

- Tak, oczywiście, sir. Nie chodziło mi... Shrivvenham urwał. Miał przeczucie, że kiedyś będą z tego powodu kłopoty.

- Muszę przeprowadzić pewne rozmowy delikatnej natury. Nie mogę tego zrobić tu, w ambasadzie. Proszę, żeby mi pan zarezerwował pokój w hotelu Tio i chciałbym opuścić ambasadę w sposób możliwie dyskretny. To znaczy, nie chcę jechać do Tio służbowym samochodem. Proszę też o zabukowanie miejsca na samolot do Kairu na pojutrze.

Shrivvenham był coraz bardziej przestraszony.

- Sądziłem, że zostanie pan pięć dni...

- To już nieaktualne. Muszę koniecznie jechać do Kairu, kiedy tylko zakończę sprawy tutaj. Byłoby wręcz niebezpieczne, gdybym został dłużej.

- Niebezpieczne?

Ponury uśmiech przemknął nagle po twarzy sir Ruperta i zupełnie zmienił jej wyraz. Jego zachowanie, które Shrivvenham przyrównywał do zachowania pruskiego sierżanta, również uległo zmianie. Okazał się naraz człowiekiem sympatycznym.

- Bezpieczeństwo rzadko bywało moim hobby, to prawda - powiedział. - Ale w tym wypadku nie chodzi tylko o mnie. Moje bezpieczeństwo to bezpieczeństwo wielu innych ludzi. Więc niech pan zrobi to, o co pana proszę. Jeśli będą kłopoty z biletem lotniczym, proszę potraktować to jako sprawę pierwszorzędnej wagi. Pozostanę do wieczora w pokoju, póki stąd nie wyjadę. - I dodał, podczas gdy Shrivvenham stał osłupiały: - Oficjalnie jestem chory. Zachorowałem na malarię. - Shrivvenham pokiwał głową. - Nie będę więc nic jeść.

- Ale przecież możemy panu przysłać na górę...

- Dwadzieścia cztery godziny postu nie stanowiły dla mnie problemu. Bywałem dłużej głodny na niektórych wyprawach. Proszę zrobić tak, jak panu mówię.

Shrivvenham spotkał na dole kolegów i jęknął w odpowiedzi na ich pytania.

- Ścisła tajemnica, afera na wielką skalę - powiedział. - Nie mogę rozszyfrować tej jego napszoności. Czy jest prawdziwa, czy udana. Tego powiewającego płaszcza i pirackiego kapelusza, i całej reszty. Człowiek, który czytał jakąś jego książkę, powiedział mi, że chociaż jest on trochę pyszałkowaty, naprawdę dokonał tego wszystkiego i był w tych wszystkich miejscach, ale sam nie wiem... Chciałbym, żeby tu był Thomas Rice, on by się z tym uporał. Właśnie... przypomniałem coś sobie, co to jest zieleń Scheelego?

- Zieleń Scheelego? - zastanawiał się kolega Shrivvenhama marszcząc brwi. - To ma jakiś związek z klejem do tapet. Trucizna. Chyba rodzaj arszeniku.

- Do licha! - zawołał Shrivvenham szeroko otwierając oczy. - Myślałem, że to choroba. Odmiana ameby.

- Nie, to jakieś chemikalia. Żony wykańczają tym mężów albo odwrotnie.

Shrivvenham zamilknął przerażony. Zaczynał rozumieć pewne nieprzyjemne fakty. Crofton Lee sugerował, że Thomas Rice, radca ambasady do spraw Wschodu, nie jest chory na niezżyt żołądka, ale zatruty arszenikiem. Na dodatek sir Rupert dawał do zrozumienia, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, a decyzja, że nie zje ani nie wypije niczego, co pochodzi z kuchni Ambasady Brytyjskiej, wstrząsnęła do głębi godnym Brytyjczykiem Shrivvenhamem. Nie wiedział zupełnie, co z tym wszystkim zrobić.

Rozdział dziesiąty

Bagdad zrobił niekorzystne wrażenie na Victorii. Dusila się w gorącym żółtym pyłe. Przez całą drogę z lotniska do hotelu Tio świdrowało jej w uszach od ciągłego, nieustającego hałasu: trąbiące z szaleńczym uporem samochody,

gwizdki i znowu ogłuszające bezsensowne klaksony. Na ten ciągły ryk ulicy nakładał się, równie nieustający, drobny terkot głosu pani Hamilton Clipp.

Victoria dotarła do hotelu Tio zupełnie otumaniona.

Od pełnej fanfary ulicy Raszida biegła w stronę rzeki Tygrys niewielka uliczka, skąd małe schodki prowadziły do hotelu Tio. Przy wejściu do hotelu obie panie powitał bardzo tęgi młody mężczyzna, który, uśmiechając się od ucha do ucha, przycisnął je do piersi, w każdym razie tak to metaforycznie można określić. Victoria domyśliła się, że to Marcus, czyli pan Tio, właściciel hotelu Tio.

Od czasu do czasu przerywał mowę powitalną, wydając głośne polecenia służbie odnośnie do bagażu gości.

- A, pani Clipp znowu zawitała w nasze progi... ale co pani w rękę? Co to za śmieszne urządzenie?... Głupcy! Nie trzymajcie tego za ramię! Idioci! Nie wleczcie tak tego palta!... Mój Boże, co za pogoda na podróż! Myślałem, że samolot nie wylądaje. Krążył w kółko i w kółko, i w kółko. Powiedziałem sobie: Marcus, ty na pewno nie będziesz latać, po co ten cały pośpiech?... Przywiozła pani ze sobą młodą damę... Zawsze miło zobaczyć nową młodą damę w Bagdadzie... dlaczego pan Harrison po panią nie wyjechał?... Spodziewałem się go wczoraj... Oj, oj, muszą panie natychmiast wypić drinka.

Victorii zakreśliło się trochę w głowie od podwójnej whisky, którą wmuślił jej Marcus, i stała teraz, nieco oszołomiona, pośrodku wysokiego, białego otynkowanego pokoju z mosiężnym łóżkiem, niezwykle wyszukaną toaletką w najnowszym francuskim stylu, starą wiktoriańską szafą i dwoma pluszowymi krzesłami w żywym kolorze. Stała przy swoim skromnym bagażu, a obok krzątał się staruszek z żółtą twarzą, który uśmiechał się i kiwał do niej głową, wieszając w łazience ręczniki. Spytał ją, czy chce gorącą wodę na kąpiel.

- Ile to potrwa?

- Dwadzieścia minut, pół godziny. Zaraz przygotuję.

Uśmiechnął się po ojcowsku i wyszedł. Victoria usiadła na łóżku i przejechała ręką po włosach. Były lepkie od kurzu, twarz miała obolałą, całą w ziarenkach piasku. Spojrzała w lustro. Pył zmienił kolor jej włosów z czarnego na rudawobrązowy. Odchyliła zasłonę i wyjrzała na obszerny taras wychodzący na rzekę. Gęsta żółta mgła zasłaniała Tygrys. Victorię ogarnęła głęboka depresja, pomyślała: "Co za koszmarnie miejsce!".

Otrząsnęła się jednak, przeszła przez podest schodów i zapukała do pani Clipp. Przed przystąpieniem do własnej toalety i doprowadzeniem się do porządku czekały ją długie i żmudne posługi.

Po kąpiei, lunchu i dłuższej drzemce Victoria wyszła na taras, patrząc łaskawszym już okiem na Tygrys. Burza ustała, zniknęły żółte opary. Pojawiło się blade jasne światło. Po drugiej stronie rzeki widać było delikatne sylwetki palm i porozrzucanych domów.

Z ogrodu na dole dobiegały jakieś głosy. Victoria wyjrzała przez balustradę. Pani Hamilton Clipp, niezmordowanie gadatliwa, dusza-człowiek, nawiązała znajomość z jakąś kobietą, jedną z tych zahartowanych Angielek w trudnym do określenia wieku, które zawsze można spotkać za granicą.

- ... i naprawdę nie wiem, co ja bym bez niej zrobiła - mówiła pani Clipp. - To przeurocza dziewczyna. I na dodatek ma świetne koligacje. Siostrzenica biskupa Llangow.

- Jakiego biskupa?

- Chyba Llangow, tak mi się wydaje.

- Bzdura, nikt taki nie istnieje - stwierdziła Angielka.

Victoria zmarszczyła brwi. Znała ten typ kobiet: mieszkanka angielskiego hrabstwa, co nie da się nabrać na fałszywych biskupów.

- Może coś przekreśliłam - powiedziała niepewnie pani Clipp. - W każdym razie - podsumowała - to na pewno dziewczyna na miejscu i bardzo miła.

- Hm! - powiedziała tamta z powątpiewaniem w głosie.

Victoria postanowiła trzymać się z dala od tej damy. Instynkt podpowiadał jej, że wymyślanie historyjek na użytek tego rodzaju kobiet jest sprawą ryzykowną.

Wróciła do pokoju, usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać nad swą obecną sytuacją.

Mieszkała w hotelu Tio, który na pewno nie był tani. Cały jej majątek to cztery funty siedemnaście szylingów. Zjadła suty lunch, za który jeszcze nie zapłaciła i którego pani Hamilton Clipp nie musiała jej fundować. Pani Clipp była zobowiązana pokryć tylko koszty podróży do Bagdadu. Umowa została dotrzymana. Victoria dostała się do Bagdadu, a pani Clipp otrzymała sprawną pomoc w osobie siostrzenicy biskupa, byleż pielęgniarki i wykwalifikowanej sekretarki. Wszystko to już miały za sobą ku zadowoleniu

obu stron. Pani Hamilton Clipp wybierała się wieczornym pociągiem do Kirkuku i na tym koniec. Victoria miała cichą nadzieję, że pani Clipp wręczy jej na pożegnanie prezent w postaci jakiejś gotówki, doszła jednak do przykrego wniosku, że to raczej nieprawdopodobne. Pani Clipp nie miała przecież pojęcia, że Victoria jest w poważnych tarapatach finansowych.

Co powinna zrobić Victoria w takiej sytuacji? Odpowiedź była oczywista. Znaleźć Edwarda.

Z przykrością stwierdziła, że nie ma pojęcia, jak Edward ma na nazwisko. Edward, Bagdad. To rzeczywiście bardzo dużo, pomyślała, zupełnie jak ta saraceńska panna, co przyjechała do Anglii, znając tylko imię kochanka, Gilbert, i nazwę kraju, Anglia. Romantyczna historia, ale mocno kłopotliwa. Co prawda, w Anglii za czasów wypraw krzyżowych nie było nazwisk. Z drugiej strony ówczesna Anglia była większa od dzisiejszego Bagdadu, za to rzadko zaludniona. Victoria oderwała się od tych interesujących spekulacji i wróciła do twardej rzeczywistości. Musi natychmiast znaleźć Edwarda, a Edward musi znaleźć jej pracę. Też natychmiast.

Nie знаła, co prawda, nazwiska Edwarda, ale wiedziała, że przyjechał do Bagdadu jako sekretarz niejakiego doktora Rathbone'a, można też przypuszczać, że ów Rathbone jest jakąś ważną osobistością.

Victoria upudrowała się, przyglądała włosy i wyruszyła na dół, by zdobyć informacje.

W hallu spotkała promiennego Marcusa, który obsypał ją komplementami.

- A, panna Jones, zapraszam panią na drinka. Bardzo lubię angielskie damy. Wszystkie angielskie damy w Bagdadzie należą do moich przyjaciół. U mnie w hotelu każdy czuje się dobrze. Chodźmy do baru.

Victoria, nie mając nic przeciw szczodrej gościnności, zgodziła się bez oporów.

Siedząc na stołku w barze i popijając dżin, rozpoczęła swe poszukiwania.

- Zna pan może doktora Rathbone'a? Przyjechał teraz do Bagdadu - spytała.

- Znam każdego człowieka w Bagdadzie - stwierdził radośnie Marcus Tio. - I każdy zna Marcusa. Jest tak, jak mówię.

Och, mam bardzo, bardzo wielu przyjaciół.

- Z pewnością - powiedziała Victoria. - Zna pan doktora Rathbone'a?

- W zeszłym tygodniu miałem tu marszałka lotnictwa dowodzącego całym Środkowym Wschodem. "Marcus, mów, stary łobuzie, nie widziałem cię od czterdziestego szóstego. Nic nie schudłeś". Bardzo miły człowiek. Bardzo go lubię.

- A Rathbone? Też jest miły?

- Wie pani, lubię ludzi wesołych. Nie lubię ponuraków. Lubię ludzi wesołych, młodych i z wdziękiem, takich jak pani. Mówi do mnie ten marszałek: "Za bardzo lubisz kobiety, Marcus". A ja mu na to: "Nie, za bardzo lubię Marcusa, w tym cały sęk..." - Marcus wybuchnął śmiechem i zawołał: - Jezus, Jezus!

Victoria była zaskoczona, ale okazało się, że barman nazywa się Jezus. Pomyślała po raz kolejny, że Wschód jest dziwnym miejscem na ziemi.

- Jeszcze jeden dżin z sokiem pomarańczowym i whisky - zakomenderował Marcus.

- Chyba nie powinnam...

- Ależ tak, tak, powinna pani. To sła biutki.

- Chodzi mi o doktora Rathbone'a - nalegała Victoria.

- Ta pani Hamilton Clipp... co za dziwne nazwisko... z którą pani przyjechała, jest zdaje się Amerykanką. Lubię Amerykanów, a najbardziej Anglików. Amerykanie są zawsze bardzo smutni. Chociaż czasami, tak, potrafią się zabawić. Pan Summers - zna go pani? - pije strasznie dużo, jak przyjeżdża do Bagdadu, śpi przez trzy dni i nie budzi się. To już przesada. To jest nieładnie.

- Proszę mi pomóc - powiedziała Victoria. Marcus był wyraźnie zdziwiony.

- Oczywiście, pomogę pani. Zawsze pomagam, jak kogoś lubię. Pani powie, co pani chce, a wszystko zaraz będzie. Stek na zamówienie albo bardzo dobry indyk z ryżem i rodzynkami, i ziołami, albo małe kurczaczki.

- Nie chcę kurczaczek - powiedziała Victoria. - W każdym razie nie teraz - dodała na wszelki wypadek. - Chcę odnaleźć tego Rathbone'a. Doktor Rathbone. Dopiero co przyjechał do Bagdadu. Ze swoim... ze swoim sekretarzem.

- Nie wiem - powiedział Marcus. - Nie mieszka w Tio. Sugestia była wyraźna: kto nie mieszka w Tio, nie istnieje dla Marcusa.

- Ale są inne hotele - nalegała Victoria. - A może ma tu dom?

- Tak, są inne hotele. Babylonian Palace, Sennacherib, Zobeide. To dobre hotele, ale nie takie jak Tio.

- Na pewno nie takie - zapewniła Victoria. - Ale nie wie pan, czy doktor Rathbone zatrzymał się w którymś z nich? Prowadzi jakieś towarzystwo, coś, co ma związek z kulturą, z książkami.

Na wzmiankę o kulturze Marcus stał się bardzo poważny.

- Tego właśnie potrzebujemy - powiedział. - Musi być kultura. Sztuka, muzyka - to mi się bardzo, bardzo podoba. Lubię sonaty skrzypcowe, jak nie są za długie.

Victoria szczerze się z nim zgadzała, zwłaszcza z tym, co powiedział na końcu, ale widziała, że nie zbliża się ani na krok do celu. Rozmowa z Marcusem była bardzo zabawna, a Marcus był naprawdę uroczy z tym swoim dziecięcym entuzjazmem do życia, tylko dialog z nim przypominał wysiłki bohaterki przygód Alicji w Krainie Czarów, by znaleźć ścieżkę prowadzącą na pagórek. Ach ten Marcus! Każdy temat wiódł do punktu wyjścia.

Odmówiła następnego drinka i wstała. Trochę kręciło się jej w głowie. Koktajle Marcusa nie były wcale słabe. Wyszła na taras, oparła się o poręcz i stała, patrząc na rzekę. Nagle z tyłu usłyszała głos.

- Przepraszam, ale powinna pani włożyć żakiet. Tak, tak, wydaje się wam, że to lato, kiedy przyjeżdżacie z Anglii, tutaj po zachodzie słońca robi się bardzo zimno.

Była to ta sama Angielka, która wcześniej rozmawiała z panią Clipp. Miała zachrypnięty głos osoby trenującej i nawołującej psy wyścigowe. Nosiła futro, kolana okryła pledem i sączyła whisky z wodą sodową.

- Dziękuję pani za radę - powiedziała Victoria i zamierzała się oddalić, ale nie z tego.

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Cardew Trench jestem - implikacja była oczywista: z tych Cardew Trenchów. - Przyjechała pani z panią... zaraz, zaraz... Hamil-ton Clipp?

- Tak - odparła Victoria.

- Powiedziała mi, że jest pani siostrzenicą biskupa Llangow.

Victoria zmobilizowała się.

- Naprawdę? - spytała z odpowiednią dozą rozbawienia.

- Zapewne coś przekreśliła?

- Amerykanie często przekreślają nasze nazwiska. To trochę brzmi jak Llangow. Mój wuj - powiedziała improwizując naprędce - jest biskupem Languao.

- Languao?

- Tak, na archipelagu na Oceanie Spokojnym. Jest biskupem kolonialnym, rzecz jasna.

- Ach, tak, biskup kolonialny - powiedziała pani Cardew Trench, zniżając głos o dobre trzy tony.

Victoria przewidziała trafnie - pani Cardew Trench nie miała pojęcia o biskupach kolonialnych.

- To tłumaczy wszystko - dodała pani Cardew Trench. "I to bardzo dobrze, jak na tak błyskawiczny skok na głęboką wodę" - pomyślała z dumą Victoria.

- A co pani tutaj robi? - spytała pani Cardew Trench

z tym bezlitosnym zainteresowaniem, pod którym kryje się zazwyczaj wrodzona ciekawość.

"Szukam chłopca, z którym rozmawiałam przez kilka minut na skwerku w Londynie" - takiej odpowiedzi Victoria udzielić nie mogła. Odparła, mając w pamięci fragment z gazety i to, co oświadczyła pani Clipp:

- Jadę do wujka, doktora Pauncefoot Jonesa.

- Ach, więc to pani wujek? - pani Cardew Trench była wyraźnie uradowana, że "umiejszczyła" Victorię. - To uroczy człowiek, chociaż trochę roztargniony, to chyba zresztą naturalne. Byłam na jego odczyt w Londynie w zeszłym roku, doskonały wykład, chociaż słowa z niego nie rozumiałam. Tak, przejeżdżał przez Bagdad ze dwa tygodnie temu. Wspominał, że dojadą do niego jakieś dziewczyny.

Victoria, mając już ustalony status, prędko wyrwała się z pytaniem.

- Nie wie pani, czy jest tu doktor Rathbone? - spytała.

- Właśnie przyjechał - odparła pani Cardew Trench. - Chyba na odczyt w Instytucie w następny czwartek. "Więzy i braterstwo ludzi wszystkich krajów", coś takiego. Jedna wielka bzdura, jeśli mam być szczerą. Im większe podejmuje się wysiłki, by zbliżyć ludzi, tym bardziej stają się wobec siebie nieufni. Ta cała poezja i muzyka, i tłumaczenia Szekspira i Wordswortha na arabski, chiński, i język urdu. Taki Wordsworth i jego pierwiosnek nad brzegiem rzeki - po co to ludziom, którzy na oczy nie widzieli pierwiosnka?

- Nie wie pani, gdzie można znaleźć Rathbone'a?

- Zapewne w Babylonian Pałace. Ale biuro mają niedaleko muzeum. Gałązka Oliwna - co za głupia nazwa! Chmara dziewczyn w spodniach, z brudnymi szyciami, w okularach.

- Znam trochę jego sekretarza - wtrąciła Victoria.

- Aha, ten Edward Jak-Mu-Tam, miły chłopiec, szkoda go dla tego długowłosego cudaka, mówią, że dobrze spisał się na wojnie. Ale praca to praca. Przystojny chłopiec, wyobrażam sobie, jak te okularnice za nim szaleją.

Victoria poczuła głuchą zazdrość.

- Gałązka Oliwna - powiedziała. - Więc gdzie to jest?

- Za zakrętem na drugi most. Przecznicą ulicy Raszida, trochę ukryta. W pobliżu jest Miedziany Bazar.

- A jak się miewa pani Pauncefoot Jones? - ciągnęła pani Cardew Trench. - Przyjeżdża tutaj? Podobno chorowała.

Ale Victoria uzyskała już to, co chciała, i ani myślała dalej ryzykować kolejnym kłamstwem. Zerknęła na zegarek i zawołała z przerażeniem:

- Boże drogi! Miałam obudzić panią Clipp o wpół do siódmej i przygotować ją do podróży. Muszę lecieć!

Pretekst był właściwie zgodny z prawdą, tyle że zamiast siódmej Victoria podała godzinę wpół do siódmej. Uradowana pobiegnęła pędem na górę. Jutro znajdzie Edwarda w Gałązce Oliwnej. Okularnice, brudne szyje! Brzmi to bardzo nieatrakcyjnie... Co prawda, myślała Victoria wbrew sobie, mężczyźni nie są tak wrażliwi na brudne szyje jak pedantyczne Angielki w średnim wieku, zwłaszcza gdy właścicielki tych szyj gapią się z podziwem i uwielbieniem na wybrańca płci męskiej.

Wieczór upłynął jak z bicza strzelił. Victoria zjadła z panią Clipp wczesną kolację w jadalni i wysłuchała jej paplaniny o wszystkich sprawach pod słońcem. Pani Clipp namawiała Victorię, by ją kiedyś odwiedziła, i Victoria zanotowała skrupulatnie adres, bo w końcu nigdy nic nie wiadomo... Odwiozła panią Clipp na Dworzec Północny, umieściła ją w przedziale, gdzie została przedstawiona jej znajomej, także udającej się do Kirkuku, która następnego dnia miała

pomóc pani Clipp w porannej toalecie.

Pociąg zajęczał smętnie jak pokutująca dusza, pani Clipp wsunęła Victorii do ręki grubą kopertę i powiedziała: "To drobny upominek, proszę przyjąć z moimi najlepszymi podziękowaniami za uroczę towarzystwo". A Victoria, cała zachwycona, powiedziała: "To naprawdę niezwykle miło z pani strony", pociąg wydał z siebie czwarty, a zarazem ostatni i najsmętniejszy jęk boleści i powoli ruszył ze stacji.

Victoria wzięła taksówkę, ponieważ nie miała pojęcia, jak dostać się z dworca do hotelu, a nie było nikogo, kogo mogłaby zapytać.

W hotelu pomknęła zaraz do siebie i niecierpliwie otworzyła kopertę. W środku były dwie pary nylonowych pończoch. W każdym innych okolicznościach Victoria byłaby zachwycona - nie stać jej było na nylony. Teraz jednak chciała dostać po prostu pieniądze. Pani Clipp była oczywiście zbyt delikatna, by ofiarować jej pięciodinarowy banknot. Victoria życzyłaby sobie z całego serca, aby pani Clipp była mniej subtelna w tym względzie.

Ale co tam, jutro już będzie z Edwardem. Rozebrała się, położyła do łóżka i w pięć minut zasnęła kamiennym snem. Śniło jej się, że czeka na lotnisku na Edwarda; Edward nie może wysiąść, bo jakaś okularnica trzyma go za szyję, a samolot powoli rusza...

Rozdział jedenasty

Kiedy Victoria zbudziła się nazajutrz rano, świeciło ostre słońce. Ubrała się i wyszła na taras. Nieco dalej siedział na krześle, tyłem do Victorii, jakiś mężczyzna z kręconymi srebrzystymi włosami, opadającymi na muskularny, spalony słońcem kark. Kiedy obrócił głowę, Victoria rozpoznała ze zdziwieniem sir Ruperta Croftona Lee. Dlaczego tak ją zdziwił jego widok, nie potrafiła powiedzieć. Może zakładała z góry, że tak ważna osobistość jak sir Rupert zatrzymuje się w ambasadzie, a nie w hotelu. W każdym razie był to sir Rupert we własnej osobie i patrzył w skupieniu na Tygrys. Zauważyła, że na poręczy krzesła wisi połowa lornetka. "Pewno obserwuje ptaki" - pomyślała.

Victoria chodziła kiedyś z chłopakiem, który był wielkim miłośnikiem ptaków. Jeździła z nim czasami w weekendy na wyprawy, na których trzeba było sterczeć nieruchomo w wilgotnych lasach, w lodowatym wietrze, całymi godzinami, by wreszcie dostąpić rozkoszy obejrzenia przez lornetkę jakiegoś szarego ptaszka siedzącego daleko na gałęzi, który dla Victorii niczym nie różnił się od rudzika czy zięby.

Zeszła na dół. Na tarasie znajdującym się pomiędzy dwoma budynkami hotelowymi spotkała Marcusa Tio.

- Widzę, że i sir Rupert Crofton Lee zatrzymał się u pana.

- Tak - powiedział Marcus z promiennym uśmiechem. - Miry człowiek, bardzo miły człowiek.

- Dobrze go pan zna?

- Nie, pierwszy raz go spotykam. Przywiózł go wczoraj wieczorem pan Shrivvenham z Ambasady Brytyjskiej. Pan Shrivvenham też jest bardzo miły, jego znam bardzo dobrze.

Idąc na śniadanie Victoria pomyślała, że chyba nie ma człowieka, o którym Marcus nie powiedziałby, że jest bardzo miły. Miał wyjątkowo szczodre serce.

Po śniadaniu wyruszyła na poszukiwanie Gałązki Oliwnej.

Victoria, rdzenna mieszkanka Londynu, nie miała pojęcia, jak trudno jest coś znaleźć w takim mieście jak Bagdad. Przekonała się o tym teraz.

Wychodząc, znowu natknęła się na Marcusa i spytała go, jak się idzie do muzeum.

- Bardzo ładne muzeum - powiedział promienny Marcus. - Tak. Wiele ciekawych, bardzo, bardzo starych rzeczy. Sam co prawda nie byłem, ale mam przyjaciół, archeologów, którzy są tam zawsze, ilekroć wpadną do Bagdadu. Pan Baker, pan Richard Baker, zna go pani? I profesor Kalzman. I doktor Pauncefoot Jones, i państwo McIntyre, wszyscy zatrzymują się zawsze w Tio. To moi przyjaciele, mówią mi, co jest w muzeum. Bardzo, bardzo ciekawe.

- Gdzie to jest i jak tam się dostać?

- Pójdzie pani prosto ulicą Raszida, długi kawałek, minie pani przecnicę na most Feisal, przejdzie pani ulicę Bankową, wie pani gdzie jest Bankowa?

- Nic nie wiem.

- A potem jest jeszcze jedna ulica, też prowadząca na

most, to właśnie tam, po prawej stronie. Zapyta pani o pana Betouna Evansa, angielski ekspert, bardzo miły człowiek. Jego żona też jest bardzo miła, przyjechała tu w czasie wojny jako sierżant służby pomocniczej. Bardzo, bardzo miła.

- W zasadzie nie chcę iść do muzeum - powiedziała Victoria. - Chcę znaleźć pewne miejsce... towarzystwo... rodzaj klubu, o nazwie Gałązka Oliwna.

- Jeżeli ma pani ochotę na oliwki - rzekł na to Marcus - dam pani piękne oliwki, pierwszorzędnego gatunku. Przysyłają je specjalnie dla mnie, dla hotelu Tio. Wiem, każę je podać pani dziś wieczorem do kolacji.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Victoria i uciekła na ulicę Raszida.

- W lewo - krzyczał za nią Marcus - nie w prawo. Do muzeum jest daleko, powinna pani wziąć taksówkę.

- Czy taksówkarz będzie wiedział, gdzie jest Gałązka Oliwna?
- Nie, oni nic nie wiedzą. Powie pani kierowcy: w lewo, w prawo, stop, prosto i dojedzie pani na miejsce.
- W takim razie lepiej iść piechotą - stwierdziła Victoria.

Doszła do ulicy Raszida i skręciła w lewo.

Zupełnie inaczej wyobrażała sobie Bagdad. Na głównej ulicy - dzikie tłumy; samochody nerwowo trąbią, wystawy zawałone europejskimi ciuchami, ludzie wrzeszczą i zdrowo sobie odkaszląwszy, spluwają zawzięcie na boki. Wcale nie widać tajemniczych ludzi Wschodu, wszyscy przeważnie noszą postrzępione, znoszone ubrania zachodnie, stare bluzy wojsk lądowych i lotniczych, a z rzadka pojawiające się postaci w powiewnych czarnych szatach, z zasłoniętymi twarzami, giną w tyglu pomieszanych europejskich stylów i ubiorów. Zebracy prosili ją o jałmużnę - kobiety z brudnymi dziećmi na ręku. Chodnik był nierówny i od czasu do czasu Victoria wpadała w dziurę.

Przebijając się naprzód, nagle poczuła się obco, samotnie i daleko od domu. Tu pryskał czar podróży, był po prostu jeden wielki zgiełk.

Dotarła wreszcie do zakrętu na most Feisal, minęła go i poszła dalej. Jakby wbrew sobie patrzyła na wystawy - bawiła ją przedziwna mieszanina rzeczy. Buciki i sweterki dziecięce, pasta do zębów i kosmetyki, latarki elektryczne i chińskie filizanki - wszystko razem. Powoli ogarniała ją pewnego rodzaju fascynacja napływem towarów z całego świata dla zaspokojenia potrzeb przemieszanej ludności.

Znalazła muzeum, ale Gałązki Oliwnej ani śladu. Dla Victorii, nawykłej do poruszania się po Londynie, było zupełnie niezrozumiałe, że nie ma nikogo, kogo można by po prostu spytać. Nie знаła arabskiego. Sprzedawcy, wciskający jej towar, mówili po angielsku, ale gdy pytała o Gałązkę Oliwną, przybierali kamienny wyraz twarzy.

Gdyby można było zapytać policjanta! Widok policjantów, energicznie wymachujących rękami i dmuchających w gwizdki, nie wróżył jednak sukcesu.

Weszła do księgarni z angielskimi książkami na wystawie, gdy jednak napomknęła o Gałązce Oliwnej spotkała się tylko ze wzruszeniem ramion i kręceniem głowy. Niestety, nikt nic nie wiedział.

I nagle, kiedy znowu wyszła na ulicę, do uszu jej dobiegł niezwykły odgłos - kucia i podzwaniania. Wchodząc w ciemne przejście, przypomniała sobie, co mówiła pani Cardew Trench: Gałązka Oliwna powinna być w pobliżu Miedzianego Bazaru. I oto dotarła do bazaru.

Victoria weszła na bazar i na trzy kwadransy zapomniała całkiem o Gałązce Oliwnej. Miedziany Bazar był fascynujący. Palniki, topiący się metal, cała sztuka rzemiosła - wszystko to oczarowało dziewczynę z Londynu, przywykłą do gotowych produktów wystawionych na sprzedaż. Wałęsała się na chybił trafił po suku, wyszła z Miedzianego Bazaru, oglądała wesole pasiaste derki dla koni i pikowane narzuty z bawełny. Tutaj produkty europejskie nabierały

zupełnie innego wyglądu: w chłodnym mroku, pod łukowatym sklepieniem, wyglądały jak egzotyczny zamorski towar, niecodzienny i rzadki. Cieszyły oko bele taniej bawełny w wesołych kolorach. Od czasu do czasu słychać było okrzyk: "Balek, balek!", przechodził osioł lub zaprzężony muł albo człowiek z ładunkiem na plecach. Biegali mali chłopcy z tacami umocowanymi na szyjach.

- Elastik, pani, elastik, dobry elastik, angielski elastik! Grzebień, angielski grzebień!

Podtykano jej towary dosłownie pod sam nos, gwałtownie namawiając do kupna. Victoria szła jak we śnie. Zobaczyć świat - to jest właśnie to. Na każdym zakręcie tej przestronnej krainy chłodnych pasaży pojawiała się coś zupełnie nieoczekiwane - tu szyją krawcy na tle obrazków eleganckich europejskich garniturów, tam - zegarki i tania biżuteria, dalej bele aksamitu i brokаты, bogato przetykane metalem; niespodziewany zakręt - i oto alejka tanich, tandetnych, używanych ciuchów europejskich: dziwaczne, żalodne, spłowiałe swetry, długie kamizelki z rozłóżającą się tkaniny.

Co jakiś czas - duże ciche dziedzińce pod gołym niebem.

Victoria trafiła na długi pasaż z męskimi spodniami, we wnękach siedzieli po turecku godni sprzedawcy w turbanach.

- Balek!

Z tyłu kroczył obładowany osioł i Victoria musiała usunąć się w wąską alejkę pod gołym niebem, która wiła się pomiędzy wysokimi domami. I na tej alejce, zupełnie przypadkowo, trafiła na cel swoich poszukiwań. Jeden z wylotów prowadził na kwadratowe małe podwórko, gdzie na końcu znajdowały się otwarte drzwi z wielkim napisem "Gałązka Oliwna" i dość okropnym gipsowym ptaszkiem trzymającym w dzióbku niby-gałązkę.

Victoria, ucieszona, przebiegła przez podwórko i weszła w otwarte drzwi. Znalazła się w przyciemnionym pokoju.

Wszędzie na stołach leżały książki i czasopisma, piętrzyły się też książki na półkach. Zupełnie jak w księgarni, tyle że tu i ówdzie ustawiono obok siebie kilka krzeseł.

Z mroku wyłoniła się młoda kobieta i powiedziała staranną angielszczyzną:

- Słucham, czym mogę służyć?

Victoria spojrzała na nią. Dziewczyna miała sztruksowe spodnie, pomarańczową flanelową koszulę, ciemne lśniące włosy przycięte na smutnego pazia. Pasowałyby może bardziej do Bloomsbury, ale typ urody nie był z Bloomsbury.

Miała smutne lewantyryjskie rysy, wielkie ciemne melancholijne oczy i duży nos.

- Chciałam... to jest... czy zastałam doktora Rathbone'a? Jakże to denerwujące, że nie zna nazwiska Edwarda. Nawet pani Cardew Trench mówiła o nim Edward Jak-Mu-Tam.

- Tak. Doktor Rathbone. Gałązka Oliwna. Chce się pani do nas przyłączyć? Tak? To świetnie.

- No, może. Chciałabym... czy jest doktor Rathbone? Dziewczyna odpowiedziała ze znużonym uśmiechem:

- Nie przeszkadzamy mu. Mam tu formularz. Wszystko pani powiem. Pani się podpisze. Opłata dwa dinary.

- Jeszcze nie wiem, czy się przyłączę - powiedziała Victoria przestraszona wzmianką o dwóch dinarach.

- Chciałabym zobaczyć się z doktorem Rathbone'em albo z jego sekretarzem. Lepiej z sekretarzem.

- Wytłumaczę. Wszystko pani wytłumaczę. Jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi, wspólnymi przyjaciółmi, razem, na przyszłość, czytamy piękne wychowawcze książki, recytujemy wiersze...

- Sekretarz doktora Rathbone'a - powiedziała Victoria głośno i wyraźnie. - Prosił, żebym się do niego zgłosiła. Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz ponurego uporu.

- Nie dzisiaj - oponowała. - Wytłumaczę...

- Dlaczego nie dzisiaj? Czy go nie ma? Nie ma doktora Rathbone'a?

- Tak, jest doktor Rathbone. Jest na górze. Ale nie przeszkadzamy mu.

Victoria poczuła, jak narasta w niej owa angielska nietolerancja, wobec cudzoziemców. Niestety, jeśli chodzi o nią, Gałązka Oliwna nie wzbudziła przyjaznych uczuć dla innych narodów, odniosła skutek dokładnie odwrotny.

- Właśnie przyjechałam z Anglii - powiedziała Victoria głosem pani Cardew Trench - mam bardzo ważną wiadomość dla doktora Rathbone'a i muszę mu ją przekazać osobiście. Proszę mnie zaprowadzić do niego, zaraz! Przykro mi, że mu przeszkadzę, ale muszę się z nim zobaczyć.

- Zaraz! - powtórzyła, by zakończyć dyskusję.

Przed władcym Brytyjczykiem, który zdecydowanie zmierza do celu, niemal zawsze otwierają się wszystkie bramy. Dziewczyna z miejsca odwróciła się i poprowadziła Victorię przez pokój, potem na schody, następnie przez korytarz wychodzący na podwórko. W korytarzu zatrzymała się i zapukała do drzwi. Męski głos odpowiedział: "Proszę".

Dziewczyna otworzyła drzwi i skinęła na Victorię.

- Jakaś pani z Anglii.

Victoria weszła.

Zza dużego biurka zarzuconego papierami wstał mężczyzna, by się z nią przywitać. Doskonale prezentujący się starszy pan koło sześćdziesiątki z wysokim, wypukłym czołem i siwymi włosami. Życzliwość, łagodność i urok - te cechy uderzały w nim na pierwszy rzut oka. Nadawałby się świetnie do roli wielkiego filantropa.

Powitał Victorię z ciepłym uśmiechem, wyciągając przyjaźnie rękę.

- Więc przyjechała pani z Anglii? - spytał. - Pierwszy raz na Wschodzie?

- Tak.

- Ciekaw jestem, co pani o tym wszystkim myśli... Musimy kiedyś porozmawiać. Zaraz, zaraz, czy myśmy się już kiedyś spotkali? Mam krótki wzrok, a pani się nie przedstawiła.

- Nie zna mnie pan - odparła Victoria. - Jestem znajomą Edwarda.

- Znajoma Edwarda! - rzekł doktor Rathbone. - To wspaniale. A czy Edward wie, że pani jest w Bagdadzie?

- Jeszcze nie.

- Będzie miał miłą niespodziankę po powrocie.

- Po powrocie? - spytała Victoria opadającym głosem.

- Tak, Edward pojechał do Basry. Posłałem go tam po nasze skrzynie z książkami. Były okropne opóźnienia na cle, nie można było zwolnić książek. Potrzebny był kontakt osobisty, a Edward do tego świetnie się nadaje. Wie, kiedy czarować, a kiedy się pokłócić, i nie spocznie, póki nie załatwi sprawy do końca. Jest niesłychanie uparty. Piękna cecha u młodego człowieka. Wysoko cenię Edwarda.

Tu błysnęło mu oko.

- Ale nie muszę chyba, młoda damo, pisać przed panią peanów na jego cześć?

- Kiedy... kiedy Edward wraca z Basry? - spytała Victoria słabym głosem.

- Trudno mi powiedzieć. Musi skończyć z książkami, a w tym kraju nie wolno się spieszyć. Niech mi pani poda swój adres, a obiecuję pani, że Edward się do pani odezwie, zaraz jak wróci.

- Chciałam zapytać - Victoria mówiła z desperacją w głosie, świadoma swej katastrofalnej sytuacji finansowej - czy... czy mogłabym dostać tutaj jakąś pracę?

- O, to mi się podoba - powiedział serdecznie doktor Rathbone. - Oczywiście. Potrzebujemy każdej pary rąk do pracy, wszelkiej pomocy. A zwłaszcza liczymy na dziewczęta z Anglii. Nasza działalność przebiega wspaniale, naprawdę wspaniale, ale wciąż jest tyle do zrobienia. Ludzie są pełni zapału. Mam już trzydziestu ochotników, powtarzam: trzydziestu, wszyscy zapaleńcy! Jeśli ma pani poważne intencje, będzie pani dla nas niezwykle cennym nabytkiem.

Słowo "ochotnik" niemile zadźwięczało Victorii w uszach.

- Chodzi mi o płatną pracę - powiedziała.

- Mój Boże - Rathbone'owi zrzęda wyraźnie mina. - To sprawa trudniejsza. Nasz etatowy personel jest bardzo szczupły i obecnie, przy pomocy ochotników, zupełnie nam wystarcza.

- Nie mogę sobie pozwolić, żeby nie zarabiać - tłumaczyła się Victoria. - Jestem wykwalifikowaną stenotypistką - dodała bez cienia wstydu.

- Nie wątpię, że jest pani wykwalifikowana, moja miła, od pani wprost biją kwalifikacje. Ale dla nas to problem pieniędzy. Gdyby podjęła pani gdzieś pracę, mam nadzieję, że znajdzie pani i dla nas trochę czasu. Większość naszych współpracowników pracuje na innych posadach. Jestem pewien, że będzie to dla pani nader pobudzająca działalność. Trzeba wreszcie położyć kres okrucieństwu, wojnom, niesnaskom, wzajemnej nieufności. Brak wspólnej płaszczyzny porozumienia to nasza choroba. Teatr, sztuka, poezja, wielkie wartości ducha, nie ma w nich miejsca na małostkową zazdrość czy nienawiść.

- Nno... tak - powiedziała niepewnie Victoria. Przypomniała sobie swoich różnych znajomych, artystów, wręcz opętanych uczuciem najbardziej trywialnej zazdrości i gwałtownej nienawiści.

- Mam tłumaczenia "Snu nocy letniej" w czterdziestu językach - powiedział doktor Rathbone. - Młodzież czterdziestu różnych narodowości odbierająca to samo arcydzieło. Młodzież - w niej leży klucz do sprawy. Dla mnie tylko młodzi się liczą. Kiedy umysł i duch tracą prężność, jest już za późno. Tak, młodzi, nie kto inny, muszą iść razem. Niech pani weźmie tę dziewczynę na dole, Catherine, tę, która panią do mnie przyprowadziła. To Syryjka z Damaszku. Jesteście prawie w tym samym wieku. Normalnie nigdy byście się nie zbliżyły, nic was nie łączy. Ale w Gałazce Oliwnej pani i ona, i wiele, wiele innych, Rosjanki, Żydówki, dziewczęta z Iraku, Turcji, Armenii, Egiptu, Iranu, wszystkie spotykacie się i lubicie, czytacie te same książki i dyskutujecie o malarstwie i muzyce (mamy zresztą doskonale prowadzone odczyty), poznajecie inne punkty widzenia, i to jest wspaniałe, słowem, tak powinien wyglądać świat.

Victoria pomyślała jednak, że doktor Rathbone przyjmuje zbyt optymistyczne założenie; w jego mniemaniu te tak różne osoby, spotykające się ze sobą, muszą się koniecznie polubić. Na przykład ona i Catherine zdecydowanie się nie polubiły. I Victoria podejrzewała, że im dalej, tym będzie gorzej.

- Edward jest wspaniały - stwierdził doktor Rathbone. -Wszyscy go lubią. Może dziewczęta bardziej niż chłopcy. Tutejsi studenci, chłopcy, są z początku trochę trudni, podejrzliwi, niemal wrodozy. Ale dziewczyny uwielbiają Edwarda, zrobią dla niego wszystko. A Edward szczególnie przyjaźni się z Catherine.

- Ach tak - powiedziała chłodno Victoria. Jej antypatia do Catherine wzrosła jeszcze bardziej.

- No dobrze - podsumował doktor Rathbone. - A więc czekamy na pani pomoc.

Brzmiało to jak odprawa. Rathbone uściśnięt serdecznie dłoń Victorii. Victoria wyszła z pokoju, zeszła na dół. Catherine stała przy drzwiach i rozmawiała z jakąś dziewczyną z małą walizką w rękę. Dziewczyna była ładna, ciemnowłosa i przez chwilę Victoria miała wrażenie, że gdzieś już ją widziała. Ale w zachowaniu dziewczyny nic nie wskazywało na to, że ją poznaje. Obie kobiety rozmawiały o czymś z zapałem w nieznanym Victorii języku. Kiedy się pojawiła, przerwały rozmowę i patrzyły na nią w milczeniu. Victoria podeszła do drzwi i, wychodząc, zmusiła się do rzucenia Catherine uprzejmego "do widzenia".

Z krętej uliczki wyszła na ulicę Raszida. Wolnym krokiem wracała do hotelu, patrząc niewidzącym wzrokiem na uliczne tłumy. Starła się nie myśleć o swoim beznadziejnym położeniu (bez grosza w Bagdadzie), koncentrując się na osobie Rathbone'a i w ogóle na Gałazce Oliwnej. Edward powiedział w Londynie, że na jego wycucie jest coś podejrzanego w tym towarzystwie. Ale kto i co? Doktor Rathbone? Czy sama Gałazka Oliwna? Victorii trudno było uwierzyć, żeby podejrzany był doktor Rathbone. Zrobił na niej wrażenie jednego z tych zwariowanych entuzjastów, co to upierają się przy swej idealistycznej wizji świata, nie zważając na realia.

I co w ogóle Edward miał na myśli? Nie sprecyzował tego. Może sam dokładnie nie wiedział.

Czy Rathbone mógł być na przykład wielkim oszustem?

Victoria, wciąż pod wrażeniem jego kojącego uroku, pokręciła głową. Tak, oczywiście, jego zachowanie uległo lekkiej zmianie, kiedy dowiedział się, że Victoria chce pracować u niego za pieniądze. Wyraźnie wołał pracujących społecznie.

Ale akurat ta cecha - pomyślała Victoria - jest objawem zdrowego rozsądku.

Pan Greenholtz, na przykład, miałby identyczne podejście.

Rozdział dwunasty

Victoria miała zupełnie pocierane nogi, kiedy wreszcie dotarła z powrotem do Tio. Marcus powitał ją entuzjastycznie. Siedział na trawniku, na tarasie wychodzącym na rzekę i rozmawiał ze szczupłym zaniedbanym mężczyzną w średnim wieku.

- Zapraszam panią na drinka. Martini czy koktajl sidecar? Pan Dakin, panna Jones z Anglii. Czego się pani napije?

Victoria poprosiła o koktajl i dodała pełną nadzieję, że chętnie skosztowałyby "tych wspaniałych orzeszków", pamiętała bowiem, że orzechy są pożywne.

- Lubi pani orzechy? Mój Boże! - Marcus wydał szybkie polecenie po arabsku.

Pan Dakin oświadczył smętnym głosem, że prosi o lemoniadę.

- Och! - wykrzyknął Marcus. - To zabawne. Idzie pani Cardew Trench. Zna pani Dakina? Czego się pani napije?

- Poproszę o dżin z cytryną - powiedziała pani Cardew Trench, skinąwszy bezceremonialnie Dakinowi głową.

- Chyba się pani zgrzała - zwróciła się do Victorii.

- Dużo chodziłam i zwiedzałam - odparła Victoria.

Podano drinki. Victoria zjadła pełen talerz orzeszków pistacjowych i trochę frytek.

Po schodach wchodził jeszcze jeden gość - krępy mężczyzna, którego gościnnie Marcus zaprosił do towarzystwa. "Kapitan Crosbie" - Marcus przedstawił go Victorii. Sposób, w jaki kapitan zerknął na nią swymi lekko wylupiastymi oczami, wskazywał, że nie jest on obojętny na kobiece wdzięki.

- Chyba niedawno pani przyjechała? - zapytał.

- Wczoraj.

- Właśnie, nigdzie tu pani nie spotkałem.

- Jest bardzo miła i piękna - powiedział radośnie Marcus. - Tak, jest nam bardzo miło z panną Victorią. Wydam dla niej przyjęcie, wspaniałe przyjęcie.

- Czy będą kurczaczki? - spytała z nadzieją Victoria.

- Tak, tak, i pasztet, pasztet strasburski, i może kawior, a potem danie rybne, bardzo dobre, ryba z Tygrysu, w sosie i z grzybami. I będzie indyk przyrządzony tak jak u mnie w domu, z ryżem, rodzynekami i korzeniami, wszystko mniem, mniem. Bardzo dobre. Ale trzeba zjeść bardzo dużo, nie tylko dziubnąć widelcem. A jeśli pani woli, może być stek, wielki stek, kruchutki, sam dopilnuję. To będzie długa kolacja, na wiele godzin. Bardzo miła kolacja. Ja nie jem, ja tylko piję.

- To brzmi cudownie - powiedziała Victoria słabym głosem. Opis tych potraw wzbudził w niej wilczy apetyt. Zastanawiała się, czy Marcus rzeczywiście ma zamiar wydać przyjęcie, a jeśli tak, to kiedy.

- Myślałam, że pojechał pan do Basry - pani Cardew Trench zwróciła się do kapitana Crosbiego.

- Wróciłem wczoraj. Spojrzał na górny taras.

- A to co za pirat? - spytał. - Ten facet w przedziwnym stroju i wielkim kapeluszu?

- To jest, drogi panie, sir Rupert Crofton Lee - wyjaśnił Marcus. - Pan Shrivvenham przywiózł go wczoraj wieczorem z ambasady. Bardzo miły człowiek, wielki podróżnik. Jeździ na wielbłądach przez Saharę, chodzi po górach. Bardzo niewygodne życie i niebezpieczne. Ja bym tak nie chciał.

- Ach, to ten! - powiedział Crosbie. - Czytałem jakąś jego książkę.

- Leciłam z nim razem samolotem - wtrąciła Victoria. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią badawczo, w każdym razie tak się jej zdawało.

- Strasznie zadziera nosa, zarozumialec - dodała dyskredytujące.

- Poznałam kiedyś jego ciotkę w Simla - powiedziała pani Cardew Trench. - Cała rodzina jest taka sama. Bardzo zdolni ludzie, ale cienia skromności.

- Siedział tak beczynnie cały ranek - stwierdziła Victoria z lekkim potępieniem.

- Z powodu brzucha - wyjaśnił Marcus. - Nic dzisiaj nie je. To smutne.

- Niech mi pan powie, Marcus - spytała pani Cardew Trench - jak pan to robi, że wygląda pan tak dobrze, chociaż w ogóle pan nie je?

- Picie - stwierdził Marcus z głębokim westchnieniem. - Piję o wiele za dużo. Dzisiaj przychodzą siostra i szwagier. Będę pić do samego rana. - Znowu westchnął, po czym swoim zwyczajem, krzyknął nagle: - Ojoj! Jeszcze raz to samo.

- Ja nie, dziękuję - zaprotestowała szybko Victoria.

Pan Dakin również odmówił, skończył lemoniadę i spokojnie opuścił towarzystwo. Także Crosbie udał się do swojego pokoju.

Pani Cardew Trench przejechała palcem po szklance Dakina.

- Lemoniada, jak zwykle? - spytała. - To zły znak.

Victoria spytała dlaczego.

- Mężczyzna pije, kiedy jest samotny.

- Tak, tak - wtrącił Marcus. - To prawda.

- On rzeczywiście pije? - spytała Victoria.

- Dlatego nic mu nie wychodzi - odparła pani Cardew Trench. - Tyle że utrzymuje się na posadzce, ani kroku dalej.

- Ale to bardzo miły człowiek - stwierdził litościwie Marcus.

- Ba! - powiedziała pani Cardew Trench. - Pije jak gąbka. Rozlazły guzdrała, nie ma w nim za grosz twardości,

słowem, nie radzi sobie z życiem. Jeszcze jeden Anglik, który wyjechał na Wschód i się zmarnował.

Victoria podziękowała za drinka, odmówiła następnej kolejki i poszła do siebie na górę. Zdjęła buty, położyła się na łóżku i zabrała się do poważnych rozmyślań. Jej majątek skurczył się do trzech funtów, a i tak jest winna Marcusowi za mieszkanie i jedzenie. Dzięki gościnności gospodarza i zakładając, że można się żywić alkoholem, orzeszkami, oliwkami i frytkami, problem jedzenia na najbliższe dni jest jako tako rozwiązany. Kiedy jednak Marcus przedstawi jej rachunek i jak długo pozwoli jej zwlekać z zapłatą? Tego nie wiedziała. Nie jest przecież beztroski, jeśli chodzi o interesy. Powinna oczywiście znaleźć jakieś tańsze mieszkanie. Ale jak to zrobić? Powinna znaleźć pracę, i to szybko. Ale gdzie się zwrócić? I o jaką pracę? Kogo prosić o pomoc? Zdana na los w obcym mieście, praktycznie bez grosza, nie mając pojęcia o tutejszych warunkach, Victoria czuła się zupełnie bezradna. Gdyby miała choć minimalną znajomość terenu, ufałaby we własne siły (jak zresztą zawsze), nie poddałaby się. Kiedy Edward wróci z Basry? A może - o zgrozo! - Edward w ogóle o niej zapomniał? Co za lichy popchnęło ją do tej idiotycznej wyprawy? Kim jest w końcu Edward? Chłopcem, jednym z wielu, z ujmującym uśmiechem i sympatycznym sposobem bycia. I jak, jak ma na nazwisko? Gdyby je знаła, mogłaby wysłać telegram, chociaż nie,

przecież nie zna adresu. Niczego nie zna, w tym rzecz, i dlatego czuje się jak w kleszczach.

I nikogo nie może się poradzić. Nie Marcusa, który jest bardzo miły, ale nigdy nie słucha. Nie pani Cardew Trench, która od początku coś podejrzewa. Nie pani Hamilton Clipp, która wyjechała do Kirkuku. I nie doktora Rathbone'a.

Musi zdobyć pieniądze albo pracę, wszystko jedno jaką; pilnować dzieci, przyklejać znaczki na pocztce, podawać w restauracji... Inaczej odeślą ją do konsulatu, zostanie deportowana do Anglii i nigdy nie zobaczy Edwarda...

I przy tej ostatniej myśli Victoria, wycieńczona nadmiarem wrażeń, usnęła.

Obudziła się po paru godzinach i zdecydowała, że raz kozie śmierć: zesłała do restauracji, przestudiowała kartę, wybrała i zamówiła obfity posiłek. Kiedy skończyła, poczuła się jak boa dusiciel, ale była zdecydowanie pokrzepiona. "Po co się martwić - pocieszała się. - Pomyślę o tym jutro. Może coś się wydarzy, może coś mi przyjdzie do głowy, a może wróci Edward".

Przed pójściem do łóżka wyszła jeszcze na taras nad rzekę. W odczuciu mieszkańców Bagdadu panował o tej porze iście arktyczny chłód i nie było tu żywej duszy poza jednym kelnerem, który przechylał się przez balustradę i patrzył w wodę; gdy tylko zobaczył Victorię, skoczył jak przyłapany na gorącym uczynku i popędził co tchu do służbowego wejścia do hotelu.

Dla Victorii, przyzwyczajonej do angielskiego klimatu, była to zwykła, letnia noc z lekko chłodnym powiewem; poddała się czarowi Tygrysu w blasku księżycy: drugi brzeg z rzędami palm wyglądał tajemniczo, prawdziwy obrazek ze Wschodu.

"Jednak dobrze, że tu jestem - pomyślała Victoria bardzo podniesiona na duchu - i jakoś sobie poradzę. Na pewno coś jeszcze wyniknie".

Po tym optymistycznym stwierdzeniu wróciła do pokoju i poszła do łóżka. Wtedy kelner cicho wyslizgnął się nad dwór, by dokończyć robotę: umocował na balustradzie sznur z wieloma supłami i spuścił go na brzeg rzeki.

Z mroku wyłoniła się jeszcze jakaś postać i podeszła do kelnera. Dakin odezwał się niskim głosem.

- Wszystko w porządku?

- Tak, sir, nic podejrzanego.

Po wykonaniu zadania Dakin zniknął w ciemnościach, przebrał się z białej kelnerskiej marynarki w swoje niczym niewyróżniające się ubranie w prążki i zaczął przechadzać się po tarasie; stanął na wprost rzeki, tam, gdzie prowadziły schodki z ulicy.

- Robi się całkiem chłodno wieczorami - powiedział Crosbie, który wyszedł z baru i zbliżył się do Dakina. - Może pan tego nie czuje po pobycie w Teheranie.

Stali, paląc, przez kilka chwil. Nie podnosili głosu, nikt nie mógł ich usłyszeć. Crosbie powiedział cicho:

- Co to za dziewczyna?

- Prawdopodobnie siostrzenica tego archeologa, Pauncefoot Jonesa.

- Och, to w porządku. Ale ten jej przyjazd tym samym samolotem co Crofton Lee...

- Na pewno lepiej - powiedział Dakin - przyjąć, że nic nie jest pewne.

Mężczyźni palili przez jakiś czas w milczeniu.

- Naprawdę pan sądzi, że dobrze zrobiliśmy, przenosząc akcję z ambasady do Tio? - spytał Crosbie.

- Tak, tak uważam.

- Ale przecież wszystko było nagrane w najdrobniejszych szczegółach.

- Było też nagrane w Basrze i nie wypaliło.

- Tak, wiem. Właśnie, Salah Hassan został otruty.

- To się musiało stać. Nie wie pan, czy coś się działo w konsulacie?

- Chyba tak. Była tam jakaś awantura. Facet wyciągnął rewolwer... - Crosbie urwał i dorzucił: - Richard Baker unieszkodliwił go i rozbroił.

- Richard Baker... - rzekł z namysłem Dakin.

-Zna go pan? To...

- Tak, znam.

Nastąpiło milczenie, po czym odezwał się Dakin:

- Improwizacja. Na to liczę. Jeśli mamy wszystko nagrane, jak pan mówi, a nasze plany nie są tajemnicą, to druga strona też coś nagra. Bardzo wątpię, żeby Carmichael posunął się pod ambasadę, a nawet jeśli tam dotarł... - Pokręcił głową. - Tutaj tylko pan, ja i Crofton Lee, wiemy, co się dzieje.

- Dowiedzą się, że Crofton Lee przeprowadził się z ambasady.

- Oczywiście. To nieuniknione. Ale czyż nie rozumie pan, Crosbie, że każda ich akcja skierowana przeciw naszej improwizacji, też musi być improwizacją, wymyśloną na poczekaniu, błyskawiczną. Musi, krótko mówiąc, przyjść z zewnątrz. Niemożliwe, żeby ktoś czekał w Tio od sześciu miesięcy. Tio nigdy dotąd nie był polem bitwy, aż do tej chwili. Nigdy nie było takiego pomysłu, żeby wyznaczyć w Tio miejsce spotkania.

Dakin spojrzął na zegarek.

- Pójdę porozmawiać z Croftonem Lee - powiedział.

Dakin nie musiał pukać do drzwi sir Ruperta. Otworzyły się przed nim bezszelestnie.

U sir Ruperta świeciła się tylko nocna lampka, stało przy niej krzesło. Crofton Lee usiadł i ostrożnie położył w zasięgu ręki, na stoliku, mary automatyczny pistolet.

- Jak tam, Dakin? Myśli pan, że on przyjdzie? - spytał.

- Myślę, że tak - odparł Dakin i dodał: - Nigdy go pan nie widział?

Tamten pokręcił głową.

- Nie. Spotkamy się dopiero dziś wieczorem. Wie pan, ten młody człowiek musi mieć ikrę.

- Tak, tak - stwierdził Dakin swym bezbarwnym głosem. - On ma ikrę.

Był jakby trochę zdziwiony, że ten fakt trzeba w ogóle konstatować.

- Nie chodzi mi tylko o odwagę - powiedział tamten. -Odwaga na wojnie, pięknie! Chodzi mi...

- O wyobraźnię? - podsunął Dakin.

- Tak. Mieć tyle energii, żeby uwierzyć w coś, co jest zupełnie nieprawdopodobne. Ryzykować życiem, żeby stwierdzić, że zabawna historia nie jest wcale taka zabawna. To wymaga czegoś takiego, co zazwyczaj nie cechuje młodzieńców w dzisiejszych czasach. Mam nadzieję, że przyjdzie.

- Przypuszczam - powiedział Dakin. Sir Rupert rzucił mu ostre spojrzenie.

- Jak pan to obmyślił?

- Crosbie będzie na górnym tarasie, a ja będę obserwować schody. Kiedy Carmichael zjawi się u pana, niech pan zapuka w ścianę, wtedy przyjdę.

Crofton Lee skinął głową.

Dakin cicho wyszedł z pokoju. Skręcił w lewo, na taras, i stanął na jego skraju. Tutaj także przymocowany był do krawędzi sznur z węzłami, zwisał do samej ziemi pod osłoną eukaliptusa i drzew judaszowych.

Dakin wrócił do hotelu, przeszedł obok drzwi Croftona Lee i zniknął w swoim pokoju. Były tam drugie drzwi prowadzące na tylny korytarz, znajdujący się w odległości kilku metrów od podestu schodów. Uchyliwszy je lekko, Dakin ustawił się na czatach.

Jakieś cztery godziny później prymitywna łódź gufa płynęła w dół rzeki; przycumowała do błotnistego brzegu poniżej hotelu Tio, a po kilku chwilach szczupła postać podciągnęła się po sznurze i przemknęła wśród drzew judaszowych.

Rozdział trzynasty

Victoria zamierzała pójść do łóżka, zasnąć i odłożyć wszystkie problemy na jutro. Spała jednak prawie całe popołudnie i teraz wcale nie była senna.

W końcu zapaliła światło, wzięła pismo, skończyła czytać opowiadanie, które zaczęła w samolocie, zacerowała pończochy, przymierzyła nowe nylony, napisała kilka ogłoszeń o pracę (jutro dowie się, gdzie je zamieścić), trzy czy cztery projekty listów do pani Hamilton Clipp, podając coraz to inne sploty niesamowitych okoliczności swoich tarapatów w Bagdadzie, ze dwa telegramy z prośbą o pomoc do swego jedyne żyjącego krewnego, zamkniętego w sobie i niesympatycznego starucha mieszkającego w północnej Anglii, który nigdy w życiu nikomu nie pomógł, zrobiła sobie nową fryzurę, wreszcie, ziewając szeroko, stwierdziła, że jest naprawdę okropnie śpiąca i że pora się kłaść.

W tej właśnie chwili drzwi do jej pokoju otworzyły się z nienacka, do środka wsunął się jakiś mężczyzna, przekręcił klucz w zamku i powiedział szybko:

- Na litość boską, niech mnie pani gdzieś ukryje, prędzej...

Victoria nigdy nie miała zwolnionych reakcji. W mgnieniu oka dostrzegła ciężki oddech, opadający głos, sposób, w

jaki mężczyzna ścisnął na piersi stary, zrobiony na drutach czerwony szalik rozpaczliwie zaciśniętą dłonią. Bez wahania podjęła ryzyko.

W pokoju nie było zbyt wielu kryjówek. Szafa, komoda, stół i pretensjonalna toaletka. Szerokie, prawie podwójne łóżko. Victoria przypomniała sobie zabawy w chowanego i błyskawicznie zdecydowała.

- Szybko - powiedziała. Ściągnęła poduszki, uniosła prześcieradło i kołdrę. Mężczyzna położył się w poprzek łóżka. Victoria przykryła go prześcieradłem i kołdrą, na wierzchu ułożyła poduszki, a sama usiadła na skraju łóżka.

Prawie natychmiast rozległo się ciche, ale uporczywe pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zawołała Victoria struchlałym głosem.

- Proszę otworzyć - odezwał się męski głos za drzwiami. - Policja.

Idąc do drzwi i owijając się szlafrokiem, zauważyła na podłodze czerwony szalik. Podniosła go i wepchnęła do szuflady. Przekręciła klucz i uchyliła drzwi, wyglądając na korytarz z wyrazem popłochu na twarzy.

Za drzwiami stał ciemnowłosy mężczyzna w bladofioletowym prążkowanym garniturze, a za nim człowiek w mundurze oficera policji.

- Co się stało? - spytała, drżąc, Victoria. Młody człowiek uśmiechnął się szeroko i powiedział zupełnie znośną angielszczyzną:

- Przepraszam, że panią niepokoję o tak późnej porze. Ścigamy przestępcę. Wbiegł do tego hotelu. Musimy przeszukać wszystkie pokoje. Bardzo niebezpieczny przestępca.

- O Boże! - zawołała Victoria i otworzyła drzwi na oścież. - Proszę, niech panowie wejdą i obejrzą pokój. To przerażające. Proszę sprawdzić w łazience. Och! I szafa, i... nie sądzi pan, że trzeba sprawdzić pod łóżkiem? Może tam był przez cały wieczór.

Poszukiwania odbyły się błyskawicznie.

- Nie ma go tutaj.

- Jest pan pewien, że go nie ma pod łóżkiem? Och, co za gapa ze mnie. Przecież nie mógł tu się dostać. Zamknęłam pokój na klucz przed pójściem spać.

- Dziękujemy pani i dobranoc!

Młody człowiek uklonił się i wyszedł ze swoim umundurowanym kolegą.

Victoria odprowadziła ich do drzwi.

- Chyba bezpieczniej się zamknąć?

- Tak, na pewno lepiej. Jeszcze raz dziękujemy.

Victoria przekręciła klucz w zamku i przez kilka chwil stała nieruchomo. Słyszała, jak policjanci pukają do drzwi po drugiej stronie korytarza, jak drzwi się otwierają, jak pani Cardew Trench mówi coś z wielkim oburzeniem w głosie i jak wreszcie drzwi się zamknęły. I znowu trzask otwieranych drzwi, kiedy kroki mężczyzny słychać było w dalszej części korytarza. Następne pukanie dobiegło już ze znacznej odległości.

Victoria odwróciła się w stronę łóżka. Doszła do wniosku, że postąpiła bardzo lekkomyślnie. Zew przygody, dźwięk jej własnego języka sprawiły, że spontanicznie udzieliła pomocy człowiekowi, który był najprawdopodobniej bardzo niebezpiecznym przestępcą. Kiedy jest się po stronie zbiega, a przeciwko pogoni, można się zaplątać w niezłe tarapaty. Trudno, myślała, już się stało.

Stała przy łóżku i rzuciła krótko:

- Proszę wstać.

Żadnego ruchu. Nie podnosząc głosu, powiedziała ostro:

- Już poszli. Może pan wstać.

Dalej żadnego ruchu pod lekko wybrzuszonymi poduszkami. Victoria, zniecierpliwiona, odsunęła je gwałtownie.

Młody mężczyzna leżał dokładnie tak samo, jak go zostawiła. Tyle że jego twarz miała teraz dziwny szary odcień, a oczy miał zamknięte.

W tym momencie Victoria, łapiąc szybko oddech, zauważyła coś jeszcze: jasnoczerwoną strużkę, która przeciekała na kołdrę.

- Och, nie! - krzyknęła niemal błagalnie. - Och, nie, nie!

I jakby w odpowiedzi na to błaganie ranny mężczyzna otworzył oczy. Spoglądał na nią, jak gdyby patrzył z bardzo daleka na jakiś niewyraźny przedmiot.

Rozchylił wargi - dobył się z nich słaby, prawie niedosłyszalny dźwięk.

Victoria pochyliła się.

- Co? - spytała.

Tym razem usłyszała. Z trudem, olbrzymim trudem, mężczyzna wyartykułował dwa słowa. Czy zrozumiała je właściwie, czy nie, nie była pewna. Wydały jej się całkowicie pozbawione sensu i znaczenia. Powiedział: "Lucyfer... Basra..."

Powieki nad dużymi, pełnymi niepokoju oczami zadrżały i opadły. Powiedział jeszcze jedno słowo - jakieś nazwisko. Po czym znieruchomiał z odchyłoną do tyłu głową.

Victoria zamarła, serce waliło jej jak młotem. Ogarnęła ją teraz wielka litość i gniew. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Musi kogoś zawezwać, ktoś musi tu przyjść. Była sama z martwym człowiekiem w pokoju i prędzej czy później policja zażąda od niej wyjaśnień.

Kiedy gorączkowo analizowała całą sytuację, uszu jej dobiegł jakiś metaliczny brzęk. Odwróciła głowę. Klucz wypadł na podłogę, a po chwili dał się słyszeć zgrzyt obracanej zapadki. Zamek puścił i do pokoju wszedł Dakin starannie zamknawszy za sobą drzwi.

- Dobra robota, dziecinko. Jest pani szybka. Co z nim?

- On... on chyba nie żyje.

Dakin zmienił się na twarzy, oczy zabłysły mu gniewnie, ale po chwili jego twarz przybrała znowu ten sam co zawsze wyraz, może tylko, pomyślała Victoria, zniknęły gdzieś niezdecydowanie i rozlazłość.

Pochylił się i delikatnie rozchylił podartą kurtkę.

- Celny cios, w serce - powiedział prostując się Dakin. - To był dzielny chłop i miał głowę na karku. Victoria odzyskała mowę.

- Była tu policja. Powiedzieli, że to przestępca. Czy był przestępcą?

- Nie, nie był przestępcą.

- Czy oni... czy to była rzeczywiście policja?

- Tego nie wiem - odparł Dakin. - Możliwe. To nie ma znaczenia.

Po chwili spytał:

- Czy powiedział coś przed śmiercią?

- Tak.

- Co takiego?

- Powiedział: "Lucyfer", a potem "Basra". I jeszcze nazwisko, chyba francuskie, ale mogłam źle zrozumieć.

- Jak je pani zrozumiała?

- Zdaje mi się, że Lefarge.

- Lefarge - powtórzył w zamyśleniu Dakin.

- Co to wszystko znaczy? - spytała Victoria i dodała z trwogą: - I co mam teraz zrobić?

- Postaramy się panią z tego wyłączyć - powiedział Dakin. - A jeśli chodzi o pani pierwsze pytanie, przyjdę później i porozmawiamy. Teraz trzeba przede wszystkim znaleźć Marcusa. To jego hotel, a Marcus ma dużo zdrowego rozsądku, chociaż nie zawsze to widać, kiedy się z nim rozmawia. Idę go poszukać. Chyba się jeszcze nie położył. Dopiero wpół do drugiej. A on przed drugą nie chodzi spać. Niech się pani przez ten czas ogarnie. Marcus jest bardzo czuły na wdzięki pięknych kobiet znajdujących się w niebezpieczeństwie.

Wyszedł z pokoju. Victoria jak we śnie podeszła do toaletki, rozczesała włosy, podkreśliła makijażem błądź policzków. Opadła na fotel, gdy usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Dakin wszedł bez pukania. Za nim ukazały się obfite kształty Marcusa.

Marcus był tym razem poważny. Z jego twarzy zniknął zwykły uśmiech.

- A teraz, Marcus - powiedział Dakin - musi pan zrobić, co się da. Biedna dziewczyna przeżyła straszny szok. Wpadł tutaj jak bomba jakiś facet, zwał się z nóg, ona ma dobre serce, ukryła go przed policją. Teraz on nie żyje. Chyba nie powinna była tego robić, ale dziewczyny są uczuciowe.

- Jasne, nie podobała jej się policja. Nikt nie lubi policji. Ja nie lubię. Ale muszę żyć z nimi dobrze z powodu hotelu. Mam ich przekupić?

- Chcemy tylko usunąć stąd po cichu ciało.

- Bardzo dobrze. Ja też nie chcę mieć trupa w hotelu. Ale to chyba nie będzie proste?

- Można to załatwić - powiedział Dakin. - Ma pan, zdaje się, lekarza w rodzinie?

- Tak, Paul, mąż siostry, jest lekarzem. Bardzo miły chłopak. Ale nie chcę, żeby miał kłopoty.

- Nie będzie miał - zapewnił Dakin. - Niech pan posłucha. Przenosimy ciało z pokoju panny Victorii do mojego. W ten sposób ją z tego wyłączamy. Potem ja korzystam z pana telefonu. W dziesięć minut później młody mężczyzna wtacza się do hotelu. Jest bardzo pijany, chwije się na nogach, krzyczy. Wpada do mnie do pokoju i wali się z nóg. Wychodzę, wołam pana, proszę o wezwanie lekarza. Zjawia się pana szwagier. Wzywa karetkę pogotowia i wsiada do niej razem z moim pijanym przyjacielem. W drodze do szpitala pacjent umiera. Został pchnięty nożem. Nic to panu nie szkodzi. Otrzymał cios jeszcze na ulicy, nie w hotelu.

- Szwagier zabiera ciało, a ten chłopak, co odgrywa pijaka, oddał się spokojnie, na przykład rano?

- O to chodzi.

- I nie ma trupa w moim hotelu? I panna Victoria nie ma żadnych kłopotów i przykrości? Bardzo dobry pomysł.

- Dobrze, w takim razie niech pan się upewni, czy droga wolna, a ja przetransportuję ciało do siebie. Pana służba kręci

się po korytarzach do późna w nocy. Niech pan idzie do swojego pokoju i zwoła ich wszystkich. Niech pan każe sobie przynieść to czy tamto.

Marcus skinął głową i wyszedł z pokoju.

- Wygląda pani na silną dziewczynę - powiedział Dakin. - Spróbowałaby pani pomóc mi przenieść ciało?

Victoria zgodziła się. Chwycili z dwóch stron zwłoki, przenieśli przez pusty korytarz (z dala dobiegały ich wściekle pokrzykiwania Marcusa) i złożyli je na łóżku Dakina.

- Ma pani nożyczki? - spytał Dakin. - Niech pani obetnie kawałek prześcieradła, tam, gdzie jest plama. Myślę, że krew nie przeszła na materac. Dużo wsiąkło w kurtkę. Przyjdę do pani mniej więcej za godzinę. Zaraz, proszę zaczekać, niech pani sobie łyknie z mojej flaszeczki.

Victoria posłusznie pociągnęła z butelki.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją Dakin. - A teraz niech pani wraca do siebie. Proszę zgasić światło. Będę za godzinę, tak jak mówiłem.

- I powie mi pan, co to wszystko znaczy? Rzucił jej długie, osobliwe spojrzenie, ale nie odpowiedział.

Rozdział czternasty

Victoria położyła się do łóżka, wyłączyła światło i nasłuchiwała w ciemnościach. Słyszała pijackie wrzaski. Jakiś głos belkotał: "Czułem, że muszę przyjść do ciebie, stary. Pożarłem się z takim jednym na ulicy". Słyszała dzwonki. Słyszała inne głosy. Jakiś rwetes. Potem - względna cisza, tylko z jakiegoś odległego pokoju dochodziły dźwięki gramofonu z muzyką arabską. Zdawało się jej, że upłynęły tak całe godziny. Wreszcie cicho skrzypnęły drzwi, Victoria usiadła na łóżku i zapaliła nocną lampkę.

- Dobrze się pani spisuje - pochwalił ją Dakin.

Przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł. Siedział i patrzył na nią badawczo, jak lekarz, który chce postawić pacjentowi diagnozę.

- Niech mi pan powie, o co tu chodzi.

- A może - powiedział Dakin - najpierw opowie mi pani o sobie? Co pani tutaj robi? Dlaczego przyjechała pani do Bagdadu?

Czy sprawiły to nocne wydarzenia, czy jakieś cechy osobowości Dakina (Victoria doszła później do wniosku, że to drugie), dość że tym razem nie uraczyła swego rozmówcy fantastyczną i barwną opowieścią. Po prostu opowiedziała wszystko od początku do końca: o spotkaniu z Edwardem, o postanowieniu dostania się za wszelką cenę do Bagdadu, o cudownym zrządzeniu losu w postaci pani Hamilton Clipp, o swej tragicznej sytuacji finansowej.

- Więc to tak - powiedział Dakin, kiedy skończyła. Po czym milczał przez chwilę.

- Może i chciałbym panią z tego wypłatać - podjął. - Nie jestem pewien. Problem polega jednak na tym, że się nie da. Pani jest uwikłana, czy mi się to podoba, czy nie. A skoro już pani w tym jest, dlaczego nie miałyby pani pracować dla mnie?

- Ma pan dla mnie pracę? - Victoria usiadła na łóżku rozpromieniona.

- Być może. Ale nie jest to taka praca, o jakiej pani myśli. To poważna robota, Victorio. I niebezpieczna.

- Och, to mi nie przeszkadza - odparła pogodnie. I dodała z pewną obawą: - Ale nie nieuczciwa? Wiem, że strasznie często kłamie, jednak nie chciałbym robić czegoś nieuczciwego.

Dakin uśmiechnął się lekko.

- Tak się składa, że pani umiejętność wymyślenia na poczekaniu przekonujących kłamstw jest wielkim atutem przy tej pracy. Nie, nie jest nieuczciwa. Przeciwnie, byłaby pani po stronie prawa i porządku. Wprowadzę panią w zarys całej sprawy, tak żeby rozumiała pani, czego oczekujemy i jakie są niebezpieczeństwa. Wygląda mi pani na rozsądną dziewczynę, więc chyba nie łamie pani sobie nadmiernie głowy problemami polityki i bardzo dobrze, bo jak mądrze zauważył Hamlet:

*W rzeczy samej, nic nie jest złem
ani dobrem samo przez się, tylko
myśl nasza czyni to i owo takim.*

- Wszyscy mówią, że będzie wojna, prędzej czy później - powiedziała Victoria.

- Właśnie - podchwycił Dakin. - Dlaczego wszyscy tak mówią, jak pani myśli, Victorio? Zmarszczyła czoło.

- No bo Rosja... komuniści... Ameryka... - urwała.

- Widzi pani - powiedział Dakin. - To nie są pani własne poglądy i słowa. Przejęła je pani z gazet, przypadkowych rozmów, z radia. To prawda, są dwa rozbieżne punkty widzenia dominujące w dwóch różnych częściach świata. W świadomości publicznie reprezentują je z grubsza z jednej strony "Rosja i komuniści", a z drugiej "Ameryka". Tymczasem jedyna nadzieja na przyszłość, Victorio, to pokój na świecie, produkcja, konstruktywne działanie, a nie destrukcja. Wszystko zależy od tych, którzy trzymają w ręku nici tych dwóch rozbieżnych stanowisk: mogą albo się

zgodzić na różnice i pozostać, każdy przy swoich sferach działania, albo szukać wspólnej płaszczyzny porozumienia lub tolerancji. A dzieje się coś całkiem przeciwnego: przez cały czas wbija się klin nieufności pomiędzy obie grupy, by odciągać je od siebie coraz dalej i dalej. Są pewne podstawy, by przypuszczać, że działalność tę prowadzi trzecia partia czy grupa, z ukrycia, a więc jej istnienia świat w ogóle nie podejrzewa. Kiedy tylko pojawia się szansa osiągnięcia porozumienia czy jakakolwiek oznaka opadania fali nieufności, zdarza się jakiś incydent, który jedną stronę pogrąża na powrót w podejrzliwości, a drugą w histerycznym strachu. To nie są przypadkowe rzeczy, Victorio, to celowa działalność zmierzająca do konkretnych skutków.

- Dlaczego pan tak uważa? I kto by to mógł robić?

- Naszym tropem są pieniądze. Ich pochodzenie budzi tu wiele wątpliwości. Pieniądze, dziecińco, są kluczem do wszystkiego, co się dzieje na świecie. Lekarz bada puls, by znaleźć klucz do stanu zdrowia pacjenta, pieniądze są takim pulsem każdej działalności czy sprawy. Bez nich nic nie posuwa się naprzód. W tym wypadku chodzi o olbrzymie sumy, którymi gra się niezwykle zręcznie, wręcz po mistrzowsku. Mimo to ich źródła i przeznaczenie budzą podejrzenia. Z jednej strony wybuchają dzikie strajki, powstają różne zagrożenia dla rządów europejskich, które zaczynają uzdrawiać gospodarkę. Dokonują tego sami komuniści, autentycznie walczący o swoją sprawę. Pieniądze na te cele nie pochodzą jednak z kręgów komunistycznych, a śledząc ich drogę, można odkryć bardzo dziwne, zupełnie nieprawdopodobne źródła. Z drugiej strony w Ameryce i innych krajach obserwuje się rosnącą falę strachu przed komunizmem, histeryczną niemal panikę, i tutaj również pieniądze nie biorą się z własnych kręgów, to nie są pieniądze kapitalistów, choć oczywiście przechodzą przez ich ręce. I jeszcze jedno: olbrzymie sumy po prostu giną z obiegu. Żeby przedstawić rzecz obrazowo: to tak jak gdyby wydawała pani swą pensję na zakup rozmaitych przedmiotów, bransoletek, stołów, krzeseł, komód, a potem przedmioty te znikają, ulatniałyby się. Na całym świecie wzrosło znacznie zapotrzebowanie na diamenty i inne drogocenne kamienie. Zmieniają one właścicieli po kilkanaście razy, aż w końcu znikają i nie można ich już odnaleźć.

Tak to wygląda w ogólnym zarysie. Słowem, istnieje trzecia siła, której cel nie jest do końca jasny, podsycająca spory i nieporozumienia za pomocą zręcznie kamuflowanych operacji pieniężnych i transakcji drogimi kamieniami. Mamy podstawy, by przypuszczać, że w każdym kraju działają agenci tego ugrupowania, i to od wielu lat; niektórzy z nich mają wysokie odpowiedzialne stanowiska, inni odgrywają skromną rolę, ale wszyscy pracują dla bliżej niesprecyzowanego celu. Jest to dokładnie coś takiego jak piąta kolumna na początku ostatniej wojny, tyle że tym razem jest to działalność na światową skalę.

- Ale kim są ci ludzie? - spytała Victoria.

- Sądzimy, że nie są jednej narodowości. I, niestety, chodzi im o naprawę świata! Złudzenie, że siłą można narzucić ludzkości nowe milenium, jest jednym z najbardziej niebezpiecznych urojeń. Ci, co wyłącznie myślą o napychaniu własnych kieszeni, nie są tacy groźni: czysta chciwość zabija w nich pragnienie dążenia ku innym celom. Ale wiara w jakąś nadrzędną warstwę rodzaju ludzkiego, w nadludzi, którzy mieliby panować nad resztą tego dekadentckiego świata, to największe zło, Victorio. Bo kiedy ktoś mówi: "Nie jestem taki jak inni", gubi najcenniejsze wartości, jakie staraliśmy się zawsze osiągnąć: pokorę i braterstwo.

Odchrząknął i mówił dalej:

- Ale nie zamierzam wygłaszać kazania. Chcę tylko przedstawić pani to, co wiemy. Są różne ośrodki tej działalności: jeden w Argentynie, jeden w Kanadzie, jeden lub więcej w Stanach Zjednoczonych i prawdopodobnie, choć pewności nie mamy, jeden w Rosji. I teraz dochodzimy do niezwykle interesującego zjawiska.

W ciągu dwóch ostatnich lat dwudziestu ośmiu obiecujących młodych naukowców różnych narodowości cicho zniknęło nagle z areny. Podobnie stało się z inżynierami: konstruktorami, lotnikami, elektrykami, i z innymi wysoko wykwalifikowanymi ludźmi różnych zawodów. Zniknięcia te mają ze sobą coś wspólnego: wszystkie dotyczą młodych, ambitnych ludzi, bez stałych więzów rodzinnych. Poza wypadkami, o których wiemy, takich ludzi musi być jeszcze bardzo, bardzo dużo i zaczynamy się domyślać, jaką funkcję oni spełniają.

Victoria słuchała ze ściągniętymi brwiami.

- Powie mi pani na to, że w dzisiejszych czasach nie ma takiego kraju, w którym działałoby się coś, o czym nie wiedziałaby reszta świata, nie mam oczywiście na myśli tajnej działalności; taka może się odbywać w każdym miejscu. Chodzi mi o nowoczesną produkcję na wielką skalę. A jednak istnieją takie zapadłe kąty na ziemi, z dala od szlaków handlowych, odcięte od świata górami i pustyniami, wśród ludów, które wciąż potrafią nie wpuszczać do siebie obcych. Miejsc tych nikt nie zna, nikt tam nie zagląda, poza jakimś samotnym rzadkim wędrowcem. Mogą się tam dziać rzeczy, o których na zewnątrz przedostaną się, co najwyżej, jakieś niejasne i niesamowite pogłoski.

Nie będę pokazywać palcem na mapie. Może to być w Chinach: nikt nie wie, co się dzieje w sercu Chin. Można tam dotrzeć przez Himalaje, ale ta podróż dla niewtajemniczonych jest długa i uciążliwa. Urządzenia i personel, pochodzące z całego świata, trafiają tam, nie dotarłszy do rzekomego miejsca przeznaczenia. Zostawmy na boku mechanizm tej całej operacji.

Dość, że znalazł się człowiek, który postanowił pójść pewnym tropem. To był niezwykle człowiek, miał przyjaciół i kontakty na całym Wschodzie. Urodził się w Kaszgarze, znał dialekty i języki tubylców. Zaczął coś podejrzewać i ruszył na poszukiwania. Dowiedział się tak nieprawdopodobnych rzeczy, że kiedy powrócił do cywilizowanego świata i opowiedział o wszystkim, nie uwierzono mu. Przyznał, że miał gorączkę, i potraktowano go jak człowieka bredzącego w malignie.

Uwierzyło mu tylko dwóch ludzi. Jednym z nich byłem ja. Nigdy nie kwestionuję rzeczy niemożliwych. Bo zbyt często się sprawdzają. Drugim... - zawahał się.

- Drugim? - spytała Victoria.

- Sir Rupert Crofton Lee, wielki podróżnik. Sam wędrował przez odcięte od świata kąty i wiedział coś niecoś o tym, co tam się może dziać.

Ostatecznie Carmichael, bo o nim mowa, zdecydował się przekonać o wszystkim na własne oczy. Niezwykle niebezpieczna, desperacka wyprawa, ale trudno o bardziej odpowiedniego człowieka. Wyruszył dziewięć miesięcy temu. Przepadł jak kamień w wodę i dopiero przed kilkoma tygodniami dotarli do nas pierwsze wiadomości. Żył i zdobył to, o co mu chodziło. Miał w ręku niezbitę dowody.

Ale przeciwnicy nie siedzieli z założonymi rękami. Nie mogli dopuścić do tego, by wrócił uzbrojony w dowody. Przekonał się w pełni, że cała siatka jest naszpikowana obcymi agentami. Nawet w moim oddziale są przecieki. Niektóre, co woła o pomstę do nieba, na bardzo wysokim szczeblu.

Granice pod ścisłą obserwacją. Bogu ducha winni ludzie padają ofiarą pomyłki: życie ludzkie jest dla tamtych niczym. Carmichaelowi jednak jakimś cudem udało się wychodzić bez szwanku... dopiero tej nocy...

- Więc ten człowiek... to był on?

- Tak, dziecino. Niezwykle odważny, dzielny chłopak.

- A co z dowodami? Dostali je?

Ledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po zmęczonej twarzy Dakina.

- Nie wydaje mi się. Nie, znając Carmichaela, jestem pewien, że nie. Nie zdążył jednak powiedzieć przed śmiercią, gdzie znajdują się dowody, w jaki sposób je znaleźć. Myślę, że konając, próbował powiedzieć coś, co byłoby dla nas kluczem. - I wycedził: - Lucyfer... Basra... Lefarge... Był w Basrze, próbował złożyć raport w konsulacie i o mały włos nie został zastrzelony. Bardzo możliwe, że zostawił dowody gdzieś w Basrze. Chciałbym, Victorio, żeby pani tam pojechała i postarała się czegoś dowiedzieć.

-Ja?

- Tak, wiem, że nie ma pani żadnego doświadczenia, nie wie pani, czego właściwie szukać. Ale słyszała pani ostatnie słowa Carmichaela, może naprowadzą one panią na jakiś ślad. A może dopisze pani szczęście, jak to bywa u początkującego gracza?

- Strasznie bym chciała pojechać do Basry - powiedziała gorąco Victoria.

Dakin uśmiechnął się.

- Chodzi o tego chłopca, co? W porządku. Dobry kamuflaż. Prawdziwa miłość jest najlepszym kamuflażem. Niech pani jedzie do Basry, ma oczy i uszy otwarte, niech się pani rozgląda. Nie mogę udzielić pani żadnych instrukcji, prawdę mówiąc, wołę tego nie robić. Wygląda mi pani na dziewczynę, która ma dużo własnej pomysłowości. Co znaczą słowa: "Lucyfer" i "Lefarge", zakładając, że je pani dobrze zrozumiała, nie mam pojęcia. Jestem skłonny zgodzić się z panią, że Lefarge to jakieś nazwisko. Niech pani szuka tego nazwiska.

- W jaki sposób mam się dostać do Basry? - spytała rzeczowo Victoria. - I skąd mam wziąć pieniądze?

Dakin wyciągnął portfel i wręczył jej plik banknotów.

- Oto pieniądze. A jeśli idzie o podróż do Basry, proszę jutro rano porozmawiać z tą starą jędzą Cardew Trench. Niech jej pani powie, że marzy się pani wyjazd do Basry przed rozpoczęciem pracy przy tych całych wykopaliskach. Niech się jej pani poradzi o hotel. Ona od razu powie, że musi się pani zatrzymać w konsulacie, i wyśle telegram do pani Clayton. Tam zresztą na pewno mieszka Edward. Claytonowie prowadzą dom otwarty, goszczą każdego, kto zajedzie do Basry. Ja ze swej strony mogę dać pani tylko jedną wskazówkę. Jeżeli... hm... zdarzy się coś złego, gdyby panią pytano, co pani wie i kto panią w to wszystko wciągnął, niech pani nawet nie próbuje odgrywać roli bohaterki, proszę walić całą prawdę.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Victoria z ulgą. - Okropnie boję się bólu i gdyby zaczęli mnie torturować, na pewno bym nie wytrzymała.

- Nie zawracaliby sobie głowy torturami - rzekł Dakin. - Chyba, że znaleźliby się jacyś sadyści. Tortury to przestarzała metoda. Wystarczy jedno ukłucie igłą i wyśpiewa pani całą prawdę, nie wiedząc nawet jak i kiedy. Żyjemy w czasach postępu, dziecino. Dlatego nie chcę, żeby robiła pani

jakąś wielką sprawę z zachowania tajemnicy. Nie powiedziałyby im pani niczego takiego, czego już nie wiedzą. Wiedzą o mnie po dzisiejszej nocy, muszą wiedzieć. Wiedzą też o Rupercie Croftonie Lee.

- A Edward? Czy jemu mam powiedzieć?

- To zostawiam do pani decyzji. Teoretycznie, nie powinna pani nikomu pisać słówkiem. Praktycznie... - podniósł zagadkowo brwi. - Mógłby się też znaleźć w niebezpieczeństwie. Trzeba to wziąć pod uwagę. Ale z tego, co wiem, ma piękną kartę w RAF-ie, ryzyko nie powinno go specjalnie martwić. Co dwie głowy, to nie jedna. Więc on uważa, że coś nie gra w tej jego Gałazce Oliwnej? To ciekawe, bardzo ciekawe.

- Dlaczego?

- Jesteśmy tego samego zdania - powiedział Dakin. -I jeszcze dwie wskazówki na pożegnanie - dodał po chwili. - Niech się pani nie gniewa, ale proszę nie mówić zbyt wielu różnych kłamstw. Trudno je zapamiętać i potem się ich trzymać. Wiem, że jest pani swego rodzaju wirtuozem, ale niech pani zachowa umiar, to moja rada.

- Będę o tym pamiętać - powiedziała Victoria ze stosowną pokorą. - A druga wskazówka?

- Niech ma pani uszy otwarte na nazwisko pewnej kobiety, nazywa się Anna Scheele.

- Kto to jest?

- Niewiele o niej wiemy. Przydałoby się wiedzieć więcej.

Rozdział piętnasty

I

Ależ tak, musi pani zatrzymać się w konsulacie - powiedziała stanowczo pani Cardew Trench. - Nie ma mowy, nie może pani mieszkać w Airport Hotel. Claytonowie bardzo się ucieszą. Znam ich od lat. Wyślemy telegram, dziś wieczorem ma pani pociąg. Dobrze znają doktora Pauncefoot Jonesa.

Victoria zacerwieniła się. Co innego biskup Llangow alias biskup Languao, a całkiem co innego doktor Pauncefoot Jones, człowiek z krwi i kości.

"Nie ma co - pomyślała w poczuciu winy - mogłabym wylądować w więzieniu za stwarzanie fałszywych pozorów czy coś w tym rodzaju".

Pocieszała się w duchu, że fałszywe zeznania podlegają karze sądowej tylko wtedy, jeśli mają na celu osiągnięcie zysku. Czy taki był stan faktyczny, czy nie, Victoria nie wiedziała, nie miała bowiem pojęcia o prawie, jak większość przeciętnych obywateli; brzmiało to jednak pocieszająco.

Podróż pociągiem miała w sobie pełny urok nowości. W przekonaniu Victorii pociąg trudno było określić jako ekspres, ale zaczynała już dostrzegać u siebie "zachodnią" niecierpliwość.

Na stacji czekał na nią służbowy samochód, który zawiózł ją do konsulatu. Samochód zajechał przed wielką bramą do wspaniałego ogrodu i zatrzymał się pod schodkami prowadzącymi na taras ciągnący się wokół domu. Pani Clayton, pogodna i energiczna kobieta, wyszła na powitanie przed wahadłowe drzwi.

- Naprawdę miło nam panią poznać - powiedziała. - Basra jest cudowna o tej porze roku. Nie wolno ominąć tego miasta, jeśli się jest w Iraku. Tak się szczęśliwie składa, że nikogo prawie tu nie mamy, czasami szpilki nawet nie można wcisnąć, ale teraz jest tu tylko pewien młody człowiek od doktora Rathbone'a, zresztą uroczy. Rozminęła się pani z Richardem Bakerem. Wyjechał jeszcze przed telegramem pani Cardew Trench.

Victoria nie miała pojęcia, kim jest Richard Baker, ale pomyślała, że dobrze zrobił, że wyjechał.

- Był przez kilka dni w Kuwejcie - mówiła dalej pani Clayton. - Kuwejt trzeba koniecznie zobaczyć, zanim go zniszczą. A podejrzewam, że to wkrótce nastąpi. Każde miejsce prędzej czy później zostaje zrujnowane. Woli pani najpierw kąpiel czy kawę?

- Kąpiel, jeśli można - z wdzięcznością przyjęła propozycję Victoria.

- A jak się miewa pani Cardew Trench? Tu jest pani pokój, a tam łazienka. Czy to pani dobra znajoma?

- Nie - odparła zgodnie z prawdą Victoria. - Poznałam ją tutaj.

- Przypuszczam, że przenicowała panią na wszystkie strony w ciągu pierwszych piętnastu minut? Jest straszną plotkarką, chyba pani zauważyła. To u niej prawdziwa mama, żeby wszystko o wszystkich wiedzieć. Ale potrafi być miła i jest doskonałą brydżystką. Jest pani pewna, że nie chce pani najpierw napić się kawy?

- Naprawdę nie.

- Dobrze, w takim razie zobaczymy się później. Może czegoś jeszcze pani potrzebuje?

Victoria porównałaby swą gospodynię do brzęczącej pszczoły. Kiedy pani Clayton odeszła, Victoria wykapała się, uczesała i zrobiła makijaż. Wkładała w te zabiegi szczególną troskę, jak to zwykle bywa, kiedy dziewczyna szykuje się na randkę z chłopcem, który jej się podoba.

Miała nadzieję, że jej pierwsze spotkanie z Edwardem odludzie się sam na sam. Nie obawiała się, że Edward coś chlapnie - na szczęście wiedział, że Victoria ma na nazwisko Jones, więc dodatek Pauncefoot nie powinien być dla niego zaskoczeniem. Zdziwił się natomiast, widząc ją nagle w Iraku, i dlatego chciała za wszelką cenę spotkać się z nim w cztery oczy choćby na chwilę.

Nałożyła więc letnią sukienkę (pogoda przypominała jej czerwcowy dzień w Londynie) i wysliznęła się cicho przez

wahadłowe drzwi na taras, skąd mogłaby dostrzec Edwarda powracającego od swoich zajęć, czyli handryczenia się z celnikami.

Najpierw pojawił się wysoki szczupły mężczyzna o zamyślonej twarzy. Kiedy doszedł do schodków, Victoria przesunęła się za róg. W tym momencie ujrzała Edwarda przy drzwiach ogrodowych wychodzących na zakole rzeki. Wierna tradycji Julii, przechyliła się przez balkon i wydała przeciągły syk.

Edward obrócił się gwałtownie i rozejrzał na wszystkie strony. Victoria pomyślała, że wygląda jeszcze przystojniej niż w Londynie.

- Pst! Tutaj! - zawołała nie za głośno Victoria. Edward uniósł głowę i na jego twarzy odmalowało się szczere zdumienie.

- O Boże! - krzyknął. - Victoria z Charing Cross!

- Cii... Poczekaj. Schodzę do ciebie.

Puściła się pędem przez taras, zbiegła ze schodków i pognąła za róg, gdzie stał posłusznie Edward, który jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia.

- Niemożliwe, żebym był pijany o tak wczesnej porze - powiedział Edward. - To jesteś ty?

- Tak, to jestem ja - odparła radośnie Victoria.

- Ale co ty tutaj robisz? Skąd się tu wzięłaś? Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Ja też tak myślałam.

- To jakiś cud. Jak się tu dostałaś?

- Przyleciałam.

- Oczywiście, że przyleciałaś. Inaczej nie byłabyś tak szybko. Ale jakim błogosławieństwem losu znalazłaś się w tym mieście?

- Przyjechałam pociągiem - powiedziała Victoria.

- Żartujesz sobie ze mnie, niedobra. Boże, jak ja się cieszę. Ale tak naprawdę, jak tu się znalazłaś?

- Przyjechałam z pewną panią, która złamała rękę, nazywa się Clipp i jest Amerykanką. Trafiła mi się ta praca zaraz po naszym spotkaniu. Opowiadałaś o Bagdadzie, a ja miałam trochę dość Londynu, więc pomyślałam sobie, dlaczego by nie zwiedzić kawałka świata.

- Prawdziwa z siebie hazardzistka, Victorio. Gdzie jest ta pani Clipp, tutaj?

- Nie, pojechała do córki do Kirkuku. Zatrudniła mnie tylko na czas podróży.

- Więc co teraz robisz?

- Zwiedzam dalej świat - odparła Victoria. - Ale musiałam trochę pokombinować. Dlatego chciałam zobaczyć się z tobą sam na sam, chodzi mi o to, żebyś nie chlapał przypadkiem, że kiedy mnie poznałeś, byłam świeżo zwolnioną z pracy stenotypistką.

- Dla mnie możesz być, kim tylko zarządzisz. Rozkaz!

- Więc wygląda to tak - powiedziała Victoria. - Nazywam się Pauncefoot Jones, mój wuj jest słynnym archeologiem, pracuje tu gdzieś przy wykopaliskach na jakimś pustkowiu, a ja do niego wkrótce jadę.

- I nie ma w tym cienia prawdy?

- Jasne. Nieźle to wymyśliłam, prawda?

- Tak, wspaniale. Tylko przypuśćmy, że spotkasz się oko w oko ze starym Pussyfoot Jonesem, co wtedy?

- Pauncefoot, nie Pussyfoot. To mało prawdopodobne. O ile znam się na tym, archeolog, jak już zaczniesz kopać, kopie jak wariat bez wytchnienia.

- Zupełnie jak terier. Twoja opowieść to prawdziwa gra na loterii, Victorio. Czy stary ma naprawdę jakąś siostrzenicę?

- Nie mam pojęcia - przyznała.

- A więc nie podszywasz się pod jakąś konkretną osobę. To już lepiej.

- W końcu człowiek może mieć kilka siostrzenic. W razie czego mogę zawsze powiedzieć, że jestem kuzynką, tylko mówię do niego wujku.

- Wszystko potrafisz przewidzieć - rzekł Edward z podziwem. - Zdziwiająca z ciebie dziewczyna. Inna niż wszystkie. Byłem przekonany, że cię długo nie zobaczę i że o mnie zapomnisz. A ty spadłaś jak z nieba.

Edward rzucił jej spojrzenie pełne podziwu i pokory i Victoria poczuła ogromną satysfakcję. Gdyby mogła, zamruczałaby z przyjemnością jak kotka.

- Ale chyba dalej chcesz znaleźć pracę? - spytał Edward. - Nie znalazłaś pieniędzy na ulicy, że by spocząć na laurach?

- Skądże - powiedziała Victoria. - Tak - dodała po chwili. - Będę potrzebowała pracy. Byłam zresztą w tej twojej Gałązce Oliwnej, widziałam się z doktorem Rathbone'em, prosiłam, żeby dał mi jakieś zajęcie, ale się nie kwapił, w każdym razie, żeby mi płacić.

- Skąpy dziad - stwierdził Edward. - Wydaje mu się, że każdy powinien u niego pracować dla idei.

- Myślisz, że to oszust, Edwardzie?

- Nnie... Naprawdę nie wiem, co o nim myśleć. Na pewno jest uczciwy, nie widzę innej możliwości, grosza na tym

wszystkim nie zarabia. Wydaje mi się, że ten jego szalony entuzjazm jest prawdziwy. Ale to jednak nie wariat.

- Lepiej już chodźmy. Porozmawiamy później.

- Nie wiedziałam, że się znacie - zawołała pani Clayton.

- O, to stara znajomość - powiedziała z uśmiechem Victoria. - Tylko nie widzieliśmy się przez dłuższy czas. Nie miałam pojęcia, że Edward jest w Iraku.

Pan Clayton, który okazał się tym cichym, zamyślonym mężczyzną, którego Victoria widziała z tarasu, zapytał:

- Jak tam poszło dziś rano, panie Edwardzie? Posunął się pan do przodu?

- Końca nie widać. Wszystko gotowe, skrzynie z książkami w najlepszym porządku, ale formalności celne wloką się noga za nogą.

Clayton uśmiechnął się.

- Widać nie przyzwyczaiał się pan jeszcze do wschodniego żółtawego tempa.

- Nigdy nie ma tego, kto akurat jest potrzebny - żalił się Edward. - Wszyscy są uprzejmi, pełni dobrej woli, tylko nic się nie dzieje.

Wszyscy zaśmiali się, a pani Clayton powiedziała pocieszająco:

- W końcu poradzi pan sobie z nimi. Mądrze zrobił doktor Rathbone, przysyłając tu pana na miejsce. Inaczej grzebaliby się całymi miesiącami.

- Od czasów Palestyny wszędzie wietrzą bomby. Szukają też wywrotowej literatury. Czepiają się dosłownie wszystkiego.

- Chyba doktor Rathbone nie przemyca bomb w skrzyniach z książkami - zaśmiała się pani Clayton.

Victorii zdawało się, że dostrzegła nagły błysk w oku

Edwarda, jakby żartobliwa uwaga pani Clayton poddała mu jakąś myśl.

- Doktor Rathbone jest niezwykle wykształconym człowiekiem, powszechnie znaną osobistością, kochanie - odezwał się pan Clayton z lekką reprimendą. - Jest członkiem licznych towarzystw, ma doskonałą reputację w całej Europie.

- Tym łatwiej mu przemycać bomby - żartowała niezrażona pani Clayton.

Victoria zauważyła, że Claytonowi nie w smak jest niefrasobliwość żony. Zmarszczył brwi.

W godzinach popołudniowych była przerwa w pracy, więc Victoria i Edward poszli po lunchu przejść się po mieście.

Victoria zachwycona była rzeką Shatt alArab z lasem palm daktylowych po obu brzegach, oczarowana arabskimi łodziami o wysokich dziobach, przypominającymi weneckie gondole, przycumowanymi do brzegów kanału. Poszli na suk, gdzie oglądali weselne szkatuły z ozdobnymi okuciami z mosiądzu oraz inne wspaniałości.

Kiedy wracali do konsulatu i Edward szykował się do kolejnego ataku na urząd celny, Victoria zagadnęła znienacka:

- Edwardzie, jak ty się właściwie nazywasz? Edward spojrzał na nią ze zdumieniem.

- O co ci chodzi, Victorio?

- O twoje nazwisko. Nie znam go.

- Naprawdę? Tak, rzeczywiście. Nazywam się Goring.

- Edward Goring. Nie masz pojęcia, jak głupio się czułam w Gałazce Oliwnej: chciałam o ciebie zapytać, ale wiedziałam tylko, że masz na imię Edward.

- Była tam taka ciemna dziewczyna? Uczesana na pazia?

-Tak.

- To Catherine. Jest bardzo fajna. Gdybyś ją spytała o Edwarda, wiedziałaby od razu, o kogo chodzi.

- Zapewne - rzekła Victoria z rezerwą.

- Świetna dziewczyna. Jak ci się podobała?

-No, dość...

- Może nie jest specjalnie ładna, prawdę mówiąc, nic szczególnego, ale wyjątkowo sympatyczna.

- Naprawdę? - Głos Victorii stał się teraz lodowaty, czego Edward wyraźnie nie spostrzegł.

- Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradził. Wciągnęła mnie w sprawę, pomogła mi, inaczej pewno bym wyszedł na idiotę. Zobaczysz, bardzo się zaprzyjaźnicie.

- Wątpię, czy będziemy mieć po temu okazję.

- Na pewno. Załatwię ci tam pracę.

- Jakim sposobem?

- Nie wiem, ale jakoś załatwię. Powiem na przykład staremu Grzechotnikowi, że jesteś wspaniałą maszynistką.

- Bardzo szybko przekona się, że to nieprawda.

- W każdym razie, tak czy siak będziesz w Gałazce Oliwnej. Nie pozwolę, żebyś mi się tu plątała samopas. Jak cię znam, to zaraz wyruszysz do Birmy albo do czarnej Afryki. Nie, moja mała, będę miał ciebie na oku. Nie zamierzam cię utracić. Wiem, jak pociąga cię świat, i za grosz ci nie ufam.

"Ty wariacie - pomyślała Victoria. - Nie wiesz, że żadna siła nie wyciągnęłaby mnie z Iraku".

A głośno powiedziała:

- No cóż, praca w Gałazce Oliwnej - to może być zabawne.

- Tak bym tego nie określił. Wszystko tam jest straszliwie poważne. I całkiem zwariowane.

- Dalej uważasz, że coś tam nie gra?

- Och, to był tylko mój szalony pomysł.

- Nie - powiedziała Victoria z namysłem. - To nie był szalony pomysł. Myślę, że tak jest naprawdę. Edward gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

- Skąd wiesz?

- Słyszałam... od kogoś znajomego.

- Kto to jest?

- Po prostu, ktoś znajomy.

- Dziewczyny takie jak ty mają zbyt wielu znajomych - mruzczał pod nosem Edward. - Victorio, jesteś z piekła rodem. Kocham cię do nieprzytomności, a ty sobie nic z tego nie robisz.

- Ależ nie - zaprotestowała. - Robię sobie, troszeczkę. Nie pokazała po sobie, jak bardzo zachwyliły ją słowa Edwarda i spytała:

- Edwardzie, czy jakiś człowiek o nazwisku Lafarge związany jest z Gałazką Oliwną?

- Lefarge? - Edward robił wrażenie zaskoczonego. - Nic mi to nie mówi. Kto to?

- A Anna Scheele? - podjęła Victoria. Tym razem reakcja Edwarda była całkiem inna. Odwrócił się do niej gwałtownie, schwylił ją za ramię i spytał:

- Co wiesz o Annie Scheele?

- Aj! Puść mnie! Nic nie wiem, Myślałam, że może ty coś wiesz.

- Kto ci o niej mówił? Pani Clipp?

- Nie... nie pani Clipp... chyba nie... ale ona mówiła bez przerwy i tak szybko, że gdyby nawet coś wspomniała, to i tak bym nie zapamiętała.

- Ale dlaczego przypuszczasz, że ta Anna Scheele ma jakiś związek z Gałazką Oliwną?

- A ma?

- Nie wiem - powiedział powoli Edward. - To wszystko jest takie... takie niejasne.

Stali przy drzwiach ogrodowych konsulatu. Edward spojrział na zegarek.

- Muszę lecieć do roboty - powiedział. - Szkoda, że nie znam arabskiego. Musimy porozmawiać, Victorio. Chciałbym cię zapytać o wiele rzeczy.

- A jak chciałabym ci wiele rzeczy powiedzieć.

Kobieta o czułym sercu w bardziej sentymentalnych czasach zapewne zrobiłaby wszystko, by nie narażać swego kawalera na niebezpieczeństwo. Ale nie Victoria. W jej przekonaniu mężczyźni stworzeni są do niebezpieczeństw, tak jak iskry do tego, by strzelać w górę. Edward nie podziękowałby jej za wyłączenie z całej sprawy. A po namyśle doszła do wniosku, że intencją Dakina nie było wyłączenie Edwarda.

II

Tego samego wieczoru o zachodzie słońca Victoria i Edward przechadzali się po ogrodzie przed konsulatem. Pani Clayton uważała, że jest lodownia, więc Victoria narzuciła wełniany żakiet na letnią sukienkę. Zachód słońca był wspaniały, ale młodzi nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Pograżeniu byli w rozmowie o ważniejszych sprawach.

- Początek był prosty - opowiadała Victoria. - Do mojego pokoju w Tio wpadł mężczyzna, który został pchnięty nożem.

Większość ludzi nie uznałaby zapewne, że jest to prosty początek. Edward wytrzeszczył oczy i zapytał:

- Pchnięty nożem?

- Tak - odparła Victoria. - Tak mi się wydaje; gdyby był postrzelony, to usłyszałabym wystrzał. W każdym razie - dodała - on nie żył.

- Jak mógł się dostać do twojego pokoju, skoro nie żył?

- Och, nie bądź głupi, Edwardzie.

I opowiedziała całą historię, miejscami jasno i szczerze, miejscami w sposób zagmatwany. Z jakiegoś bliżej niewyjaśnionego powodu Victoria nigdy nie potrafiła opowiadać o prawdziwych wydarzeniach z dramatycznym napięciem. Przerывała tok narracji, nie kończyła wątków, robiąc wrażenie, że kłamie jak z nut.

Kiedy skończyła, Edward spojrział na nią z powątpiewaniem i powiedział:

- Nic ci nie jest, Victorio? Nie byłeś za długo na słońcu? A może coś ci się przyśniło?

- Co za pomysł!

- Bo widzisz, to wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne.

- Ale zdarzyło się naprawdę! - Victoria poczuła się dotknięta.
- A ta cała melodramatyczna bzdura o trzeciej sile i tajnych instalacjach w środku Tybetu i Beludżystanu? Po prostu niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają.
- Tak się zawsze mówi, póki się nie zdarzą.
- Na litość boską, Victorio z Charing Cross, przyznaj się, ty to wszystko wymyśliłaś!
- Nie! - krzyknęła Victoria z rozpaczą.
- I przyjechałaś tutaj, by szukać Lefarge'a i Anny Scheele...
- O której ty sam słyszałeś - przerwała. - Słyszałeś o niej, prawda?
- Tak... Obiło mi się to nazwisko o uszy...
- Kiedy? Gdzie? W Gałazce Oliwnej?
- Edward milczał przez chwilę, po czym powiedział:
- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. To było takie... dziwne...
- Mów, mów śmiało.
- Widzisz, Victorio, jestem zupełnie inny niż ty. Nie jestem taki dociekliwy. Po prostu czuję, że jest coś dziwnego, że coś jest nie w porządku, ale nie wiem dlaczego. Ty starasz się dojść do sedna, wyciągasz wnioski z poszczególnych wydarzeń. Ja nie jestem na tyle inteligentny. Mam tylko niejasne przecucie, że coś nie gra, ale dlaczego - nie wiem.
- Znam to uczucie - powiedziała Victoria. - Na przykład, kiedy widziałam sir Ruperta na tarasie w Tio...
- Co za sir Rupert?
- Sir Rupert Crofton Lee. Przylecieliśmy razem samolotem. Popisujący się pyszałek. No wiesz, ważna osobistość. Więc kiedy zobaczyłam go, jak siedzi w słońcu na tarasie w Tio, też miałam takie dziwne uczucie, że coś jest nie tak, ale nie wiem co.
- Rathbone zaprosił go na odczyt w Gałazce Oliwnej, ale on nie mógł przyjść. Leciał, zdaje się, do Kairu czy Damaszku wczoraj rano.
- Wróćmy do Anny Scheele.
- Tak, Anna Scheele. To było jakieś głupstwo. Jedna z dziewcząt o niej wspomniała.
- Catherine? - natychmiast podpowiedziała Victoria.
- Tak, to chyba była Catherine, teraz tak mi się wydaje.
- Oczywiście, że Catherine. Dlatego nie chcesz mi powiedzieć.
- Co za bzdura!
- No więc jak to było?
- Catherine powiedziała do którejś z dziewczyn: "Kiedy przyjedzie Anna Scheele, wykonamy następny ruch. Od niej, i tylko od niej, przyjmujemy polecenia".
- To piekielnie ważne, Edwardzie.
- Pamiętaj, że nawet nie jestem pewien, że to o nią chodziło - ostrzegł Edward.
- A wtedy nie wydawało ci się to dziwne?
- Skądże. Myślałam, że mowa o jakiejś królowej pszczoł, która ma zarządzać całym ulem. Victorio, czy jesteś pewna, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłaś?
- Edward zadrżał pod spojrzeniem swej przyjaciółki.
- No już dobrze - powiedział pośpiesznie. - Ale przyznasz, że cała ta historia jest cokolwiek dziwna. Zupełnie jak w powieści sensacyjnej: wpada do pokoju młody mężczyzna, wyrzuca z siebie ostatnim tchem słowo, które nic nie znaczy, a potem umiera. To brzmi nierealnie.
- Nie widziałaś krwi - powiedziała Victoria i otrząsnęła się lekko.
- Musiałaś to strasznie przeżyć - rzekł Edward ze współczuciem.
- Bardzo - odparła. - I jeszcze do tego ty, który pytasz, czy nie zmyślam.
- Przepraszam cię, ale lubisz zmyślać i nieźle to robisz. Biskup Llangow i tak dalej...
- Och, tamto to młodzieńcza zabawa, joie de vivre - powiedziała Victoria. - Teraz sprawa jest poważna, naprawdę poważna.
- A ten Dakin - tak się nazywa? - zrobił na tobie wrażenie człowieka, który wie, co mówi?
- Tak, mówił bardzo przekonująco. Zaraz, Edwardzie, a skąd wiesz...
- Rozległo się nawoływanie z tarasu i Victoria nie dokończyła zdania.
- Prosimy na górę, drinki czekają.
- Idziemy - odrzyknęła Victoria. Kiedy zbliżali się do schodków, pani Clayton, nie spuszczając ich z oka, powiedziała do męża:
- Tu się coś święci, czuję pismo nosem. Miła para dzieciaków, chyba są dokładnie w tym samym wieku. Chcesz się dowiedzieć, co o tym myślę, Geraldzie?
- Oczywiście, kochanie. Zawsze jestem ciekaw twojego zdania.

- Myślę, że ta dziewczyna jedzie do swojego wuja na wykopaliska tylko i wyłącznie z powodu tego młodego człowieka.

- Przesadzasz, Roso. Byli bardzo zdziwieni, kiedy się spotkali.

- Phi! - wzruszyła ramionami pani Clayton. - To jeszcze nic nie znaczy. On był zdziwiony, tak bym powiedziała. Gerald Clayton pokręcił tylko głową z uśmiechem.

- Ona nie jest typem dziewczyny archeologa - ciągnęła pani Clayton. - Zazwyczaj są to poważne panny w okularach z pocącymi się dłońmi.

- Ależ kochanie, nie można tak uogólniać.

- Intelktualistki i tak dalej. A to jest sympatyczne głupiutkie stworzenie z dużą dozą zdrowego rozsądku. Zupełnie w innym typie. Edward to miły chłopak. Szkoda, że związał się z tą idiotyczną Gałązką Oliwną, ale pewno niełatwo znaleźć pracę. Powinni wyszukać zajęcia tym chłopcom.

- To nie takie proste, kochanie, robią, co mogą. Ale widzisz, ci chłopcy nie mają żadnej praktyki, żadnego doświadczenia, żadnych nawyków w pracy umysłowej.

Tego wieczoru Victoria położyła się do łóżka z mieszanymi uczuciami.

Dopięła swego, znalazła Edwarda! I przyszła nieuchronna reakcja: czuła się oklapnięta i nie mogła się tego uczucia pozbyć.

Po części z powodu nieufności Edwarda wszystko, co jej się przydarzyło, stało się teatralne, nierzeczywiste. Ona, Victoria Jones, skromna maszynistka z Londynu, przyjechała do Bagdadu, widziała zamordowanego niemal na własnych oczach człowieka, została tajnym agentem albo kimś równie dramatycznym, spotkała się w końcu ze swym ukochanym pod palmami w tropikalnym ogrodzie, położonym zresztą prawdopodobnie niedaleko miejsca, gdzie mieścił się raj.

Przypomniała sobie zwrotkę wierszyka dla dzieci:

*Ile mil do Babilonu?
Siedemdziesiąt w jedną stronę,
A czy zajdę tam przy świecy?
Tam i nazad, wielkie rzeczy,
Mój mości panie.*

Ale jeszcze nie wróciła - wciąż jest w Babilonie.

Może nigdy nie wróci - ona i Edward w Babilonie, na zawsze.

Miała o coś zapytać Edwarda, tam w ogrodzie. Raj... ona i Edward... zapytać Edwarda... woła pani Clayton... wyszło jej z głowy... musi sobie przypomnieć... to bardzo ważne...

to wszystko nie ma sensu... palmy... ogród... Edward... Saraceńska panna... Anna Scheele... Rupert Crofton Lee... wszystko się pokręciło... gdyby tylko mogła sobie przypomnieć...

Kobieta w korytarzu hotelowym... kobieta w kostiumie... to ona sama... ale kobieta się zbliża... ma twarz Catherine... nonsens! "Chodź - powiedziała do Edwarda - odszukamy monsieur Lefarge'a..." i nagle go zobaczyła, miał cytrynowożółte dzieciinne rękawiczki i małą spiczastą czarną bródkę.

Edward odszedł, została sama. Musi wrócić z Babilonu, zanim zgasną świece.

Bo dzień nasz zaszedł, ciemność nas owija.

Kto to powiedział? Przemoc... terror... zło... krew na podartej kurtce. Biegnie... biegnie korytarzem w hotelu. Goni ją. Victoria zdyszana usiadła na łóżku.

III

- Kawa? - spytała pani Clayton. - Jajecznicą?

- Z przyjemnością.

- Błado pani dziś wygląda. Źle się pani czuje?

- Fatalnie spałam. Nie wiem dlaczego... łóżko jest naprawdę bardzo wygodne.

- Włącz radio, Geraldzie. Zaraz będą wiadomości.

Kiedy odezwał się sygnał wiadomości, do pokoju wszedł Edward.

"Wczoraj wieczorem premier poinformował Izbę Gmin o ostatnich redukcjach w imporcie dolarowym.

Z Kairu donoszą, że w Nilu znaleziono zwłoki sir Ruperta Croftona Lee. - Victoria odstawiła gwałtownie filiżankę, a pani Clayton wydała okrzyk zgrozy. - Sir Rupert wyszedł z hotelu zaraz po przyjeździe z Bagdadu i nie powrócił na noc. Po dwudziestu czterech godzinach znaleziono jego ciało. Śmierć nastąpiła od ciosu w serce, wyklucza się utopienie. Sir Rupert był znanym podróżnikiem, słynne są jego wyprawy do Chin i Beludżystanu, był też autorem wielu książek".

- Zamordowany! - krzyknęła pani Clayton. - Podobno doręczono mu jakąś wiadomość, wyszedł z hotelu w wielkim

pośpiechu i nie powiedział, dokąd idzie.

- Widzisz - powiedziała Victoria do Edwarda po śniadaniu, kiedy zostali sami - to wszystko prawda. Najpierw Carmichael, teraz sir Rupert. Przykro mi, że nazwałam go popisującym się pyszałkiem. Nieładnie. Każdego, kto coś wie lub domyśla się czegoś w tej całej dziwnej sprawie, usuwa się z drogi. Edwardzie, jak myślisz, może następną ofiarą będę ja?

- Na miłość boską, Victorio, nie miej takiej zadowolonej miny! Masz stanowczo zbyt silny pociąg do dramatycznych wydarzeń. Nie widzę powodu, żeby ktoś chciał się ciebie pozbyć, bo tak naprawdę nic nie wiesz, ale, błagam cię, uważaj, bardzo uważaj.

- Oboje musimy uważać. Wciągnęłam cię w to wszystko.

- To dobrze, przynajmniej jakieś urozmaicenie.

- Tak, bądź ostrożny - Victorię przeszedł nagle dreszcz. - Okropność! Był taki żywotny, ten sir Rupert, a teraz i on nie żyje. Przeróżające, naprawdę przeróżające.

Rozdział szesnasty

I

No jak tam, znalazł się pani chłopiec? - spytał Dakin.

Victoria skinęła głową.

-I nikt więcej? Zaprzeczyła ze smutkiem.

- Niech się pani nie martwi - powiedział Dakin. - W tej grze długo trzeba czekać na wyniki. Możliwe, że wpadła pani na jakiś trop, nigdy nie wiadomo, ale ja naprawdę na to nie liczyłem.

- Czy mogę jeszcze spróbować? - spytała.

- Chce pani?

- Tak, chcę. Edward mówi, że załatwi mi pracę w Gałazce Oliwnej. Będę mieć oczy i uszy otwarte i może uda mi się coś wysledzić. Tam wiedzą o Annie Scheele.

- O, to bardzo ciekawe. Skąd pani wie?

Victoria powtórzyła to, co opowiedział jej Edward, przytoczyła słowa Catherine, że trzeba poczekać na wytyczne Anny Scheele.

- Bardzo ciekawe - powtórzył Dakin.

- Kim jest Anna Scheele? - spytała Victoria. - Musi pan coś o niej wiedzieć, poza samym nazwiskiem.

- Oczywiście. Jest ona poufny sekretarzem amerykańskiego bankiera, dyrektora międzynarodowej firmy bankowej. Przyleciała z Nowego Jorku do Londynu jakieś dziesięć dni temu. I zniknęła.

- Zniknęła? Nie żyje?

- Ciało nie znaleziono.

- Ale jest możliwe, że nie żyje?

- Tak, jest możliwe.

- Czy ona... miała przyjechać do Bagdadu?

- Tego nie wiem. Sądząc z tego, co mówiła ta Catherine, miała taki zamiar. A właściwie ma, bo na razie nie ma powodu przypuszczać, że nie żyje.

- Może dowiem się czegoś więcej w Gałazce Oliwnej?

- Być może, ale jeszcze raz ostrzegam panią, Victorio: musi pani bardzo uważać. Organizacja, z którą pani walczy, jest całkowicie bezwzględna. Nie chciałbym, żeby znalazła się pani w Tygrysie.

Victoria zadrzała i powiedziała cicho:

- Tak jak sir Rupert Crofton Lee. Wie pan, tego ranka, kiedy widziałam go tutaj w hotelu, było w nim coś dziwnego, coś mnie zaskoczyło. Nie mogę skojarzyć co.

- Coś dziwnego?

- Tak, coś innego niż przedtem. -I gniewnie potrząsnęła głową w odpowiedzi na wyczekujące spojrzenie Dakina. - Może na to wpadnę. To na pewno nic ważnego.

- Każdy szczegół może być ważny.

- Edward mówi, że jak znajdzie mi pracę, powinnam się stąd wyprowadzić i zamieszkać w jakimś pensjonacie jak inne dziewczęta.

- Będzie mniej domysłów. Hotele w Bagdadzie są bardzo drogie. Pani Edward ma głowę na karku.

- Chce się pan z nim zobaczyć? Dakin potrząsnął zdecydowanie głową.

- Nie, proszę mu powiedzieć, żeby trzymał się z dala ode mnie. Niestety pani, zbiegiem okoliczności tamtej nocy, kiedy zginął Carmichael, dostała się do grona podejrzanych. Edward nie ma żadnych powiązań z tamtym wydarzeniem

ani ze mną, i bardzo dobrze.

- Miałam o coś pana zapytać - powiedziała Victoria. - Kto zabił Carmichaela? Czy morderca szedł za nim do hotelu?

- Nie - odparł wolno Dakin. - To niemożliwe.

- Niemożliwe?

- Carmichael przyspłynął gufą, łodzią tubylców, i nikogo za nim nie było. Wiemy o tym, bo pilnowaliśmy rzeki.

- Więc ktoś z hotelu?

- Tak, dziecino. I to ktoś z jednego skrzydła w hotelu, sam obserwowałem schody, nikt nie wchodził. Spojrzał na jej pytającą twarz i powiedział cicho:

- Nie ma tak wielu osób. Pani, ja, pani Cardew Trench, Marcus, jego siostra. Kilku starych służących, którzy tu pracują od lat. Człowiek nazwiskiem Harrison z Kirkuku, o którym nic nie wiadomo. Pielęgniarka z Jewish Hospital... Mogła być każda z tych osób, ale żadna nie wydaje się prawdopodobna, z jednego prostego powodu.

-Tak?

- Carmichael miał się na baczności. Wiedział, że zbliża się szczytowa chwila jego misji. Był człowiekiem o wyczulonym instynkcie niebezpieczeństwa. Jak to się stało, że instynkt go zawiódł?

- Ci policjanci... - zaczęła Victoria.

- Oni przyszli potem z ulicy. Przypuszczam, że otrzymali jakiś sygnał. Ale nie oni popełnili zbrodni. Musiał to zrobić człowiek, którego Carmichael dobrze znał, któremu ufał... albo... którego zlekceważył. Gdybym tylko wiedział...

II

Po osiągnięciu sukcesu przychodzi kolej na odreagowanie napięcia. Victoria, jak w transie dążyła do celu: dostać się do Bagdadu, znaleźć Edwarda, poznać Gałązkę Oliwną. Dokonała tego i teraz zastanawiała się czasami, choć nie była skłonna do autorefleksji, co właściwie tutaj robi. Uniesienie towarzyszące spotkaniu z Edwardem pojawiło się i zniknęło. Kochała Edwarda i Edward ją kochał. Pracowali wspólnie pod jednym dachem, ale patrząc chłodnym okiem, Victoria zadawała sobie pytanie: na co i po co?

Edward siłą własnej determinacji czy zręcznej perswazji, dopiął swego, Victoria otrzymała skromnie płatne zajęcie w Gałązce Oliwnej. Pracowała w małym, ciemnym pokoiku, w którym stale paliło się światło, przepisywała na rozklekotanej maszynie zawiadomienia, listy i manifesty dotyczące naiwnego programu Gałązki Oliwnej. Edward miał poczucie, że z Gałązką Oliwną jest coś nie w porządku. Pan Dakin zgadzał się z jego opinią. Zadaniem jej, Victorii, było wpaść na jakiś trop, ale pytanie, czy było tu w ogóle czego szukać. Pokojowa działalność Gałązki Oliwnej była słodka jak miód. Spotkania odbywały się przy oranżadzie i żalonych zakąskach, a Victoria miała na nich pełnić obowiązki niemalże pani domu: rozmawiać, przedstawiać, pilnować dobrego nastroju, krążyć wśród ludzi rozmaitych nacji, którzy spoglądali na siebie wilkiem i łapczywie pochłaniali zakąski.

Jej zdaniem nie było tu żadnego ukrytego nurtu, konspiracji, wewnętrznych struktur. Wszystko było jawne, pokojowe i przeraźliwie nudne. Ciemnoskórzy chłopcy zalecali się do Victorii, pożyczali jej książki, które przerzucała i odkładała znużona.

Z hotelu Tio przeprowadziła się do pensjonatu na zachodnim brzegu rzeki, gdzie mieszkała razem z innymi dziewczętami różnych narodowości. Wśród nich była Catherine i Victorii zdawało się, że obserwuje ją ona podejrzliwym okiem; czy Catherine podejrzewała ją o szpiegowanie Gałązki Oliwnej, czy też to sprawa bardziej delikatnej natury, dotycząca uczuć Edwarda, tego Victoria nie mogła rozstrzygnąć. Brała pod uwagę raczej tę drugą możliwość. Było powszechną tajemnicą, że to Edward załatwił pracę Victorii, toteż kilka par zazdrosnych ciemnych oczu łypało na nią z uzasadnioną wrogością.

Faktem jest, myślała ponuro, że Edward jest stanowczo zbyt przystojny. Wszystkie te dziewczyny były w nim zakochane, a ujmujący, przyjacielski sposób bycia Edwarda tylko pogarszał sprawę. Victoria i Edward umówili się, że będą trzymać swe uczucia w tajemnicy. Jeżeli mają odkryć coś ważnego, nikt nie może ich podejrzewać o współpracę. Stosunek Edwarda do Victorii był taki sam jak do innych dziewcząt, tyle że nieco chłodniejszy.

O ile więc Gałązka Oliwna wydawała się całkowicie nieszkodliwą organizacją, to jej szef i założyciel budził wiele wątpliwości. Victoria kilkakrotnie czuła na sobie spojrzenie ciemnych pytających oczu i choć reagowała niewinną pensjonarską miną, serce zaczynało jej walić jak młotem, ogarniał ją lęk.

Kiedyś stawiała się u niego z powodu jakiegoś błędu maszynowego i już nie skończyło się na spojrzeniu.

- Mam nadzieję, że zadowolona jest pani z pracy? - spytał.

- Tak, bardzo - odparła Victoria. I dodała: - Przykro mi, że robię tyle błędów.

- Nie szkodzi. Nie potrzebujemy bezdusznych automatów. Potrzebujemy młodości, wielkodusznej postawy, szerokich horyzontów myślenia.

Victoria usiłowała przybrać poważną, wielkoduszną postawę.

- Trzeba kochać pracę... kochać sprawę, której się służy... wierzyć w świetlaną przyszłość. Czy tak właśnie pani czuje,

moje dziecko?

- To wszystko jest dla mnie takie nowe - powiedziała. Mam wrażenie, że nie ogarnęłam jeszcze tego do końca.
- Razem... wszyscy razem... młodzi na całym świecie powinni iść razem. To sprawa zasadnicza. Lubi pani nasze koleżeńskie wieczorki dyskusyjne?
- Bardzo - odparła Victoria, która w rzeczywistości nienawidziła tych spotkań.
- Zgoda zamiast swarów, braterstwo zamiast nienawiści. Ten proces postępuje, powoli i systematycznie. Zgadza się pani ze mną?

Pomyślała o niekończących się drobnych zawiściach i kłótniach, zranionych uczuciach, wiecznych przeprosinach i nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Niekiedy - powiedziała ostrożnie - ludzie są trudni.
- Wiem... wiem... - westchnął doktor Rathbone i zmarszczył w zakłopotaniu swe szlachetne, wysokie czoło. - Słyszałem, że Michael Rakounian pobił się z Isaakiem Na-houmem i rozciął mu wargę. O co poszło?

- Po prostu drobne nieporozumienie. Doktor Rathbone zamyślił się ponuro.

- Cierpliwość i wiara - mruknął. - Cierpliwość i wiara - powtórzył.

Victoria posłusznie pokiwała głową i wybąkała coś pod nosem, po czym odwróciła się, by wyjść z pokoju. Ale przypomniała sobie, że zostawiła maszynopis, i zawróciła.

W tym momencie spotkała spojrzenie doktora Rathbone i przeraziła się; wpatrywał się w nią przenikliwym, nieufnym wzrokiem. Victorii przyszło nagle do głowy, że tak naprawdę wcale nie wie, pod jak ścisłą jest obserwacją i co właściwie myśli o niej doktor Rathbone.

Wytuczne Dakina były bardzo precyzyjne. Jeśli miała mu coś do przekazania, musiała trzymać się pewnych ustaleń. Dał jej starą, wyblakłą różową chusteczkę, miała z tą chusteczką przechadzać się w pobliżu swego pensjonatu nad brzegiem rzeki o zachodzie słońca, jak to czasem robiła. Była tam mała ścieżka, ciągnąca się przez jakieś ćwierć mili.

W pewnym momencie pojawiały się duże schody prowadzące na brzeg rzeki, gdzie zawsze stały przycumowane łodzie. Na jednym z drewnianych pali znajdował się zardzewiały gwóźdź. Tam Victoria miała umocować skrawek różowej chusteczki - znak, że prosi o kontakt z Dakinem. Do tej pory, myślała Victoria z goryczą, takiej potrzeby nie było. Poza tym, że pracowała byle jak i za byle jakie pieniądze, nic się nie działo. Edwarda widywała z rzadka, gdyż stale gdzieś wyjeżdżał na polecenie doktora Rathbone'a. Teraz na przykład właśnie wrócił z Iranu. W czasie nieobecności Edwarda miała jedno krótkie i niezbyt zadowalające spotkanie z Dakinem. Otrzymała polecenie, żeby pójść do hotelu Tio i zapytać, czy nie zostawiła w pokoju swetra. W hotelu dowiedziała się, że swetra nie znaleziono, ale natychmiast pojawił się Marcus, który ją zgarnął na drinka nad rzekę. Z ulicy wyłonił się Dakin, a Marcus zaprosił go do towarzystwa. Po chwili wezwano Marcusa i Victoria znalazła się sam na sam z Dakinem, który sączył swą lemoniadę przy małym pomalowanym olejno stoliku.

Przyznała się ze skrucą do braku jakichkolwiek osiągnięć. Dakin jednak był bardzo wyrozumiały i uspokajający.

- Ależ dziecino, nawet pani nie wie, czego pani szuka, czy w ogóle jest czego szukać. A jakie są pani ogólne wrażenia z Gałazki Oliwnej?

- To mętna impreza.

- Mętna, zgoda. Ale czy fałszywa?

- Nie wiem - mówiła powoli Victoria. - Jak to powiedzieć? ... Ludzie mają zaufanie do kultury...

- Chce pani powiedzieć, że tam, gdzie idzie o kulturę, każdy przyjmuje wszystko bona fides, inaczej gdyby szło o działalność dobroczynną czy finansową? To prawda, I na pewno są tam prawdziwi entuzjaści. Czy ktoś jednak podszywa się pod tę ich organizację?

- Chyba płacze się tam wielu komunistów - powiedziała niepewnie Victoria. - Edward też tak uważa. Kazał mi czytać Karola Marksa i wyglądać ich reakcji. Dakin pokiwał głową.

- Ciekawe. I co?

- Na razie nic.

- Co z Rathbone'em? A on, czy on jest uczciwy?

- Myślę, że tak - powiedziała Victoria z powątpiewaniem w głosie.

- Widzi pani, on dla mnie stanowi problem - powiedział Dakin. - To gruba ryba. Przypuśćmy, że jest jakiś spisek komunistów; studenci, młodzi rewolucjoniści mają niewielkie szansę, by spotkać się z prezydentem. Policja jest od tego, by nie rzucano bomb z ulicy. A Rathbone to co innego. Należy do czołówek, sławny człowiek, zbawca ludzkości. Będzie mógł bez trudu wejść w bliski kontakt z ważnymi osobistościami. Zapewne to zrobi. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tym Rathbone.

"Tak - pomyślała Victoria - wszystko kręci się wokół Rathbone'a".

Wtedy, gdy przed wielu tygodniami w Londynie, Edward, mówiąc ogólnikowo o swych podejrzeniach, miał na myśli Rathbone'a. Musiało coś być, pomyślała nagle Victoria, jakiś incydent czy słowo, coś, co wzbudziło podejrzliwość Edwarda. Tak bowiem, w przekonaniu Victorii, funkcjonuje ludzki umysł; niesprecyzowana wątpliwość, nieufność

nie są nigdy tylko zwykłym przecuciem, zawsze jest jakaś przyczyna. Gdyby Edward mógł dokładnie wszystko odtworzyć, może razem wpadliby na to, jaki fakt czy zdarzenie wzbudziło jego zastrzeżenia. Podobnie ona, Victoria, musi zrekonstruować, co ją tak zdziwiło w sir Rupercie Croftonie Lee, kiedy siedział w słońcu na tarasie hotelu Tio. Oczywiście, zaskoczona była jego obecnością w Tio, była pewna, że zatrzymał się w ambasadzie, ale to nie uzasadniało jej silnego przekonania, że człowiek na tarasie nie może być sir Rupertem. Prześledzi po kolei wydarzenia tamtego ranka, a Edward musi jak najszybciej

zrobić to samo odnośnie do swych pierwszych kontaktów z Rathbone'em. Powie mu o tym, kiedy tylko spotkają się bez świadków. Spotkać Edwarda samego nie było jednak rzeczą łatwą. Wrócił co prawda z Iranu, ale ich prywatne kontakty w Gałazce Oliwnej były prawie niemożliwe: hasło z ostatniej wojny - les oreilles ennemies vous ecoutent - powinno być tu wypisane na każdej ścianie. Nie było również prywatności w armeńskim pensjonacie, gdzie mieszkała Victoria. "Tyle mam tu z Edwarda co nic! - myślała. - Równie dobrze mogłabym siedzieć w Anglii".

Wkrótce okazało się, że nie jest jednak zupełnie tak, jak sobie myślała Victoria.

Któregoś dnia Edward pojawił się u niej z jakimś rękopisem i powiedział:

- Doktor Rathbone prosi, żeby to natychmiast przepisać. Zwróć szczególną uwagę, Victorio, na drugą stronę, jest tam dużo trudnych nazw arabskich.

Z westchnieniem wsunęła papier w maszynę i zaczęła przepisywać, jak to ona, niecierpliwie. Doktor Rathbone miał dość czytelny charakter pisma i Victoria mogła sobie nawet pogratulować, że robiła mniej błędów niż zwykle. Odłożyła na bok pierwszą stronę i zabrała się za drugą; w tym momencie zrozumiała, o co chodziło Edwardowi. Napisana przez niego maleńka karteczka była przypięta u góry drugiej strony.

"Idź na spacer brzegiem Tygrysu, przejdź Beit Melek Ali, jutro rano około jedenastej".

Następnego dnia był piątek, dzień świąteczny. Nastrój Victorii zdecydowanie się poprawił. Nałoży niefrytowozielony sweter. Najwyższa pora umyć głowę. W jej pensjonacie błąd z tym trudności - jeden z uroków tamtejszego życia. "Najwyższa pora" - mruknęła pod nosem.

- Mówiłaś coś - spytała Catherine, unosząc głowę znad sterty listów, piętrzącej się na sąsiednim stoliku, i spoglądając na nią spod oka.

Victoria błyskawicznie zgłotowała rękę karteczkę Edwarda i powiedziała niedbale:

- Powinna umyć głowę. Wszystkie zakłady fryzjerskie są tak brudne, zupełnie nie wiem, gdzie pójść.

- Tak, są brudne i na dodatek drogie. Ale znam dziewczynę, która bardzo porządnie myje włosy i ma czyste ręczniki. Jak chcesz, to cię zaprowadzę.

- Bardzo ci dziękuję, Catherine.

- Pójdziemy jutro, mamy wolne.

- Jutro nie mogę - powiedziała prędko Victoria.

- Dlaczego?

Victoria poczuła na sobie podejrzliwe spojrzenie i z miejsca wróciła jej zwykła antypatia do Catherine.

- Idę na spacer, muszę złapać trochę powietrza. Człowiek czuje się tutaj jak w klatce.

- Gdzie tu można spacerować? W Bagdadzie to niemożliwe.

- Poradzę sobie.

- Lepiej iść do kina. Jest też ciekawy odczyt.

- Nie, chcę być na powietrzu, w Anglii dużo chodzimy na spacer.

- Wydaje ci się, że możesz zadzierać nosa, bo jesteś Angielką. A wiesz, co to znaczy być Angielką? Tyle co nic. My tutaj plujemy na Anglików.

- Spróbuj tylko pluć na mnie, a przekonasz się, co cię czeka - pogroziła Victoria, mając kolejny dowód na to, jak łatwo wybuchają niesnaski w Gałazce Oliwnej.

- Ciekawa jestem, co zrobisz.

- Spróbuj, to zobaczysz.

- Dlaczego czytasz Karola Marksa? Nic z tego nie możesz zrozumieć. Jesteś za głupia. Myślisz, że kiedykolwiek przyjmą cię do partii komunistycznej? Nie masz w ogóle żadnego przygotowania politycznego.

- A dlaczego miałabym nie czytać? To jest przecież dla takich ludzi jak ja, ludzi pracy.

- Nie jesteś człowiekiem pracy. Jesteś burżujką. Nawet porządnie pisać na maszynie nie potrafisz. Zobacz, ile tu błędów.

- Najmądrzejsi ludzie robią błędy ortograficzne - powiedziała z godnością Victoria. - Jak mogę pracować, kiedy cały czas gadasz?

Wystukała z zawrotną szybkością jedną linijkę, po czym stwierdziła z przykrością, że niechcący nacisnęła klawisz podnośnika: miała przed sobą całą linijkę wykrzykników, cyfr i nawiasów. Wyjęła papier z maszyny, wsadziła nowy, przyłożyła się do pracy i ze skończoną robotą stawiała się u doktora Rathbone'a.

Rathbone przeglądał maszynopis, mrużąc cicho pod nosem:

- Sziraz jest w Iranie, a nie w Iraku. Irak zresztą pisze się na końcu przez "k", a Teheran przez "h". No cóż, dziękuję pani, Victorio.

Kiedy wychodziła z pokoju, zawołał ją z powrotem.

- Niech mi pani powie, czy jest pani zadowolona?

- Tak, bardzo.

Odpowiedziało jej przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu spod krzaczastych brwi. Poczowała się nieswojo.

- Niewiele pani płacimy.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - Lubię tę pracę.

- Naprawdę?

- Tak - zapewniła Victoria. I dodała: - Człowiek ma poczucie, że robi coś pożytecznego.

Jej jasne oczy wytrzymały ciemne, przenikliwe spojrzenie doktora Rathbone'a.

- I starcza pani na życie?

- Tak, znalazłam niezłe miejsce, całkiem tanie, mieszkam razem z Armenkami. Jakoś sobie radzę.

- Brakuje w tej chwili stenotypistek w Bagdadzie - po-

wiedział Rathbone. - Myślę, że mógłbym znaleźć pani lepszą posadę.

- Ale ja nie chcę zmieniać posady.

- Powinna być pani rozsądna.

- Rozsądna? - wyjąkała Victoria.

- Tak, właśnie. Takie małe ostrzeżenie, drobna rada. W jego głosie dźwięczała teraz złowroga nuta. Victoria szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę nie rozumiem.

- Czasami lepiej jest nie mieszać się do spraw, których się nie rozumie.

Teraz już zdecydowanie słyszała groźbę, lecz wciąż patrzyła mu w oczy z tą samą dziecięcą naiwnością.

- Dlaczego przyjechała tu pani do pracy? Z powodu Edwarda?

Zaczerwieniła się ze złości.

- Oczywiście, że nie - powiedziała z oburzeniem. Była wściekła.

Rathbone pokiwał głową.

- Edward musi stanąć na nogi. Upłyną długie lata, zanim będzie pani miała z niego pożytek. Na pani miejscu wybiłbym go sobie z głowy. I, powtarzam, można teraz dostać niezłą posadę, z dobrą pensją, z perspektywami, gdzie będzie pani na swoim miejscu.

Victoria zauważyła, że wciąż bacznie jej się przygląda. Czy to był test? Powiedziała z afektacją i powagą:

- Kiedy, widzi pan, ja się wyżywam w tej pracy.

Wzruszył ramionami, a Victoria, wychodząc z pokoju, wciąż czuła wbity w swoje plecy wzrok.

Po tej rozmowie była zdetonowana. Czy stało się coś, co wzbudziło jego podejrzenia? Czy domyślił się, że Victoria znajduje się tu, by szpiegować działalność Gałazki Oliwnej i odkryć jej tajemnice? Jego głos i sposób bycia trochę ją przerażyły. Sugestia, że przyjechała tu dla Edwarda, rozłożyła ją w pierwszej chwili. Dlatego żywo zaprzeczyła. Ale teraz uświadomiła sobie, że byłoby sto razy lepiej, by doktor Rathbone sądził, że Edward jest powodem jej obecności w Gałazce Oliwnej, niż gdyby podejrzewał, że kryje się za tym Dakin. W każdym razie, dzięki temu idiotycznemu rumieńcowi, Rathbone prawdopodobnie uwierzył, że chodzi o Edwarda - a więc wszystko może obracało się na dobre. Wystraszona Victoria zasypiała tej nocy ze ściśniętym sercem.

Rozdział siedemnasty

I

Nazajutrz rano Victoria znalazła jakąś prostą wymówkę, by wymknąć się z domu. Dowiedziała się, że Beit Melek Ali to duży dom stojący nad samym zachodnim brzegiem rzeki.

Do tej pory nie miała zbyt wiele czasu na zwiedzanie miasta. Wąska uliczka, która wyprowadziła ją nad Tygrys, była przyjemnym zaskoczeniem. Skreśliła w prawo i szła wolno wysoką skarpą. Miejscami było wręcz niebezpiecznie - brzeg podmyty, a uszkodzenia nienaprawione. Przed jednym z domów znajdowały się schodki, jeden krok za daleko i można skąpać się w wodzie. Patrząc w nurt rzeki, Victoria ostrożnie posuwała się do przodu.

Po jakimś czasie wyszła na szeroką brukowaną drogę. Domy po prawej stronie wyróżniały się miłą dyskrecją i nic nie mówiły o swych mieszkańcach. Gdzieś tam bramy wjazdowe były otwarte, Victoria zerknęła do środka i nie mogła się nadziwić kontrastom. Raz zobaczyła dziedziniec z fontanną, rozstawionymi pufami i leżakami, na nim wysokie palmy i ogród wyglądający jak tło sceny teatralnej.

Następny, wyglądający całkiem podobnie dom wychodził na śmietnisko i ciemne zaułki, gdzie bawiły się umorusane,

obdarte dzieciaki.

Dotarła do gęstych gajów palmowych. Po lewej stronie minęła krzywe prowadzące nad rzekę schodki. W prymitywnej łodzi wiosłowej siedział arabski przewoźnik, krzyżąc i gestykulując; zapewne proponował jej przewiezienie na drugi brzeg. Victoria pomyślała, że znajduje się chyba na wysokości hotelu Tio, chociaż z takiej odległości trudno było rozróżnić architekturę poszczególnych gmachów i wszystkie hotele wyglądały podobnie. Doszła do palmowej alei, przy której stały dwa wysokie domy z balkonami. Dalej, tuż przy rzece, spostrzegła wielki budynek z ogrodem i balustradą. To na pewno Beit Melek Ali, czyli Dom Króla Ali.

Minąwszy go, po paru minutach, znalazła się w biedniejszej okolicy. Rzekę zasłaniały plantacje palm ogrodzone zardzewiałym drutem kolczastym. Po prawej jakieś budy, wałące się domy o chropowatej suszonej w słońcu cegle, zwanej adobe. Dalej dzieci w śmietniku, chmary much nad stosami odpadków. Do rzeki wiodła droga, na której stał samochód, starodawny gruchot. Przy samochodzie ujrzała Edwarda.

- A, jesteś - powiedział Edward. - Wsiadaj.

- Dokąd jedziemy? - spytała Victoria, wskakując ręczo do gruchota. Edward odwrócił się zza kierownicy, spojrzął na nią, jakby płatał figla, i uśmiechnął się promiennie.

- Jedziemy do Babilonu - odparł. - Najwyższy czas na mały wypad we dwoje.

Samochód wystartował, szarpiąc straszliwie i podskakując gwałtownie na kocich łbach.

- Do Babilonu? - zawołała Victoria. - To brzmi cudownie. Naprawdę do Babilonu?

Samochód skręcił w lewo, jechali teraz dobrze wybrukowaną szosą imponującej szerokości.

- Tak, ale możesz się rozczarować. Babilon nie jest zupełnie tym, czym kiedyś.

Victoria zanuciła:

Ile mil do Babilonu?

Siedemdziesiąt w jedną stronę.

A czy zajdę tam przy świecy?

Tam i назад, wielkie rzeczy,

Mój gości panie.

- Często to śpiewałam, kiedy byłam mała. Zawsze fascynowały mnie te słowa. A teraz naprawdę jedziemy do Babilonu!

- I wrócimy przy świecy. W każdym razie tak sądzę. W tym kraju nigdy nic nie wiadomo.

- Ten samochód ma ochotę lada moment się rozlecieć.

- I pewno się rozleci. Wszystko jest w nim na słowo honoru. Ci Irakijczycy doskonale potrafią go powiązać sznurkami, mówią inszallah, i już jedzie.

- Zawsze to inszallah.

- Najłatwiej zrzucić odpowiedzialność na Wszechmogącego.

- Chyba nie najlepsza ta droga? - wykrztusiła Victoria na kolejnym wyboju. Dobra, szeroka nawierzchnia okazała się tylko złudną obietnicą. Szosa była co prawda wciąż szeroka, ale pełna nierówności i kolein.

- Będzie coraz gorzej - krzyknął Edward.

Pełni szczęścia podskakiwali na wybojach. Tumany kurzu unosiły się wokół nich. Wielkie ciężarówki załadowane Arabami pędziły środkiem jezdni, głuche na sygnał klaksonu.

Przejeżdżali obok murowanych ogrodzeń, mijali grupy kobiet, dzieci i osłów, dla Victorii wszystko było nowe i stanowiło część czarodziejskiej przejażdżki do Babilonu u boku Edwarda.

Poobijani i wytrzęsieni za wszystkie czasy, po paru godzinach jazdy dotarli do Babilonu. Zikkurat, rumowisko bez żadnego wyrazu, rozczarowało w pierwszej chwili Victorię, która spodziewała się kolumn i łuków, jak na pocztówkach z Grecji.

Kiedy jednak gramolili się za przewodnikiem przez kurhany z adobe, rozczarowanie stopniowo zanikało. Victoria jednym uchem słuchała długich wyjaśnień, a idąc Droga Procesyjną od bramy Isztar, wśród płaskorzeźb przedstawiających wyobrażenia zwierząt, przejęła się nagle całą chwałą przeszłości i zapragnęła dowiedzieć się czegoś o tym wielkim, dumnym mieście, które teraz leżało u jej stóp martwe i opuszczone. Spełniwszy obowiązki wobec starożytności, usiedli obok Lwicy Babilońskiej, by zjeść lunch, który zabrał ze sobą Edward. Przewodnik uśmiechnął się wyrozumiale, powiedział, że koniecznie muszą zwiedzić muzeum, po czym zostawił ich samych.

- Naprawdę musimy iść do muzeum? - spytała Victoria w rozmarzeniu. - Rzeczy skatalogowane, poszufladkowane przestają być prawdziwe. Raz byłam w British Museum. - To było okropne, strasznie rozboleły mnie nogi.

- Przeszłość jest zawsze nudna - powiedział Edward. - O wiele ważniejsza jest przyszłość.

- To nie jest nudne - powiedziała Victoria, wymachując kanapką w stronę zikkuratu. - Daje poczucie, bo ja wiem, wielkości. Pamiętasz ten wiersz: "Kiedy byłeś królem Babilonu, a ja chrześcijańską niewolnicą"? Może to my, ty i ja.

- Nie było żadnych królów w Babilonie w czasach, kiedy żyli chrześcijanie - rzekł Edward. - O ile pamiętam, Babilon przestał istnieć jakieś pięćset-sześćset lat przed narodzeniem Chrystusa. Archeolodzy mają u nas na ten temat

regularne odczyty, ale ja nigdy nie mogę zapamiętać dat starszych od greckich i rzymskich.

- Chciałbyś być królem Babilonu, Edwardzie? Edward głęboko wciągnął powietrze.

- Tak. Chciałbym.

- Więc powiedzmy, że byłeś. A teraz masz nowe wcielenie.

- Wtedy wiadano, jak być królem! - powiedział Edward.

- Dlatego potrafiono rządzić światem, kształtować go.

- Myślę, że nie za bardzo chciałabym być niewolnicą - zastanawiała się Victoria. - Ani chrześcijańską, ani żadną inną.

- Miał rację Milton - powiedział Edward i zacytował: - "bowiem lepiej być władcą w piekle niż sługą w niebiosach".
Zawsze podziwiałem Szatana u Milтона.

- Nigdy dobrze nie rozumiałam Milтона - przyznała pokornie Victoria. - Ale poszłam zobaczyć jego Comus w Sander's Wells, było cudownie, a Margot Fonteyn tańczyła jak anioł.

- Gdybyś była niewolnicą, Victorio - powiedział Edward

- wyzwoliłbym cię i zabrał do mojego haremu, tam - wskazał ręką na szczytki miasta. Victorii błysnęło oko.

- Skoro mowa o haremie... - zaczęła.

- Jak ci się układa z Catherine? - spytał szybko Edward.

- Skąd wiesz, że pomyślałam o Catherine?

- Pomyślałaś, nie zaprzeczysz? Posłuchaj, Viccy, naprawdę zależy mi na tym, żebyś się zaprzyjaźniła z Catherine.

- Nie mów do mnie Viccy.

- Dobrze, Victorio z Charing Cross. Chcę, żebyś się zaprzyjaźniła z Catherine.

- Mężczyźni to głupcy. Zawsze chcą, żeby ich dziewczyny się polubiły.

Edward, który do tej pory leżał z rękoma pod głową, wstał gwałtownie.

- Wszystko ci się pokręciło, Victorio z Charing Cross. A twoje aluzje do haremu są po prostu głupie...

- Wcale nie. Jak te wszystkie dziewczyny się na ciebie gapią, jak do ciebie wdychają! Do szału mnie to doprowadza!

- To cudownie - powiedział Edward. - Uwielbiam, jak

jesteś wściekła. Ale wracając do Catherine. Chcę, żebyś się do niej zbliżyła z prostego powodu: jestem pewien, że jej osoba najpewniej zaprowadzi nas na trop. Ona coś wie.

- Naprawdę tak myślisz?

- Pamiętasz chyba, co słyszałem od niej o Annie Scheele.

- Rzeczywiście.

- A jak się miewa Karol Marks? Są jakieś reakcje?

- Nikt mi nie wskazał właściwej drogi i nie wprowadził do owczarni. A Catherine powiedziała mi wczoraj, że partia mnie nie przyjmie, bo nie mam odpowiedniego politycznego przygotowania. Żebym ja musiała czytać to wstrętne nudziarstwo, naprawdę, Edwardzie, to nie na moją głowę.

- A więc jesteś nieświadomiona politycznie? - zaśmiał się Edward. - Biedna Victoria z Charing Cross. Catherine może sobie szaleć na punkcie inteligencji, siły i głębi, świadomości politycznej i Bóg wie czego jeszcze, a ja i tak najbardziej lubię pewną małą stenotypistkę z Londynu, która nie potrafi porządnie napisać trzysylabowego wyrazu.

Victoria zmarszczyła brwi. Słowa Edwarda przypominały jej dziwną rozmowę, którą odbyła z Rathbone'em. Powtórzyła ją Edwardowi. Przygnębiło go to bardziej, niż mogła się spodziewać.

- To poważna sprawa, Victorio. Bardzo poważna. Opowiedz mi wszystko po kolei.

Victoria starała się dokładnie przytoczyć słowa Rathbone'a.

- Ale nie rozumiem, dlaczego to cię tak niepokoi.

- Co? - Edward wydawał się roztargniony. - Nie rozumiesz... Ależ, kochanie, nie zdajesz chyba sobie sprawy z tego, że cię rozgryźli. Ostrzegają cię. Nie podoba mi się to, Victorio, wcale mi się nie podoba.

Przerwał na chwilę, po czym podjął z powagą:

- Komunisci są bezwzględni. Nie cofną się przed niczym, to część ich credo. Nie chcę, żebyś dostała w głowę, a twoje ciało wrzucono do Tygrysu, kochanie.

Jakie to dziwne, myślała Victoria, siedzieć wśród ruin Babilonu i zastanawiać się, czy niezadługo człowiek dostanie w głowę, a jego ciało wrzucą do rzeki. Przymknęła oczy...

"Zaraz się obudzę w Londynie... Miałam wspaniały sen o groźnym Babilonie, kompletny melodramat". Zamknęła całkiem oczy. "A może jestem w Londynie... zaraz zadzwoni budzik, pójdę do biura pana Greenholtza i nie będzie żadnego Edwarda..."

Na tę myśl szybko otworzyła oczy, żeby się upewnić, czy Edward rzeczywiście tutaj jest (o co to ja go miałam zapytać w Basrze, kiedy nas zawołano, a potem zapomniałam?). A jednak to nie był sen. Ostry blask słońca, zupełnie nie jak w Londynie, ruiny Babilonu niewyraźne i migocące na tle ciemnych zarysów palm. Obok, zwrócony lekko do niej plecami, siedział Edward. Jak cudownie spływały mu na dół włosy, i ten mały loczek na szyi, i co to za szyja, piękna, opalona na brązowo, bez żadnej plamki, mężczyźni mają często na szyi krosty, jakieś pryszcze, tam gdzie obciera ich

kołnierzyk, na przykład szyja sir Ruperta z tym nabrzmiewającym czyrakiem.

I nagle Victoria poderwała się na równe nogi, wydając zdławiony okrzyk. Jej rojenia na jawie należały już do przeszłości. Była skrajnie podniecona.

Edward spojrzał na nią pytająco.

- Co się stało Victorio z Charing Cross?

- Przypomniałam sobie - powiedziała jednym tchem - o sir Rupercie Croftonie Lee.

Edward wciąż patrzył na nią pytająco, nic nie rozumiejąc, więc Victoria zaczęła gorączkowo tłumaczyć, prawdę mówiąc, dość mętnie.

- To był czyrak - mówiła. - Czyrak na szyi.

- Czyrak na szyi? - spytał Edward zaintrygowany.

- Tak, to było w samolocie. Siedział przede mną i zsunął mu się kaptur, i wtedy zobaczyłam... ten czyrak.

- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Wielu ludzi ma czyraki, to przykre, ale nic takiego.

- Oczywiście, Edwardzie. Ale chodzi o to, że wtedy na tarasie nie miał.

- Czego nie miał?

- Nie miał czyraka. Och, Edwardzie, postaraj się zrozumieć. W samolocie miał czyrak na szyi, a w Tio nie miał czyraka. Skóra na szyi była gładka, bez skazy, jak twoja teraz.

- Więc pewno już się go pozbył.

- Jak mógł się go pozbyć, Edwardzie? W jeden dzień? Kiedy czyrak właśnie dojrzewał? Nie mógł zniknąć, tak bez śladu. Sam widzisz, co to znaczy, tak, nawet na pewno: mężczyzna w Tio nie był sir Rupertem.

I pokiwała z przekonaniem głową. Edward patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Zwariowałaś. Jak mógł nie być sir Rupertem? Przecież cała reszta się zgadza.

- Tylko widzisz, ja nigdy mu się dokładnie nie przyjrzałam. Zapamiętałam tylko... eee... można to nazwać ogólnym wrażeniem. Kapelusz i peleryna, i ten wygląd pirata. Takiego człowieka bardzo łatwo zagrać.

- Ale w ambasadzie...

- Przecież nie mieszkał w ambasadzie. Przyjechał do Tio. Na lotnisku wyszedł po niego jakiś podrzędny sekretarz. Ambasador jest w Anglii. Zresztą sir Rupert ciągle podróżował i rzadko bywał w kraju.

- Dlaczego jednak... ?

- Oczywiście za wszystkim stoi Carmichael. Carmichael miał przyjechać do Bagdadu i spotkać się z sir Rupertem, żeby przekazać mu swoje odkrycia. Tylko nigdy przedtem się nie widzieli. Więc Carmichael nie mógł poznać, że to nie ten człowiek, nie miał się na baczności. To jasne dla mnie: Rupert Crofton Lee (ten nieprawdziwy) zabił Carmichaela. Och, Edwardzie, wszystko się zazębia.

- Nie wierzę w to, jedna wielka bzdura. Nie zapominaj, że sir Ruperta zabito później w Kairze.

- Tak, to się stało w Kairze. Teraz rozumiem. Co za makabra, Edwardzie. Widziałam to na własne oczy.

- Na własne oczy? Victorio, czyś ty oszalała?

- Ani trochę. Posłuchaj, Edwardzie. Ktoś zapukał do mojego pokoju w hotelu w Kairze, w każdym razie wydawało mi się, że do mnie, ale potem wyjrzałam i okazało się, że pukano do następnych drzwi w korytarzu, do pokoju sir Ruperta Croftona Lee. Przyszła jedna z tych babek z obsługi samolotu czy, jeśli wolisz, stewardes. Poprosiła go, żeby poszedł do biura BOAC, które znajdowało się nieco dalej w korytarzu. Wyszłam z pokoju chwilę potem. Przechodziłam koło drzwi z napisem BOAC i on z nich wyszedł. Pomyślałam sobie wtedy, że coś się stało, bo szedł zupełnie innym krokiem. Rozumiesz, Edwardzie? To była pułapka, jego sobowtór już tam czekał i prawdziwy sir Rupert od razu dostał w głowę, a wyszedł ten drugi, który go potem odgrywał. Przypuszczam, że sir Ruperta przetrzymano gdzieś w Kairze, może w hotelu, nieprzytomnego, pod narkozą, a zabito go wtedy, kiedy ten podstawiony sir Rupert wrócił do Kairu.

- Wspaniała historyjka - powiedział Edward. - Ale naprawdę, Victorio, to wszystko urojenia. Nie masz żadnych dowodów.

- A czyrak?

- Do diabła z czyrakiem!

- I jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Napis BOAC na drzwiach. Później go nie było. Pamiętam, jak się zdziwiłam, że biuro BOAC znajduje się po drugiej stronie głównego hallu. To jedno. Ale nie koniec na tym. Ta stewardesa, która pukała do drzwi. Widziałam ją potem, tutaj w Bagdadzie, i co więcej, wiesz gdzie? W Gałazce Oliwnej. Pierwszego dnia, kiedy tam byłam. Przyszła i rozmawiała z Catherine. Wydawało mi się wtedy, że już gdzieś ją spotkałam.

Po chwili milczenia dodała:

- Musisz przyznać, Edwardzie, że nie są to moje fantazje.

- Wszystko sprowadza się do Gałazki Oliwnej - powiedział po chwili Edward - i do Catherine. Żarty na bok, Victorio, musisz jakoś zbliżyć się z Catherine. Schlebaj jej, praw komplementy, rzucaj bolszewickie slogany. Zaprzyjajnij się z

nią, dowiedz się, jakich ma przyjaciół, gdzie chodzi, z kim kontaktuje się poza Gałązką Oliwną.

- To nie będzie łatwe - powiedziała Victoria. - Ale spróbuję. A pan Dakin? Czy powinnam mu powiedzieć?

- Tak, oczywiście. Tylko zaczekaj jeszcze trochę. Może będziemy mieli coś więcej. Któregoś wieczoru muszę pójść z Catherine do Le Select na kabaret - westchnął Edward.

Tym razem nie była zazdrosna. Edward mówił z ponurą determinacją, która wykluczała z góry jakąkolwiek przyjemność, po prostu - zadanie do wykonania.

II

Victoria była tak rada ze swych odkryć, że bez najmniejszego trudu przywitała się na drugi dzień z Catherine ciepło i serdecznie. Bardzo jest wdzięczna, mówiła, że Catherine powiedziała jej o tej dziewczynie, co myje włosy. Victoria musiała koniecznie umyć głowę. Co do tego nie było wątpliwości. Po powrocie z Babilonu włosy Victorii, gęste od piasku, nabrały koloru rdzy.

- Rzeczywiście, włosy masz okropne - powiedziała Catherine, mierząc Victorię złośliwym okiem. - Wychodziłaś wczoraj po południu na tę straszliwą burzę piaskową?

- Wynajęłam samochód i pojechałam do Babilonu - odparła Victoria. - Bardzo to było ciekawe, ale w powrotnej drodze zerwała się burza. Myślałam, że się uduszę i oślepnę.

- Babilon jest bardzo interesujący - powiedziała Catherine. - Tylko tam trzeba jechać z kimś, kto się zna i potrafi porządnie o wszystkim opowiedzieć. Dziś po południu pójdziemy do tej dziewczyny - Armenki. Umyje ci włosy gęstym szamponem, taki jest najlepszy.

- Jak ty to robisz, że zawsze masz takie piękne włosy? - spytała Victoria, udając podziw i patrząc na sztywne i tłuste, przypominające kiełbaski, loki Catherine.

Skwaszona zazwyczaj twarz Catherine rozjaśniła się uśmiechem i Victoria przyznała w duchu, że Edward się nie myli: komplementy robią swoje.

Tego popołudnia, kiedy wychodziły razem z Gałązki Oliwnej, były w jak najlepszej komitywie. Catherine kręciła się po zaułkach i uliczkach, a w pewnym momencie zapukała do niepokazanych drzwi, które niczym nie zdradzały, że po drugiej stronie mieści się zakład fryzjerski. Po chwili weszła skromna, ale energicznie wyglądająca dziewczyna, mówiąca staranną, wolną angielszczyzną. Zaprowadziła Victorię do nieskazitelnie czystej umywalni ze lśniącymi kranami i rzędami najrozmaitszych buteleczek z płynami do włosów. Catherine wyszła, a Victoria powierzyła swe włosy zręcznym rękóm Miss Ankoumian. Raz, dwa i cała głowa Victorii tonęła w gęstej pianie.

- Proszę się pochylić...

Victoria pochyliła się nad miednicą. Włosy ociekały jej wodą, która bulgocząc spływała do rury.

Nagle poczuła mdlący słodkawy zapach kojarzący się ze szpitalem. Nos i usta zatkało jej szczelnie mokrym nasączonym tamponem. Zaczęła się bronić, widać i kręcić, lecz stalowy uścisk nie pozwalał jej się uwolnić. Dusila się, głowa zaczęła jej opadać, w uszach huczało...

A potem noc, głęboka, ciemna noc.

Rozdział osiemnasty

Kiedy Victoria odzyskała świadomość, miała poczucie, że upłynął szmat czasu. W głowie kłębiła jej się mieszanina wspomnień: wstrząsy samochodu... arabski szwargot, jakieś kłótnie... oślepiający błysk lampy w oczach... straszliwy atak nudności. Przypomniała też sobie, że leżała na łóżku, ktoś uniósł jej rękę: przerażające ostre ukłucie igłą i znowu strzępki snów, ciemność, rosnące uczucie zagrożenia...

Teraz wreszcie była sobą, Victorią Jones z krwi i kości, tyle że niezbyt wyraźną. Victorii Jones coś się przydarzyło: dawno temu... całe miesiące... może lata... a może kilka dni...

Babilon... słońce... kurz... włosy... Catherine. Oczywiście, Catherine, uśmiechająca się Catherine z chytrymi oczami i lokami przypominającymi kiełbaski. Catherine zaprowadziła ją do dziewczyny, która myje włosy, a potem, właśnie, co się stało potem? Ten koszmarny zapach - wciąż go czuje - taki mdlący, tak, jasne, to chloroform. Uspili ją chloroformem i wywieźli, dokąd?

Ostrożnie spróbowała usiąść. Chyba leżała na łóżku, bardzo twardym, głowa ją bolała, czuła się jak pijana i była senna, przeraźliwie senna... ten zastrzyk... podskórny zastrzyk... dali jej coś oszłamiającego... wciąż była na pół przytomna. Ale nie zabili jej. (Dlaczego?) Bogu dzięki! Najlepiej zasnąć - pomyślała sennie. I natychmiast zamknęły jej się oczy.

Kiedy obudziła się po raz drugi, miała już dużo jaśniejszą głowę. Był biały dzień i mogła się rozejrzeć. Znajdowała się w niewielkim, bardzo wysokim pokoju, pomalowanym na przygnębiający szaroniebieski kolor. Podłoga była klepiskiem. Na całe umeblowanie składało się łóżko, na którym leżała Victoria pod brudnym pledem, chwiejący się stolik z porysowaną emalowaną miednicą, a pod nim cynowe wiadro. Było też okno z zewnętrznym

okrątowaniem z drewna. Victoria bardzo ostrożnie wstała z łóżka - czuła się dziwnie, bolała ją głowa - i podeszła do okna. Przez kraty widać było całkiem wyraźnie, ujrzała ogród, a za nim palmy. Ogród prezentował się zupełnie nieźle według standardów wschodnich, choć na pewno przedstawiałby wiele do życzenia w oczach angielskiego właściciela domku pod miastem. Pełno tam było jaskrawopomarańczowych nagietków, rosły zakurzone drzewa eukaliptusowe i kępy tamaryszków.

Dziecko z niebieskim tatuażem na twarzy i obrączkami na nogach wykonywało jakieś sztuki z piłką i zawodziło jęklonie wysokim nosowym głosem, jakby ktoś w oddali grał na kobzie.

Victoria skierowała teraz wzrok na drzwi, duże i masywne. Bez większej nadziei podeszła i spróbowała je otworzyć. Były zamknięte. Wróciła i usiadła na skraju łóżka.

Gdzie się znajdowała? Na pewno nie w Bagdadzie. I co teraz robi?

Po chwili przyszło jej do głowy, że ostatnie pytanie nie ma sensu. Bardziej doręczne byłoby się zapytać, co z nią zrobią. Z niemiłym uczuciem klucza w dołku przypomniała sobie radę Dakina, żeby wszystko od razu wyśpiewać. A może już z niej wyciągnęli, co trzeba, kiedy była nieprzytomna?

Najważniejsze - Victoria uparcie podnosiła się na duchu - że żyje. Gdyby tylko udało się jej utrzymać ten stan rzeczy do czasu, jak Edward ją znajdzie. Co zrobi Edward, kiedy zobaczy, że zniknęła? Pójdzie do Dakina? Będzie działał na własną rękę? Postraszy Catherine i zmusi ją do powiedzenia prawdy? A może w ogóle nie będzie jej podejrzewał? Im usilniej Victoria starała się pokrzepić, wyobrażając sobie Edwarda w akcji, tym bardziej jego obraz zamazywał się, aż wreszcie stał się całkowicie abstrakcyjny. Na ile można liczyć na jego inteligencję? To było podstawowe pytanie. Edward był cudowny, czarujący. Ale czy miał głowę na karku? Bo nie da się ukryć, że przy jej obecnych kłopotach bez inteligencji ani rusz.

Pan Dakin, ten wiedziałby, co zrobić. Tylko czy będzie mu się chciało? Może po prostu wykreśli jej nazwisko z rejestru, postawi przy nim krzyżyk i napisze obok swym starannym pismem: śp. W końcu, dla Dakina była kimś anonimowym. Podjęli wspólnie próbę, szczęście im nie dopisało, koniec, kropka, nie ma rady. Nie, nie widziała Dakina w roli wybawcy. Zresztą, ostrzegał ją.

Doktor Rathbone też ją ostrzegał. (Ostrzegał czy groził?) A ponieważ nie przyjęła jego rady, groźba szybko się spełniła.

"Ale żyję, żyję" - powtarzała Victoria z mocnym postanowieniem, by patrzeć na jaśniejsze strony swej sytuacji.

Na zewnątrz rozległy się kroki i dał się słyszeć zgrzyt klucza obracającego się w zardzewiałym zamku. Drzwi skrzypnęły w zawiasach i otworzyły się na oścież. Na progu stał Arab. Niósł starą blaszaną tacę z jedzeniem.

Był wyraźnie w dobrym humorze, uśmiechał się szeroko, mówił coś po arabsku, w końcu postawił tacę, otworzył usta, pokazał palcem na gardło i wyszedł zamykając za sobą drzwi na klucz.

Victoria spojrzała z ciekawością na tacę. Była tam duża miska ryżu, coś, co przypominało zwinięte liście kapusty, i duża skiba arabskiego chleba. A także dzbanek z wodą i szklanka.

Najpierw wypila pełną szklankę wody, potem zabrała się do ryżu, chleba i kapusty nadziewanej siekanym mięsem o dziwnym smaku. Kiedy zjadła wszystko, co było na tacy, poczuła się znacznie lepiej.

Starała się zebrać myśli. Została uśpiona chloroformem i porwana. Kiedy? Miała mgliste pojęcie. Z niejasnych wspomnień z okresów między snem a jawą wydedukowała, że musiało to być kilka dni temu. Wywieziono ją z Bagdadu. Dokąd? Nie było sposobu, by się dowiedzieć. Nie знаła arabskiego, nie mogła nawet zapytać. Nie pamiętała żadnego miejsca, nazwiska, daty.

Nastąpiła kilkugodzinna dotkliwa beczyność.

Wieczorem pojawił się jej strażnik, znowu z pełną tacą. Tym razem towarzyszyły mu dwie kobiety, ubrane na zrudziały czarny kolor, z zakrytymi twarzami. Nie weszły do pokoju, stały za progiem. Jedna z nich trzymała dziecko na ręku. Stały i chichotały. Victoria czuła, jak taksują ją wzrokiem spoza gęstej zasłony. Były podniecone, bawiło je, że trzymają pod kluczem Europejkę.

Victoria zwracała się do nich po angielsku i po francusku, ale chichot był jedyną odpowiedzią. "Dziwne uczucie - myślała - kiedy nie można porozumieć się z osobą tej samej płci". Powoli i z trudnością wyartykułowała jedno z niewielu znanych jej po arabsku zdań:

- El hamdu lillah.

W nagrodę zalał ją potok arabskiej mowy. Zachwycone kobiety kiwały głowami z ożywieniem. Victoria zrobiła krok w ich kierunku, ale natychmiast służący Arab, czy jak go tam określić, zagroził jej drogę. Popchnął obie kobiety, sam wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Wcześniej kilkakrotnie powtórzył jedno słowo: Bukra... bukra...

Victoria znała to słowo. Oznaczało "jutro".

Usiadła na łóżku, musiała wszystko przemyśleć od początku do końca. Jutro? Jutro ktoś przyjeżdża albo coś się stanie. Jutro skończy się więzienie (albo i nie), a nawet jeśli się skończy, jej już może nie być. Słowem, Victorii nie zależało zbyt wiele na tym, by sprawdzić, co będzie jutro. Instynktownie czuła, że znacznie lepiej będzie, jeśli do jutra znajdzie się w zupełnie innym miejscu.

Czy było to jednak możliwe? Po raz pierwszy ten problem budził w niej wątpliwości. Podeszła do drzwi i obejrzała je dokładnie. Nic się nie dało tu zrobić. Nie był to zamek, który można wyważyć za pomocą szpilki do włosów, zresztą Victoria wcale nie była pewna, czy w ogóle potrafiłaby wyważyć jakikolwiek zamek szpilką do włosów. Pozostawało okno. Okno, zdaniem Victorii, budziło większe nadzieje. Drewniana krata była już bardzo zmurszała. Powiedzmy nawet, że uda jej się wyłamać część kraty, tak by przecisnąć się na zewnątrz. Nie obędzie się jednak bez hałasu, który ściągnie natychmiast uwagę. Poza tym jej cela znajdowała się na piętrze, musiałaby więc albo zrobić z czegoś linę, albo skakać - ryzykując zwichnięciem nogi lub innym wypadkiem. Bohaterowie w książkach, myślała Victoria, drą pościel na pasy i robią z nich liny. Spojrzała z powątpiewaniem na grubą bawełnianą kapę i podarty koc. Nie nadawały się, to pewne. Czym miałyby pociąć kapę na pasy? Koc zapewne rozdarłaby rękami, ale stan jego zniszczenia budził obawę, że nie wytrzyma ciężaru człowieka.

- Do licha - powiedziała głośno.

Myśl o ucieczce wciągała ją coraz bardziej. Wyglądało na to, że jej strażnikami są ludzie bardzo prości, dla których trzymanie jej pod kluczem załatwiało sprawę do końca. Nie przyjdzie im do głowy, że może próbować zbiec, ponieważ jest więźniem - i to wystarczy. Człowiek, który zrobił jej zastrzyk i przywiózł tutaj, na pewno znajdował się teraz gdzie indziej. On, ona lub oni pojawią się bukra. Pozostawiono ją w jakimś zapadłym kącie pod strażą prostych ludzi, którzy będą wykonywać instrukcje, ale na tym koniec; nie będą wietrzyć podstępów, podejrzewać, że ta młoda Europejka, w lęku o życie, mogłaby rozwinąć niezwykłą inwencję.

"Wydostanę się!" - powiedziała do siebie Victoria.

Podeszła do stolika i zaczęła jeść. Trzeba nabrać sił. Dostała ryż, pomarańcze, kawałki mięsa pływające w jasnopomarańczowym sosie.

Zjadła wszystko i popiła wodą. Kiedy odstawiła dzbanek na miejsce, stolik zachwiał się lekko, i trochę wody pociekło na podłogę. Podłoga w tym miejscu natychmiast zrobiła się mokrą breją. Na widok tej małej kałuży w niezmordowanej główce Victorii Jones powstał pewien plan.

Sęk w tym, czy klucz został w zewnętrznym zamku.

Zbliżał się zachód słońca. Wkrótce zapadnie zmrok. Victoria podeszła do drzwi, uklękła i przyłożyła oko do olbrzymiej dziurki od klucza. W środku było ciemno. Potrzebowała teraz jakiegoś szpikulca, ołówka albo końcówki wiecznego pióra. Szkoda, że zabrano jej torebkę! Marszcząc brwi, rozejrzała się po pokoju. Jedynym sztucem była duża łyżka. W tej chwili na nic jej ta łyżka, chociaż może później się przyda. Przysiadła, żeby się porządnie namyśleć. Po chwili krzyknęła, zdjęła but i ściągnęła wewnętrzną skórzaną wkładkę. Zwinęła ją ściśle w rulonik. Uzyskała w ten sposób odpowiednio sztywne narzędzie. Znowu podeszła do drzwi, kucnęła i gwałtownym ruchem pchnęła wkładkę w dziurkę od klucza. Na szczęście olbrzymi klucz tkwił luźno w zamku. Po kilku minutach wysiłki Victorii zostały uwieńczone sukcesem i klucz wypadł z lekkim brzękiem na ziemię po drugiej stronie drzwi.

"Muszę się teraz pospieszyć - myślała gorączkowo Victoria - za chwilę będzie zupełnie ciemno". Przyniosła dzbanek z wodą i ostrożnie połała podłogę przy drzwiach, jak najbliższej miejsca, gdzie upadł klucz. łyżką i rękami zaczęła wybierać i wyskrobywać błotnistą ziemię. Stopniowo, wciąż podlewając podłogę wodą, udało jej się wyłobić niewielką rynną pod drzwiami. Położyła się i przyłożyła oko do szczeliny, ale niewiele udało jej się zobaczyć. Podwinęła rękawy i wsunęła w szczelinę dłoń i jeszcze kawałek ręki. Macała klepisko i wreszcie koniuszkiem jednego palca dotknęła metalowego przedmiotu. Umieściła już klucz, ale nie mogła wsunąć ręki wystarczająco daleko, by go przyciągnąć. Pracowała dalej: odpięła agrafkę, którą przypadkiem miała przy sobie, zgięła ją w haczyk, wetknęła w kawałek arabskiego chleba i ruszyła na połów na leżąco. Kiedy chciała już krzyknąć z bezsilnej złości, haczyk z agrafki zaczepił o klucz. Mogła teraz przysunąć go blisko. Chwycić palcami i przeciągnąć na swoją stronę przez rozmiękłe klepisko.

Victoria usiadła na piętach pełna podziwu dla własnej pomysłowości. W zabloconej ręce ścisnęła klucz. Wstała i włożyła go do dziurki. Oczekała chwilę i gdy w sąsiedztwie rozległ się zwarty chór psiego ujadania, przekręciła klucz. Drzwi posłusznie ustąpiły, Victoria uchyliła je i ostrożnie wyjrzała przez szparę. Znajdował się tam niewielki pokój z otwartymi drzwiami po drugiej stronie. Victoria obeszła izbę na czubkach palców. Zauważyła spore szczeliny w dachu i w podłodze. Drzwi wychodziły na podest schodów z adobe. Schody prowadziły do ogrodu.

Te spostrzeżenia wystarczyły Victorii, wycofała się więc na palcach do swego miejsca odosobnienia. Było mało prawdopodobne, żeby jeszcze ktoś dziś do niej zawitał. Zamierzała poczekać, aż się zupełnie ściemni i wieś (lub miasto) zapadnie w sen, wtedy wyruszy.

Zauważyła jeszcze jedną rzecz. Podarta, bezkształtna płachta czarnego materiału leżała w kącie przy zewnętrznych drzwiach. Domyśliła się, że to stara aba. Postanowiła ją zabrać, by ukryć pod nią swe europejskie ubranie.

Czas włókł się niemiłosiernie. Victoria nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo trwało to oczekiwanie. Wreszcie zamarły wszelkie odgłosy działalności ludzkiej. Ucichły arabskie piosenki puszczone gdzieś w oddali na gramofonie lub fonografie, zamilkły ochryple głosy, ustało spluwanie, nie słychać było wysokiego, piskliwego śmiechu kobiet ani płaczu dzieci.

Słyszała już tylko dalekie wycie szakali i przerywane szczekanie psów, które trwać będzie - pomyślała - przez całą noc.

- Pora ruszać - powiedziała Victoria i wstała. Po chwili wahania zamknęła od zewnątrz drzwi swej celi, a klucz zostawiła w zamku. Przeszła przez drugą izbę, podniosła zwój czarnego materiału i stanęła na podeście ceglanych schodów. Noc była księżycowa; księżyc stał jeszcze nisko na niebie, lecz dostatecznie oświetlał drogę. Victoria zaczęła skradać się po schodach. Po chwili zatrzymała się cztery stopnie od ziemi. Znajdowała się na poziomie muru z adobe okalającego ogród. Jeżeli zejdzie na sam dół, nie uniknie przejścia obok domu. A wyraźnie słyszała chrapanie. Więc może lepiej iść po murze? Był gruby, nie przedstawiał większego ryzyka.

Zdecydowała się. Ruszyła szybkim krokiem, zachowując jednak ostrożność, do miejsca, gdzie mur skręcał pod kątem prostym, przy ogrodzie palmowym. Natrafiła tu na wyrwę. Pokonała ją, zeskakując i ześlizgując się, a po chwili stała już na ziemi wśród palm. Pobiegła w stronę widocznej z dala dziury w ogrodzeniu gaju palmowego, przez którą wyszła na prymitywną uliczkę, tak wąską, że nie zmieściłby się na niej samochód, w sam raz dla osłów. Uliczka biegła pomiędzy domami z adobe. Victoria popędziła przed siebie ile sił w nogach.

Rozległo się wściekle ujadanie psów. Dwa bure kundły wybiegły z jakiegoś domostwa, warczały i szczyrzyły kły. Podniosła z ziemi garść gruzu, cisnęła nim w ich stronę. Uciekły ze skowytym.

Zwiększyła tempo. Za rogiem znalazła się na głównej ulicy. Wąska, porwana koleinami droga biegła wśród domków niewyraźnych w świetle księżyca. Zza ogrodzeń wyglądały palmy, psy warczały i szczekały. Zacerpnęła tchu i biegła dalej. Psy wciąż ujadły, ale żaden człowiek nie zainteresował się nocnym intruzem.

Wkrótce dotarła do rozległej równiny. Napotkała zamulony strumyk ze zmurszałym garbatym mostkiem. Dalej widać było drogę czy trakt ginący gdzieś hen, na horyzoncie. Znowu biegła, aż wreszcie nie mogła już złapać tchu.

Mieścina została daleko w tyle. Księżyc stał wysoko. Z lewa, z prawa i z przodu rozpościerała się kamienista pustynia, bez roślinności, bez żadnych oznak ludzkiego życia. Płaski na pierwszy rzut oka krajobraz w rzeczywistości był lekko falisty. Victoria nie dostrzegła jakichkolwiek znaków drogowych, nie miała więc pojęcia, dokąd prowadzi trakt. Nie znała się na gwiazdach, nie potrafiła z nich odczytać kierunku. Było coś lekko przerażającego w tej wielkiej, pustej przestrzeni, ale nie było odwrotu. Trzeba iść przed siebie.

Odpoczęła chwilkę, by złapać oddech, upewniła się spoglądając do tyłu, że nikt jej nie ściga, i ruszyła naprzód w tempie trzy i pół mili na godzinę, w nieznaną.

Kiedy nastał wreszcie świt, była wyczerpana i o krok od hysterii, nogi piekły ją z bólu. Po blasku na niebie zorientowała się, że idzie w kierunku południowo-zachodnim. Wiedza ta na niewiele jej się zdała, nie wiedziała przecież, gdzie się znajduje.

Dalej, nieco z boku, ujrzała płaski pagórek, a właściwie małe wzniesienie terenu. Zboczyła z drogi na pagórek i po dość stromym stoku wdrapała się na wierzchołek.

Stąd mogła obserwować całą okolicę. Znowu ogarnęła ją nieokreślona panika. Wokół zupełnie pustkowie... Krajobraz wyglądał pięknie w porannym świetle dnia. Ziemia i horyzont migotały pastelowymi odcieniami, brzoskwiniowymi, kremowymi i różowymi, na które kładły się cienie. Było pięknie, lecz strasznie. "Teraz już wiem - pomyślała Victoria - co to znaczy samotność..."

Ziemię porastała miejscami karłowata trawa, tworząc ciemne łąty, gdzieniegdzie - cierniste krzewy. Poza tym żadnej roślinności, śladu ludzkiego istnienia. Była tylko Victoria Jones.

Ani śladu miasteczka, z którego uciekła. Droga z tyłu ginęła w nieskończonej pustce. Nie do wiary, że przeszła taki kawał piechotą i straciła miasteczkę z oczu. Przez chwilę ogarnęła ją panika i tęsknota - wrócić, być znowu z ludźmi.

Wzięła się jednak w garść. Zaplanowała ucieczkę, zbiegła z więzienia, ale przecież jej kłopoty nie kończyły się tylko dlatego, że od prześladowców dzieliło ją tych kilka mil. Samochód, nawet stary gruchot, upora się szybko z taką odległością. Kiedy tylko odkryją ucieczkę, zaczną jej szukać. A jak tutaj znaleźć jakieś schronienie czy kryjówkę? Zupełnie nie ma gdzie się schować. Spojrzała na podartą czarną abę i postanowiła na wszelki wypadek ją wykorzystać. Zawinęła się w suknię i ukryła twarz. Nie wiedziała, jak wygląda w tym stroju, bo nie mogła się przejrzeć w lusterku. Jeżeli zdejmie te europejskie buty i pończochy i powlecze się dalej boso, może uda się jej uniknąć zdemaskowania. Cnotliwie zasłonięta Arabka, nawet obdarta i biedna, jest nietykalna. Wszelka zaczepka ze strony mężczyzny byłaby najwyższym uchybieniem. Ale czy to przebranie zamydli oczy Europejczykowi szukającemu jej z samochodu? W każdym razie i tak była to jedyna szansa.

Była tak zmęczona, że nie mogła podjąć marszu. Strasznie chciało jej się pić, ale na to nie było rady. Zdecydowała, że najlepiej położyć się na stoku pagórka. W razie czego

usłyszy stąd samochód, a jeżeli położy się na brzuchu w małym parowie na stoku, zorientuje się mniej więcej, kto siedzi w samochodzie.

Może też kryć się, przemieszczając po stoku, tak by nie widziano jej z drogi.

Z drugiej strony odczuwała wielką potrzebę powrotu do cywilizacji, żeby to jednak zrobić, musiała zatrzymać jakiś pojazd wiozący Europejczyków i poprosić o zabranie jej z sobą.

Tylko jak się upewnić, że ludzie w samochodzie są właściwymi Europejczykami?

Zmagając się z tymi ponurymi myślami, Victoria, wyczerpana ciężkim marszem i trudami, niespodziewanie usnęła. Kiedy się obudziła, słońce stało w zenicie. Było jej gorąco, zeszywniała, miała zawroty głowy. Cierpiała katusze z pragnienia. Jęknęła, a kiedy jęk dobywał się z jej spieczonych, obolałych warg, zamarła i zaczęła nasłuchiwać. Doszedł ją słaby, ale łatwo rozpoznawalny odgłos samochodu. Ostrożnie uniosła głowę. Samochód nie nadjeżdżał od strony miasteczka, jechał z przeciwnego kierunku. A więc nie pościg. Na razie był to mały czarny punkcik daleko na horyzoncie. Victoria leżała w swoim ukryciu i obserwowała go. Jakże żałowała, że nie ma lornetki. Samochód zniknął jej na chwilę z oczu w jakimś zagłębieniu, po czym pojawił się niedaleko, na wzniesieniu. Prowadził Arab, a obok niego siedział mężczyzna ubrany po europejsku.

“Teraz - pomyślała Victoria - muszę podjąć decyzję”. Czy miała spróbować? Czy powinna wybiec na drogę i zatrzymać samochód?

Kiedy już, już miała to zrobić, obudziły się w niej wątpliwości. A jeżeli istniała najmniejsza nawet możliwość, że stanie oko w oko z nieprzyjacielem?

Skąd mogła wiedzieć? Trakt był z pewnością rzadko

uczęszczany. Nie pojawił się na nim dotąd żaden pojazd. Nawet ciężarówka. Nawet stado osłów. Samochód mógł jechać do miasteczka...

Co miała zrobić? Stała przed straszliwą decyzją, którą musiała podjąć w mgnieniu oka. Jeśli to nieprzyjaciół, nadchodzi koniec Victorii Jones. Jeśli nie, może to dla niej ostatnia deska ratunku? Gdy znów ruszy przed siebie, albo ją złapią, albo umrze z pragnienia. Co zrobić?

I kiedy tak miotła się między jedną a drugą decyzją, warkot samochodu się zmienił. Pojazd zwolnił, zboczył z drogi i podjechał po kamieniach pod pagórek, na którym przykucnęła Victoria.

Dostrzegli ją! To był pościg!

Ześlizgnęła się w głąb porowu i zaczęła czołgać się po stoku, byle dalej od zbliżającego się niebezpieczeństwa. Samochód zatrzymał się i rozległ się trzask zamykanych drzwiczek.

Potem ktoś powiedział coś po arabsku. I cisza. Nagle w polu widzenia Victorii pojawił się jakiś mężczyzna. Okrążał pagórek w połowie stoku i bacznie wpatrywał się w ziemię. Od czasu do czasu przystawał i coś podnosił. Jeżeli czegoś szukał, to na pewno nie Victorii Jones. Poza tym, był bez wątpienia Anglikiem.

Z okrzykiem ulgi Victoria poderwała się na równe nogi i podbiegła do nieznanego.

- Och, proszę pana - zawołała - tak się cieszę, że pan przyszedł.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Na litość boską... - zaczął. - Jest pani Angielką? Przecież...

Victoria wybuchnęła śmiechem i zrzuciła abę.

- Tak, oczywiście, jestem Angielką - powiedziała. - Czy może mnie pan zawieźć do Bagdadu?

- Nie jadę do Bagdadu. Właśnie stamtąd przyjechałem. Ale co pani tu robi, na Boga, sama, na pustyni?

- Zostałam porwana - powiedziała Victoria jednym tchem. - Poszłam umyć głowę i uspiłi mnie chloroformem. A kiedy się obudziłam, byłam w jakimś arabskim domu, tam, w miasteczku.

Pokazała ręką na horyzont.

-W Mandali?

- Nie wiem, jak się nazywa. W nocy uciekłam. Szłam całą noc, a potem schowałam się za tym pagórkiem, bałam się, że jest pan nieprzyjacielem.

Wybawca Victorii patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Miał około trzydziestu pięciu lat, był blondynem o nieco wyniosłej postawie. Mówił w sposób akademicki i dokładny. Nałożył pincenez i patrzył na nią podejrzliwie. Victoria pomyślała, że nieznanomy nie wierzy jej ani na jotę.

Poczuła się wściekła.

- To święta prawda! - zawołała z oburzeniem. - Od początku do końca.

Nieznanomy dalej patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Ciekawe, bardzo ciekawe - powiedział lodowato.

Victoria wpadła w rozpacz. Dlaczego, ach dlaczego, kłamstwa w jej ustach brzmiały tak wiarygodnie, a szczerą prawdą tak nieprzekonująco? O rzeczywistych wydarzeniach opowiadała bezbarwnie i w sposób budzący wątpliwości.

- A poza tym, jak pan mi nie da pić, to umrę z pragnienia. - A jeżeli mnie pan zostawi i odjedzie, to też umrę z pragnienia.

- To nie do pomyślenia - odparł sztywno nieznanomy. - Nie wyobrażam sobie, żeby Angielka mogła się tak błąkać po pustyni. Mój Boże, pani ma zupełnie spękane wargi... Abdul!

Kierowca wyłonił się zza stoku.

- Sahib?

Anglik powiedział coś po arabsku, kierowca pobiegł do samochodu, a po chwili wrócił z termosem i bakelitowym

kubkiem.

Victoria piła łączywie.

- Ooo! Odetchnęła. - Dużo mi lepiej.

- Jestem Richard Baker - przedstawił się Anglik.

- Victoria Jones - odwzajemniła się. I aby odzyskać stracony grunt, a niedowierzanie zmienić w atencję, dodała: - Pauncefoot Jones. Jadę do wuja, doktora Pauncefoot Jone-sa, na wykopaliska.

- Niewiarygodny zbieg okoliczności - zawołał Baker patrząc na Victorię ze zdumieniem. - Właśnie tam jadę. To zaledwie piętnaście mil stąd. Chyba nie mogła pani znaleźć właściwszego wybawcy.

Zaskoczenie byłoby łagodnym określeniem reakcji Victorii. Zdumienie odebrało jej mowę. Nie mogła wyjąkać słowa. Potulnie, w milczeniu szła za Richardem do samochodu.

- Domyślałam się, że jest pani antropologiem - mówił Richard usuwając bagaże, by zrobić jej miejsce na tylnym siedzeniu. - Słyszałem, że ma pani przyjechać, ale nie sądziłem, że tak wcześnie.

Stał jeszcze chwilę, oglądając rozmaite odłamki, które wyjął z kieszeni. Victoria zrozumiała teraz, że zebrał je na pagórku.

- Wyglądał mi zupełnie na mały tell - powiedział wskazując na wzniesienie. - Ale nie znalazłem nic nadzwyczajnego. Późna ceramika asyryjska, trochę partyjskiej, trochę z okresu kasyckiego. - I dodał z uśmiechem: - Cieszę się, że mimo tylu tarapatów instynkt archeologiczny zawiódł panią na tell.

Victoria otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Kierowca nacisnął sprzęgło, samochód ruszył.

Co mogła powiedzieć? Wkrótce zostanie zdemaskowana, jak tylko dojadą do stacji badawczej. Ale sto razy lepiej zostać zdemaskowaną tam, na miejscu przyznać się do

kłamstw, niż wyznać prawdę Richardowi Bakerowi pośrodku pustyni. W najgorszym razie odeślą ją do Bagdadu.

"Zresztą - myślała zawsze niepoprawna Victoria - może coś mi przyjdzie do głowy, nim dojedziemy na miejsce". Jej ruchliwa wyobraźnia zaczęła pracować. Zanik pamięci? Albo inaczej: podróżowała z dziewczyną, która prosiła ją... nie, będzie jednak musiała wyznać całą prawdę. Woląla zrobić to przed doktorem Pauncefoot Jonesem, choć nic jej o nim nie wiadomo, niż przed Richardem Bakerem, który podejrzliwie podnosił brwi i wyraźnie nie wierzył w jej całkowicie autentyczną historię.

- Nie będziemy przejeżdżać przez Mandali - powiedział Baker, odwracając się do Victorii. - Zboczymy z drogi za jakąś milę. Trudno znaleźć określone miejsce, kiedy nie ma żadnych oznakowań.

Po jakimś czasie powiedział coś do Abdula, samochód ostro zjechał ze szlaku i pomknął prosto przez pustynię. Ponieważ nie było znaków, Richard Baker pokazywał Abdulowi, jak ma jechać: "teraz w prawo, teraz w lewo". Po chwili Richard wydał okrzyk zadowolenia.

- Jedziemy właściwym traktem! - powiedział.

Victoria nie widziała żadnego traktu. W końcu dojrzała jednak niewyraźne ślady opon.

Dojechali teraz do skrzyżowania z zarysowaną wyraźniej drogą. Richard krzyknął i kazał Abdulowi zatrzymać samochód.

- Pokażę pani coś ciekawego - powiedział. - Coś, czego pani, jako nowicjuszka, nigdy nie widziała.

Drogą szło w stronę samochodu dwóch ludzi. Jeden z nich niósł na plecach krótką drewnianą ławeczkę, a drugi - duży drewniany przedmiot wielkości pianina.

Richard pozdrowił ich, a oni po przyjacielsku odpowiedzieli na powitanie. Richard poczęstował ich papierosami, zrobił się miły nastrój jak na spotkaniu towarzyskim.

Richard zwrócił się do Victorii:

- Lubi pani kino? Chce pani zobaczyć seans?

Powiedział coś do mężczyzn, oni uśmiechnęli się radośnie, postawili ławeczkę, pokazali Victorii i Richardowi, że mają usiąść. Następnie umieścili na stojaku okrągłe urządzenie, w którym były dwa otwory na oczy. Victoria przyglądając się aparatowi zawołała:

- Widziałam coś takiego na molo. Pamiętam film: "Co podejrzwał kamerdyner".

Przyłożyła oczy do oszklonych otworów fotoplastikonu, jeden z mężczyzn powoli kręcił korbą czy rączką, a drugi rozpoczął monotonną pieśń.

- Co on mówi? - spytała Victoria. Richard tłumaczył słowa.

- Zbliż się i przygotuj na cuda i czary. Będiesz oglądać cuda przeszłości.

Oczom Victorii ukazał się surowy w kolorach obraz Murzynów zbierających pszenicę.

- Fellah w Ameryce - oznajmił Richard, tłumacząc. A potem:

- Żona wielkiego szacha Zachodu - i ukazała się cesarzowa Eugenia, uśmiechnięta, obracająca w palcach pukiel włosów. I obraz Pałacu Królewskiego w Montenegro i Wystawy Światowej.

Niesamowita, zróżnicowana seria obrazków, niczym ze sobą nie powiązanych, z zaskakującym niekiedy komentarzem.

Książę małżonek, Disraeli, fiordy norweskie, dawni łyżwiarze Szwajcarii - wszystko to składało się na ten dziwny rzut oka w przeszłość.

Prezenter zakończył seans słowami:

- Pokazaliśmy ci wspaniałe zabytki z dalekich stron świata. Niech twoja hojność wynagrodzi oglądane cuda, bo widziałeś rzeczy prawdziwe.

I na tym koniec. Victoria była zachwycona.

- To było naprawdę cudowne - powiedziała. - Nigdy bym w to nie uwierzyła.

Właściciele fotoplastikonu uśmiechali się z dumą. Victoria wstała z ławeczki, a siedzący po drugiej stronie Richard wyleciał w powietrze i legł na ziemi w niezbyt dystyngowanej pozie. Victoria przeprosiła go, ale chciało jej się śmiać. Richard zapłacił, rozpoczęła się ceremonia pożegnania, życzenia pomyślności, prośby o błogosławieństwo boże, aż wreszcie się rozstali. Victoria i Richard wsiedli do samochodu, a dwaj ludzie z kinem ruszyli pustynnym traktem.

- Dokąd oni idą? - spytała Victoria.

- Przenoszą się z miejsca na miejsce. Po raz pierwszy spotkałem ich w Jordanii na drodze prowadzącej od Morza Martwego do Ammanu. Teraz kierują się do Karbali, wybierają oczywiście nieuczęszczane trakty, dają przedstawienia w odległych miasteczkach.

- Może ich ktoś podwiezie? Richard zaśmiał się.

- Nie będą chcieli. Kiedyś spotkałem pewnego starszego człowieka na szosie z Basry do Bagdadu i zaproponowałem mu, że go podrzucę. Zapytałem go, kiedy spodziewa się dotrzeć do celu, odparł, że za dwa miesiące. Więc powiedziałem, żeby wsiał do samochodu, a dotrze na miejsce późnym wieczorem. Podziękował i odmówił. Dwa miesiące nie robiły mu żadnej różnicy. Czas tutaj nic nie znaczy. To przekonanie zapada w człowieku raz na zawsze i czerpie on z niego dziwną satysfakcję.

- Tak, mogę to zrozumieć.

- Dla Arabów nasz zachodni pośpiech jest całkowicie niezrozumiały, a nasz sposób przechodzenia prosto do sedna sprawy uważają za wielki brak wychowania. U nich trzeba zawsze odsiedzieć swoją godzinę na rozmowie o tym i owym albo, jeśli kto woli, można milczeć.

- Gdybyśmy tak zaprowadzili taki zwyczaj w biurach w Londynie! To dopiero byłaby strata czasu.

- Tak, ale wracamy do pytania: czym jest czas? i czym jest strata czasu?

Victoria zamyśliła się. Samochód dalej zmierzał donikąd z całkowitą pewnością siebie.

- Gdzie to jest? - spytała.

- Tell Aswad? Dokładnie w samym środku pustyni. Zaraz zobaczy pani zikkurat. Niech pani teraz spojrzy na lewo. Tam, gdzie pokazuję palcem.

- Czy to chmury? - spytała Victoria. - To nie może być przecież łańcuch górski?

- To góry. Pokryte śniegiem szczyty Kurdystanu. Zobaczyć je można tylko przy bardzo dobrej widoczności.

Ogarnęło ją senne uczucie zadowolenia. Mogłaby tak jechać przez całe życie. Och, dlaczego wdała się w te obrzydliwe kłamstwa? Skuliła się jak dziecko na myśl o karze. Przed nią niemiły finał. Jak wygląda doktor Pauncefoot Jones? Jest zapewne wysoki, ma długą siwą brodę i groźnie zmarszczone brwi. Ale co tam, niech sobie będzie wściekły, i tak wyprowadziła w pole Catherine, Gałązkę Oliwną i Rathbone'a.

- To tam - powiedział Richard i wskazał ręką przed siebie.

Victoria zobaczyła mały punkcik daleko na widnokręgu.

- To jeszcze kawał drogi.

- Nie, tylko parę mil. Zobaczy pani.

I rzeczywiście. Punkcik zmienił się błyskawicznie w kulkę, potem w pagórek, a wreszcie w wielki imponujący tell. Z jednej strony znajdował się długi, rozwalający się budynek z adobe.

- Nasza baza - powiedział Richard.

Zajechali z piskiem opon przed dom, witani szczekaniem psów. Ubrani na biało służący, szeroko uśmiechnięci, wyszli im na spotkanie.

Po ceremoniach powitalnych Richard powiedział:

- Nie spodziewano się tutaj pani tak szybko. Ale przygotowują pani łóżko. I zaraz będzie gorąca woda. Na pewno chce się pani umyć i odpocząć. Doktor Pauncefoot Jones jest na tellu. Idę do niego. Ibrahim zajmie się panią.

Richard oddalił się, a Victoria poszła do domu za uśmiechniętym Ibrahimem. Oślepią blaskiem słońca stwierdziła, że wewnątrz panuje półmrok. Przeszli przez bawialnię z dużymi stołami i kilkoma zniszczonymi fotelami, potem okrążyli podwórko i znaleźli się w pokoiku z małym okienkiem. Stało w nim łóżko, nieociosana komoda, stół z dzbankiem i miską oraz krzesło. Ibrahim uśmiechał się, potakiwał i przyniósł duży dzban gorącej, nieco błotnistej wody i ostry ręcznik. Następnie, uśmiechając się przepraszająco, wyszedł i wrócił z małym lustrem, które ostrożnie powiesił na gwoździu na ścianie.

Victoria była naprawdę szczęśliwa, że może się umyć. Zaczynała odczuwać wielkie znużenie i wyczerpanie, poza tym

lepiała się z brudu.

- Na pewno okropnie wyglądam - powiedziała do siebie i podeszła do lusterka.

Przez kilka sekund patrzyła na swe odbicie w osłupieniu. To nie była ona, nie Victoria Jones.

Po chwili zrozumiała: osoba spoglądająca na nią z lustra miała drobne, czyste rysy Victorii Jones, ale była platynową blondynką!

Rozdział dziewiętnasty

I

Richard znalazł doktora Pauncefoot Jonesa przy wykopaliskach: siedział w kucki obok nadzorcy robót i delikatnie opukiwał małym kilofem jakąś ścianę.

Pauncefoot Jones przywitał się z Richardem jak z kolegą po fachu.

- Witam, drogi Richardzie. A więc przyjechał pan. Spodziewałem się pana we wtorek. Nie wiem dlaczego.

- Jest właśnie wtorek - powiedział Richard.

- Naprawdę? - zdziwił się Pauncefoot Jones bez większego zainteresowania. - Niech pan tu pozwoli i powie mi, co o tym myśli. Mury w doskonałym stanie, a weszliśmy zaledwie na trzy stopy w głąb. Wydaje mi się, że są jakieś ślady farby. Niech pan zobaczy. Wygląda to bardzo obiecująco.

Richard ukląkł w rowie i obaj mężczyźni wdali się w fachową rozmowę. Po kwadransie Richard powiedział:

- Byłbym zapomniiał. Przywiozłem tu panu jedną dziewczynę.

- Tak? Co za dziewczynę?

- Mówi, że jest pana siostrzenicą.

- Siostrzenicą? - Doktor Pauncefoot Jones z trudem oderwał się od murów z adobe. - Chyba nie mam siostrzenicy - powiedział z powątpiewaniem w głosie. Jakby dopuszczał możliwość, że o takim fakcie zapomniiał.

- Przyjechała tu, żeby z panem pracować.

- Ach, tak! - Twarz Pauncefoot Jonesa rozjaśniła się. - Oczywiście. W takim razie to Veronica.

- Chyba Victoria.

- Tak, oczywiście, Victoria. Pisał mi o niej Emerson z Cambridge. Zdaje się, że bardzo zdolna dziewczyna. Antropolog. Nie rozumiem, jak można zostać antropologiem, a pan?

- Słyszałem, że przyjeżdża do pana jakaś dziewczyna antropolog.

- Nie ma tu nic dla niej na razie. Ale przecież dopiero zaczynamy. Co prawda wydawało mi się, że miała przyjechać za dwa tygodnie czy coś takiego, ale niezbyt uważnie przeczytałem jej list, a potem gdzieś mi się zapodziało, więc nie bardzo pamiętam, co tam pisała. Żona przyjeżdża w przyszłym tygodniu, a może w następnym; właśnie, co ja zrobiłem z jej listem? I wydawało mi się, że przyjeżdża z nią Venetia, ale mogłem wszystko poplątać. Bardzo dobrze, ona może się nam przydać. Wykopujemy sporo ceramiki.

- Coś w tej dziewczynie jest dziwnego.

- Dziwnego? - Pauncefoot Jones spojrzął z uwagą na Richarda. - W jakim sensie?

- Nie wie pan, czy nie miała na przykład jakiegoś załamania nerwowego?

- Emerson pisał, że bardzo dużo pracowała, dyplom czy obrona, coś takiego, ale nie przypominam sobie, żeby mówił o załamaniu. Skąd te przypuszczenia?

- Spotkałem ją po drodze, wędrowała zupełnie sama. Wie pan gdzie? Na tym małym tellu, na milę przed zboczeniem z drogi...

- Tak, wiem - odparł doktor Pauncefoot Jones. - Niech pan sobie wyobrazi, że znalazłem tam kiedyś kawałek ceramiki Nuzu. Nie do wiary, w tak wysuniętym na południe miejscu!

Richard nie dał się wciągnąć w archeologiczne dywagacje i z uporem wrócił do poprzedniego tematu.

- Opowiedziała mi zupełnie niewiarygodną historię. Że poszła umyć głowę, uśpiono ją chloroformem. Porwano, zawieziono do Mandali, uwięziono w jakimś domu, skąd uciekła w środku nocy, zupełnie koszałki-opałki.

Doktor Pauncefoot Jones potrząsnął głową.

- Nieprawdopodobne - powiedział. - Okolica jest zupełnie spokojna i dobrze strzeżona. Trudno o bardziej bezpieczne miejsce.

- Właśnie. Musiała to wszystko sobie uroić. Dlatego pytam, czy nie miała załamania nerwowego. Widocznie to jedna z tych histeryczek, którym się wydaje, że zakochał się w nich wikary albo że napastuje ją lekarz. Możemy mieć z nią poważne kłopoty.

- Och, na pewno się uspokoi - stwierdził optymistycznie Pauncefoot Jones. - Gdzie ona jest?

- Chciała się umyć i odpocząć. - Zawahał się i dodał: - Nie ma żadnego bagażu.

- Naprawdę? To rzeczywiście dziwne. Chyba nie będę musiał pożyczać jej pizamy? Mam tylko dwie, a na dodatek

jedną podartą.

- Musi sobie jakoś poradzić do czasu przyjazdu ciężarówki w przyszłym tygodniu. Zastanawia mnie, co ona tam robiła, zupełnie sama, jakby spadła z nieba.

- Dziwne są dzisiejsze dziewczęta - stwierdził ogólnikowo doktor Pauncefoot Jones. - Ciągłe się tu kręcą. Prawdziwe utrapienie, jeżeli chce się pracować. Wydawałoby się, że jest tu za daleko dla zwiedzających, ale gdzie tam, nie wyobraża pan sobie, ile tu zajeżdża samochodów, ilu ludzi się przewija w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Ojej, przestali kopać. Pewno już przerwa na lunch. Wracajmy do domu.

II

Victoria oczekiwała z drżeniem serca na przybycie doktora Pauncefoot Jonesa. Okazało się, że zupełnie inaczej go sobie wyobrażała. Był niski, przysadzisty, łysawy, miał charakterystyczny błysk w oku. Ku największemu zdumieniu Victorii wyszedł jej naprzeciw z otwartymi ramionami.

- Ach, Venetio, to znaczy Victorio, co za niespodzianka! Wbiłem sobie do głowy, że przyjeżdża pani dopiero w przyszłym miesiącu. Ale to wspaniale, że pani przyjechała. Naprawdę wspaniale. Jak się miewa Emerson? Czy bardzo dokucza mu astma?

Victoria wzięła się w garść i powiedziała ostrożnie, że z astmą Emersona nie jest tak źle.

- Za bardzo opatula gardło - powiedział Pauncefoot Jones. - Źle robi. Zawsze mu to mówiłem. Wszyscy ci akademicy przyczepieni jak rzep do uczelni zbyt się przejmują swoim zdrowiem. Nie powinni tyle o tym myśleć, to jedyny sposób na zachowanie dobrej kondycji. Mam nadzieję, że się pani szybko zadamowi. Moja żona przyjeżdża w przyszłym tygodniu, a może w następnym, trochę chorowała. Gdzie ja podziałem ten list? Richard powiedział mi, że zginął pani bagaż. Jak sobie pani poradzi? Ciężarówka będzie chyba dopiero w przyszłym tygodniu.

- Dam sobie radę - powiedziała Victoria. - Przecież muszę. Doktor Pauncefoot Jones zachichotał.

- My z Richardem niewiele możemy pani pożyczyć. Ze szczoteczką do zębów nie będzie kłopotu. Mamy dziesiątki w magazynach. I wątek też mamy, jeżeli to się pani przyda i... zaraz... talk, i zapasowe skarpetki, i chusteczki.

- Nie ma problemu - uśmiechnęła się pogodnie Victoria.

- Nie widać na razie żadnego cmentarza dla pani - po-

wiedział doktor Pauncefoot Jones. - Dokopaliśmy się do całkiem niezłych murów, jest też cała masa ceramiki w dalszych wykopach. Mogłaby pani sklejać. Znajdziemy pani jakieś zajęcie. Nie pamiętam, czy pani fotografuje?

- Znam się na tym trochę - powiedziała ostrożnie Victoria. Poczowała ulgę na wzmiankę o czymś, co potrafi robić.

- To dobrze. Może pani wywoływać negatywy? Jestem człowiekiem starej daty, używam płytek. Ciemnia jest dość prymitywna. Młodzi ludzie, przyzwyczajeni do nowoczesnej techniki, skarżą się często na te przedpotopowe warunki.

- Mnie to nie przeszkadza - uspokoiła go Victoria.

Poszła do magazynu, wybrała szczoteczkę i pastę do zębów, gąbkę i talk.

Usiłowała zrozumieć, jaka jest jej obecna sytuacja, ale wciąż miała w głowie zamęt. Bez wątplenia wzięto ją za dziewczynę, która nazywa się Venetia Jakaś-Tam, ma dołączyć do ekspedycji i jest antropologiem. Victoria nie za bardzo orientowała się, czym się zajmuje antropolog. Musi poszukać słownika i sprawdzić. Tamta dziewczyna nie pojawi się tu przed upływem tygodnia. Proszę bardzo, Victoria może przez tydzień, chyba że wcześniej trafi się okazja do Bagdadu, występować jako Venetia Jakaś-Tam i już jej głowa w tym, by dobrze odegrać tę rolę. Nie lękała się doktora Pauncefoot Jonesa, człowieka rozkosznie roztargnionego, obawy jej budził natomiast Richard Baker. Nie podobał jej się badawczy wyraz oczu, kiedy na nią patrzył. Jeśli nie będzie czujna, Richard rozszyfruje ją na pewno. Na szczęście pracowała kiedyś przez krótki okres w Instytucie Archeologii w Londynie, otarła się więc trochę o słownictwo i pojęcia z tej dziedziny, to się jej teraz przyda. Musi jednak bardzo się pilnować, żeby nie było żadnej wpadki. Na szczęście, myślała Victoria, mężczyźni z taką wyższością odnoszą się do kobiet, że jakiegokolwiek potknięcie z jej strony zostałyby odebrane nie jako dzwonek ostrzegawczy, ale dowód na to, że wszystkie kobiety mają pusto w głowie.

Tak bardzo potrzebny jej ten tydzień luzu! W Gałazce Oliwnej jej zniknięcie wywoła wielki zamęt. Wiadomo, że uciekła z więzienia, ale co się z nią stało później, jest prawie nie do wykrycia. Samochód Richarda nie przejeżdżał przez Mandali, nikt więc nie wpadnie na to, że Victoria wylądowała w Tell Aswad. Nie, w Gałazce Oliwnej będzie im się wydawało, że Victoria wyparowała. Dojdą być może, a nawet na pewno, do wniosku, że nie żyje. Że blakając się po pustyni, umarła z wyczerpania.

Bardzo dobrze, niech sobie tak myślą. Niestety, Edward też tak będzie uważał. Dobrze mu tak! Długo się nie będzie martwił. Kiedy będą go zżerały wyrzuty sumienia, że kazał jej zaprzysiąc się z Catherine, ona się nagle pojawi, wróci do niego z zaświatów, tyle że nie brunetka, lecz blondynka.

I natychmiast powróciło tajemnicze pytanie: dlaczego Oni (kim są - nie wiadomo) ufarbowali jej włosy? Musiał być jakiś powód, myślała Victoria, ale zupełnie nie potrafiła rozszyfrować tej zagadki. Wkrótce będzie miała czarne

odrośty, to dopiero będzie widok. Dziewczyna ufarbowana na platynową blondynkę, która nie ma ani pudru, ani szminki, czy może być gorsza sytuacja? "Nieważne - myślała - ważne, że żyję. I dlaczego miałabym się trochę nie rozetrwać? Choć przez tydzień?" Brać udział w ekspedycji archeologicznej to naprawdę wielka frajda, bardzo ciekawe doświadczenie. Byle tylko wytrwać w roli do końca, byle się nie potknąć.

Jej rola wcale nie była łatwa. We wszelkich rozmowach -o ludziach, stylach w architekturze, publikacjach, rodzajach ceramiki - musiała się bardzo pilnować. Na szczęście osoba, która potrafi słuchać, jest zawsze cenna. Victoria była doskonałym słuchaczem dla obu panów i całkiem łatwo podchwyciła ich słownictwo. Zaczęła, bardzo ostrożnie, stosować je w rozmowie.

Kiedy była sama w domu, namiętnie czytała. Mieli tu doskonałą bibliotekę z publikacjami z dziedziny archeologii. Victoria szybko przyswajała ogólny zarys tematu. Nigdy by się nie spodziewała, że życie może być tak przyjemne. Poranna herbata w pokoju, potem wykopaliska; pomaganie Richardowi przy pracy z kamerą; dopasowywanie i sklejanie ceramiki; obserwowanie ludzi przy pracy (jak zręcznie i delikatnie wybierali ziemię!); przysłuchiwanie się śpiewom i śmiechom małych chłopców, którzy biegali z koszami ziemi, by opróżnić je na hałdach. Opanowała poszczególne okresy, pojęła różne poziomy kopania i zapoznała się z wynikami pracy z poprzedniego sezonu. Jednej rzeczy bała się jak ognia: że pojawią się komentarze. Nigdzie nie mogła się niczego doczytać o pracy antropologa! "Jeśli dokopie się do kości albo grobów - powiedziała do siebie -dostanę okropnego kataru, nie, lepiej ataku woreczka żółciowego i pójdę natychmiast do łóżka".

Ale grobów ani śladu. Wyłaniały się natomiast pomału mury pałacu. Victoria była oczarowana. Na szczęście nie trafiła się okazja, by musiała zademonstrować swoje umiejętności.

Richard Baker wciąż przyglądał się jej badawczo, wyczuwała jego cichy krytycyzm, ale był miły, przyjacielski i szczerze ubawiony jej entuzjazmem.

- Dla kogoś, kto tak jak pani przyjeżdża prosto z Anglii, to zupełnie nowe rzeczy. Pamiętam moje wrażenia z pierwszej wyprawy.

- Dawno to było? Uśmiechnął się.

- Tak, dość dawno, piętnaście, nie, szesnaście lat temu.

- Na pewno zna pan świetnie cały kraj.

- Och, jeździłem też w inne miejsca. Do Syrii, do Iranu.

- Mówi pan dobrze po arabsku. Gdyby był pan odpowiednio ubrany, czy mógłby pan uchodzić za Araba? Pokręcił głową.

- Nie, to wymaga czasu. Chyba żaden Anglik nie może uchodzić za Araba, w każdym razie na dłuższą metę.

- A Lawrence?

- Lawrence nigdy nie podszywał się pod Araba. Nie, jedyny znany mi człowiek, którego praktycznie nie można odróżnić od tubylca, urodził się w tej części świata. Jego ojciec był konsulem w Kaszgarze i gdzieś tam jeszcze. Jako dziecko mówił więc różnymi miejscowymi dialektami, przypuszczam, że i potem znał je dobrze.

- Co się z nim stało?

- Straciłem go z oczu, kiedy skończyliśmy szkołę. Byliśmy szkolnymi kolegami. Przeżywaliśmy go Fakir, bo potrafił siedzieć całkowicie nieruchomo w jakimś dziwnym transie. Nie wiem, co teraz robi, chociaż się domyślam.

- Nie widział go pan od czasów szkolnych?

- To dziwne, ale spotkałem go niedawno, było to w Basrze. Wszystko razem niesamowita historia.

- Dlaczego?

- Nie poznałem go. Ubrany był jak Arab, kefia, strój w pasy, stara wojskowa kurtka. Trzymał bursztynowy różaniec, taki, jaki oni często noszą przy sobie, i brzękał paciorkami na ortodoksyjną modłę, tylko że był to kod wojskowy. Morse'a. Wybrzękał wiadomość dla mnie!

- Co panu wystukał?

- Najpierw moje imię, a właściwie przezwisko, potem swoje, a następnie ostrzeżenie, żeby uważać, bo szykują się kłopoty.

- I były kłopoty?

- Tak. Kiedy wstał i skierował się do drzwi, człowiek wyglądający na cichego, banalnego komiwojżera wyciągnął rewolwer. Wytrąciłem mu go z ręki i Carmichael uciekł.

- Carmichael?

Spojrzał na nią zdumiony tonem jej głosu.

- Tak się nazywa. Zna go pani?

Victoria pomyślała: "Ale byłaby heca, gdybym powiedziała, że umarł w moim łóżku".

- Tak - powiedziała wolno. - Znałam go.

- Znała go pani? Dlaczego... czy on... Victoria skinęła głową.

- Tak - odparła. - On nie żyje.

- Kiedy umarł?

- To się stało w Bagdadzie. W hotelu Tio. - I szybko dodała: - Utrzymuję to w tajemnicy. Nikt o tym nie wie. Pokiwał powoli głową.

- Rozumiem. To taka sprawa. Ale pani... - Spojrzał na nią. - A skąd pani wie?

- Zostałam w to zamieszana, zupełnie przypadkowo. Posłał jej długie badawcze spojrzenie. Victoria rzuciła zniechęca:

- Czy w szkole nie nazywano pana przypadkiem Lucyfer?

- Lucyfer? - zdziwił się. - Nie. Przezywano mnie Sowa, bo nosiłem błyszczące okulary.

- A zna pan jakiegoś Lucyfera w Basrze? Richard pokręcił głową.

- Lucyfer, syn Jutrzenki, upadły anioł. - I dodał: - Albo dawna woskowa zapalka. O ile pamiętam, miała tę właściwość, że nie gasła na wietrze.

Przez cały czas patrzył na nią uważnie, ale Victoria nie zwracała na to uwagi, zastanawiała się nad czymś ze zmarszczonym czołem.

- Chciałabym się dokładnie dowiedzieć, co się stało w Basrze.

- Już pani mówiłem.

- Nie wszystko. Na przykład, gdzie pan wtedy był?

- Aha, o to pani chodzi. Byłem w poczekalni w konsulacie. Czekałem na Claytona, naszego konsula.

- I kto tam jeszcze był? Ten komiwojażer, Carmichael i kto jeszcze?

- Jeszcze dwóch ludzi. Szczupły ciemny Francuz albo Syryjczyk i jakiś starszy człowiek, chyba Pers.

- Więc komiwojażer wyciągnął rewolwer, pan go powstrzymał, a Carmichael uciekł. Jak to zrobił?

- Najpierw pobiegł w kierunku drzwi do biura konsula. To na drugim końcu korytarza z wyjściem na ogród...

- Wiem, wiem - przerwała Victoria. - Mieszkałam tam przez jakieś dwa dni. Wie pan kiedy? Zaraz po pana wyjeździe.

- Naprawdę? - Znowu spojrzał na nią badawczo, ale ona tego nie zauważyła. Widziała długi korytarz w konsulacie, z otwartymi drzwiami na końcu, wychodzącymi na zielone drzewa i słońce.

- Więc, jak mówiłem, Carmichael wybrał początkowo tę drogę. Potem zmienił kierunek i rzucił się w drugą stronę, i wypadł na ulicę. I już go więcej nie widziałem.

- A co z komiwojażerem? Richard wzruszył ramionami.

- Opowiedział jakąś zmyśloną historyjkę, że został zaatakowany i ograbiony poprzedniego wieczoru przez mężczyznę, którego rozpoznał w Arabie w konsulacie. Nic więcej nie wiem, bo leciałem zaraz do Kuwejtu.

- Kto mieszkał wtedy w konsulacie?

- Tylko jeden człowiek, nazywa się Crosbie, z koncernu naftowego. A, jeszcze ktoś: jakiś facet z Bagdadu, ale nie poznałem go. Nie pamiętam, jak się nazywa.

Crosbie - pomyślała Victoria. Dobrze pamiętała kapitana Crosbiego, jego przysadzistą sylwetkę, jego monotony sposób mówienia. Najzwyklejszy w świecie człowiek. Pocziwiec, bez żadnej finezji. Crosbie był w Bagdadzie tej nocy, kiedy Carmichael zjawił się w Tio. A może Carmichael zobaczył na końcu korytarza właśnie Crosbiego, jego sylwetkę w słońcu, i dlatego nagle skręcił i wybiegł na ulicę, zamiast spróbować dostać się do biura konsula?

Zatopiła się w rozmyślaniach. Wyrwał ją z nich wzrok Richarda, który przyglądał jej się bardzo uważnie. Spojrzała na niego spłoszona, jak przyłapaną na gorącym uczynku.

- Dlaczego pani o to pyta?

- Tak sobie, interesuje mnie to.

- Ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Zna pan może kogoś nazwiskiem Lefarge?

- Nie, nie znam. Mężczyzna czy kobieta?

- Tego nie wiem.

Znowu myślała o kapitanie Crosbie. Crosbie? Lucyfer? Czy Lucyfer równa się Crosbie?

Tego wieczoru, kiedy Victoria pożegnała się z obu panami i poszła się położyć, Richard zagadnął doktora Pauncefoot Jonesa:

- Chciałbym rzucić okiem na list Emersona. Ciekaw jestem, co dokładnie napisał o tej dziewczynie.

- Proszę bardzo, drogi chłopcze. Gdzieś tutaj leży. Pamiętam, że robiłem na odwrocie jakieś notatki. Bardzo dobrze wyrażał się o Veronice, jeśli mnie pamięć nie myli, pisał, że to niezwykle bystra dziewczyna. W moim przekonaniu jest urocza, naprawdę urocza. I dzielna, nie robiła żadnych historii z powodu utraty bagażu. Większość dziewcząt na jej miejscu chciałaby zaraz jechać do Bagdadu, żeby kupić nowe sukienki. Ma ducha przygody ta mała, nie ma co mówić. A swoją drogą, jak to się stało, że zgubiła bagaże?

- Została uśpiona chloroformem, porwana i uwięziona w arabskim domu - powiedział Richard z niecierpliwością w głosie.

- Mój Boże, tak, tak mówił mi pan. Teraz pamiętam. Zupełnie nieprawdopodobne. Zaraz, co mi to przypomina? A, tak, Elizabeth Canning. Wie pan, co opowiedziała, kiedy odnalazła się po dwóch tygodniach? Zupełnie niesamowitą

historię. Bardzo interesujący przypadek sprzecznych zeznań. Chodziło o jakichś Cyganów, jeśli czegoś nie pokręciłem. A robiła takie szczere wrażenie, kto by pomyślał, że krył się za tym mężczyzna? A nasza Victoria, nie, Veronica, nigdy nie mogę zapamiętać, jest naprawdę ślicznym stworzeniem. Niewykluczone, że i w tej sprawie kryje się jakiś mężczyzna.

- Wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby nie farbowała włosów - sucho stwierdził Richard.

- Tak? Farbuje się? Doprawdy, nigdy bym pana nie podejrzewał o taką znajomość rzeczy.

- Prosiłem pana o list Emersona...

- Tak, tak, nie mam pojęcia, gdzie go podziałem. Ale niech się pan rozejrzy, zależy mi na nim, choćby z powodu tych notatek i tego szkicu drucianego różańca, który zrobiłem.

Rozdział dwudziesty

Na drugi dzień po południu doktor Pauncefoot Jones usłyszał w oddali odgłos samochodu, który wyraźnie zbliżał się przez pustynię, w stronę tellu. Pauncefoot Jones wydał okrzyk rozpaczy.

- Goście - powiedział jadowicie. - W najgorszym momencie. Właśnie miałem zamiar doglądać nasączenia celulozą tej rozety w północno-wschodniej części. Na pewno jacyś głupcy z Bagdadu, będą gadać o niczym i prosić, żeby ich oprowadzono po wykopaliskach.

- Możemy wykorzystać Victorię - powiedział Richard.

- Victorio, słyszy pani? Ma pani oprowadzić gości.

- Na pewno powiem nie to, co trzeba - broniła się Victoria. - Nie mam żadnego doświadczenia.

- Uważam, że świetnie sobie pani radzi - rzekł Richard z błyskiem w oku. - Te pani dzisiejsze uwagi o reliefowej cegle były jakby żywcem wzięte z książki Delongaza.

Victoria lekko się zarumieniła i postanowiła odtąd staranniejsze się maskować. Czowała się nieswojo pod badawczym spojrzeniem zza grubych szkielec.

- Spróbuję - powiedziała potulnie.

- Spychamy na panią wszystkie dodatkowe prace - stwierdził Richard.

Victoria uśmiechnęła się.

Rzeczywiście, jej zajęcia w ostatnich pięciu dniach były dla niej niespodzianką. Wywoływała płyty wodą przefiltrowaną przez watę przy świetle prymitywnej ciemnej latarni ze świecą, która zawsze gasła w najważniejszym momencie. Stół w ciemni stanowiła skrzynia i Victoria musiała przysiąść lub klękać, kiedy zabierała się do pracy. Richard zauważył, że ciemnia była jakby żywcem wzięta ze średniowiecza. Pauncefoot Jones zapewniał, że sprowadzą później odpowiednie urządzenia, ale na razie trzeba było oszczędzać każdy grosz, żeby opłacić robotników, bo inaczej rezultaty będą marne.

Kosze z połamaną ceramiką wywoływały z początku w niej uśmiech politowania (ale pilnie strzegła się, żeby nic po sobie nie pokazać). Na co komu te potłuczone skorupy?

Kiedy jednak zaczęła je dopasowywać, sklejać, umieszczać w skrzyniach z piaskiem, wciągnęła się w to zajęcie. Nauczyła się rozpoznawać kształty i rodzaje. Próbowowała też wyobrazić sobie, w jaki sposób posługiwano się tymi naczyniami jakieś trzy tysiące lat wcześniej. Na niewielkim obszarze dokopano się do biednych domów. Victoria widziała oczami wyobraźni tamtych ludzi razem z ich pragnieniami, dobytkiem i pracą, ich nadziejami i obawami. W jej żywym umyśle obrazy takie rodziły się szybko i łatwo. Któregoś dnia znaleziono w murze gliniany garnek, a w nim pół tuzina złotych kolczyków. Victoria zaniemówiła z wrażenia. "Na pewno na wiano dla córki" - powiedział Richard z uśmiechem. Naczynia wypełnione ziarnem, złote kolczyki na posag, kościane igły, ręczne młynki i moździerz, małe figurynki i amulety. Życie codzienne, obawy i nadzieje zbiorowości zwykłych, prostych ludzi.

- To właśnie tak mnie fascynuje - powiedziała Victoria

do Richarda. - Zawsze myślałam, że archeologia to groby królewskie i pałace.

- Królów Babilonu - dodała z lekko zagadkowym uśmiechem. - Podoba mi się wszystko, co dotyczy zwykłych ludzi, takich jak ja. Mój święty Antoni, który pomaga mi znaleźć zgubiony przedmiot, i moja świnka-maskotka, i moja cudowna miska, w środku niebieska, a z wierzchu biała, której używam do przygotowania ciasta; stłukła się kiedyś, kupiłam nową, ale to już nie było to. Rozumiem, dlaczego ci ludzie naprawiali tak pieczołowicie swoje ulubione naczynia masą bitumiczną. Życie jest życiem, zawsze takie samo, teraz i dawniej.

Myślała o tym, patrząc na gości idących z jednej strony tellu. Richard wyszedł im na spotkanie, Victoria poszła za nim. Przyjechali dwaj Francuzi, którzy interesowali się archeologią, jeździli po Iraku i Syrii. Victoria przywitała się z nimi uprzejmie, zaprowadziła na wykopaliska, oprowadziła, recytując jak papuga wyuczone rzeczy. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie upiększyć trochę swojej wypowiedzi, dorzucając tu i ówdzie jakieś własne wrażenia.

Zauważyła, że jeden z gości wygląda kiepsko. Wlókł się, słuchał bez większego zainteresowania. Jeśli mademoiselle pozwoli, powiedział, on wróci do domu. Od rana nie czuje się za dobrze, a słońce mu jeszcze zaszkodziło.

Oddalił się w stronę bazy, a jego towarzysz odpowiednio zniżonym głosem wyjaśnił, że to niestety estomac. Bagdadzka niestrawność, tak się to chyba określa. Nie powinien być dziś wyruszać.

Zwiedzanie dobiegło końca, Francuz rozmawiał z Victorią. Wreszcie doktor Pauncefoot Jones ze zdecydowanym wyrazem twarzy gościnnie zaproponował podwieczorek przed wyjazdem.

Francuz odmówił. Muszą wyjechać przed zmrokiem, nie chcą się błąkać. Richard Baker pospiesznie przyznał mu rację. Zawołano chorego gościa i samochód ruszył pełnym gazem.

- To dopiero początek - mruczał pod nosem Pauncefoot Jones. - Teraz codziennie będą tu zjeżdżać.

Wziął dużą kromkę arabskiego chleba i grubo posmarował dżemem morelowym.

Po podwieczorku Richard udał się do siebie. Musiał odpowiedzieć na kilka listów, napisać w sprawie planowanej na jutro podróży do Bagdadu.

Naraz zmarszczył brwi. Na oko nie robił wrażenia pedanta, ale rzeczy i papiery układał zawsze w ten sam sposób. Od razu spostrzegł, że płałowano mu po szufladach. Nie zrobił tego nikt ze służby, to pewne. Wobec tego musiał to być chory Francuz - znalazł pretekst, żeby pójść do domu i myszkował po pokoju Richarda. Nic nie zginęło. Pieniądze nietknięte. Czego zatem szukał? Richard rozważał rozmaite możliwości i wyszedł z pokoju poważnie zatroskany.

Udał się do antika room i sprawdził szufladę z pieczętkami. Uśmiechnął się markotnie. Wszystko leżało na miejscu. Wszedł do bawialni. Doktor Pauncefoot Jones rozmawiał na podwórzu z nadzorcą. Victoria była sama i czytała książkę.

- Ktoś płałowal po moim pokoju - powiedział Richard bez ogródek.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Kto i po co?

- To nie pani?

- Ja? - oburzyła się Victoria. - Co za pomysł! Czego miałabym u pana szukać?

Spojrzał na nią twardo i powiedział:

- To na pewno ten przeklęty cudzoziemiec, ten, co udawał chorego i poszedł do domu.

- Ukradł coś panu?

- Nie. Nic nie zginęło.

- Ale czego, na litość boską...

- Myślałem, że pani mi to powie - przerwał jej Richard.

-Ja?

- To przecież pani przydarzyły się niesamowite przygody, w każdym razie tak pani opowiadała.

- A, no tak. - Victoria spojrzała na niego niepewnie. -To jeszcze nie powód, żeby przeszukiwali pana pokój. Nie ma pan nic wspólnego z...

-Z czym?

Victoria nie odpowiedziała od razu. Wyglądała na głęboko zamyśloną.

- Przepraszam - powiedziała w końcu. - Co pan mówił? Nie słuchałam.

Richard nie powtórzył pytania. Zadał natomiast inne:

- Co pani czyta?

- Nie macie tu wielu lekkich książek - skrzywiła się. - "Opowieść o dwóch miastach" Dickensa, "Duma i uprzedzenie" Jane Austen, "Młyn nad Flossą" George Eliot. Czytam "Opowieść o dwóch miastach".

- Nie zna pani tego?

- Nie. Zawsze uważałam, że Dickens to nudziarz.

- Co za bzdura!

- Nie mogę się po prostu oderwać.

- W jakim pani jest miejscu? - spojrzał jej przez ramię i przeczytał: "Kobiety robiące na drutach odliczyły: Jeden".

- Ona budzi we mnie strach - powiedziała Victoria.

- Madame Defarge? Tak, doskonała postać. Chociaż nie wyobrażam sobie, jak można przekazać wiadomość w robótce na drutach. Ale w końcu nie znam się na tym.

- Myślę, że można. - Victoria zastanawiała się przez chwilę. - Na przykład w ściegu prostym lewe oczko, prawe oczko i długie, zgubione i krzyżowe. Tak, to się da zrobić, oczywiście jako szyfr wyglądałoby to tak, jakby ktoś źle robił na drutach i ciągle się mylił...

Nagle z szybkością błyskawicy skojarzyła ze sobą dwie rzeczy i jakby piorun w nią strzelił. Nazwisko i obraz. Człowiek z zaciśniętym w rękę zrobionym na drutach czerwonym szalikiem, który złapała w przelocie i wcisnęła do szuflady. I nazwisko. Defarge, nie Lefarge, Defarge, madame Defarge.

Uprzejmy głos Richarda sprowadził ją na ziemię.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie... toaczy... po prostu coś sobie przypomniałam.

- Ach, tak... - Richard uniósł podejrzliwie brwi.

Jutro, myślała Victoria, pojedę do Bagdadu. Jutro koniec wakacji. Przez ponad tydzień czuła się bezpiecznie i pewnie, miała czas, żeby pozbierać myśli. I było jej dobrze, naprawdę dobrze. "Może jestem tchórzem - myślała Victoria - może w tym cała rzecz". Potrafiła mówić beztrzesko o przygodach, ale kiedy przyszło co do czego, wcale nie była zachwycona. Okropna była ta walka z chloroformem i powolne duszenie się, i bała się, bała się straszliwie, kiedy Arab w więzieniu powiedział do niej: "bukra".

A teraz czeka ją znowu to samo. Bo pracowała dla Dakina, za pieniądze, i musiała na nie zapracować i odważnie stawić czoło temu, co ją czeka! Może nawet trzeba będzie wrócić do Gałazki Oliwnej. Zadrżała na wspomnienie Rathbone'a i jego ponurego badawczego spojrzenia. Ostrzegął ją...

Może jednak nie będzie musiała tam wrócić? Może pan Dakin zdecyduje, że lepiej nie, skoro już o niej wiedzą. Musi jednak pójść do swojego mieszkania po rzeczy, bo w walizce leżał beztrzesko czerwony szalik... Kiedy wyjeżdżała do Basry, wszystko powkładała do walizek. Może, jak odda czerwony szalik Dakinowi, jej zadanie będzie wykonane. Powie do niej jak w filmach: "Dobra robota, Victorio".

Spostrzegła, że Richard bacznie się jej przygląda.

- Och, byłbym zapomniiał - powiedział. - Na jutro potrzebny jest pani paszport.

- Mój paszport?

Victoria zastanowiła się. Nie obmyśliła dotąd żadnego planu, jak postąpi na koniec swojego pobytu na wykopaliskach. Ponieważ prawdziwa Veronica (lub Venetia) przyjedzie wkrótce z Anglii, ona powinna się wycofać w odpowiedni sposób. Nie zdecydowała jeszcze, czy po prostu zniknie, czy przyzna się ze skruchą do winy, czy też wymyśli coś innego. Zawsze zdawała się optymistycznie na los i liczyła na szczęśliwy przypadek.

- Tak... - powiedziała, zwlekając z konkretną odpowiedzią. - Nie jestem pewna...

- Potrzebny jest w okręgowej policji - wyjaśnił Richard. - Muszę wpisać do rejestru pani nazwisko, wiek, znaki szczególne itp. Wie pani, wszystkie dane. Nie mamy pani paszportu, powinniśmy posłać im pani nazwisko i całą resztę. Właśnie, jak brzmi pani nazwisko? Znam tylko pani imię.

Victoria z całą mocą wzięła się w garść.

- Niech pan nie żartuje - powiedziała. - Zna pan moje nazwisko równie dobrze jak ja.

- To się niezupełnie zgadza - powiedział Richard. I uśmiechnął się z pewnym okrucieństwem. - Ja znam pani nazwisko, to pani go nie zna.

I spojrzął na nią uważnie.

- Oczywiście, że znam moje własne nazwisko - warknęła Victoria.

- Więc proszę mi je podać, zaraz. Jego głos stał się naraz twardy i ostry.

- Nie ma po co kłamać - powiedział. - Zabawa skończona. Była pani bardzo sprytna. Naczytała się pani książek, rzucała pani wymownymi cytatami, ale takiej gry nie da się prowadzić na dłuższą metę. Zastawiłem na panią sidła, dała się pani w nie złapać. Powiedziałem jakąś ewidentną bzdurę, a pani się dała na nią nabrać. - Urwał na chwilę. - Pani nie jest Venetią Savile. Kim pani jest?

- Powiedziałam panu za pierwszym razem - odparła. - Jestem Victoria Jones.

- Siostrzenica doktora Pauncefoot Jonesa?

- Nie jestem jego siostrzenicą, ale nazywam się Jones.

- Naopowiadała mi pani wiele innych rzeczy.

- Tak. To wszystko prawda! Ale od razu wiedziałam, że mi pan nie wierzy. To mnie doprowadzało do szału, bo choć czasami kłamię, nawet dość często, to, co panu mówiłam, nie jest kłamstwem. Powiedziałam, że nazywam się Pauncefoot Jones, bo wydawało mi się, że tak będzie lepiej, już to wcześniej mówiłam i zawsze robiło to świetne wrażenie. Skąd mogłam wiedzieć, że pan się tutaj wybiera?

- Tak, to musiał być dla pani lekki szok - stwierdził ponuro Richard. - Świetnie to pani zniosła, z lodowatym spokojem.

- Ale tylko na zewnątrz - zaprotestowała Victoria. - W środku cała się trzęsłam. Wiedziałam, że muszę poczekać z wyjaśnieniami do przyjazdu na miejsce, przynajmniej będę bezpieczna.

- Bezpieczna? - zastanowił się Richard. - Niech mi pani szczerze powie, Victorio, czy ta pani bajka o chloroformie jest prawdziwa?

- Przysięgam, że to prawda. Gdybym chciała bujać, opowiedziałabym znacznie lepszą historyjkę i w lepszym wykonaniu.

- Poznałem panią trochę, i, rzeczywiście, to się zgadza. Ale przyzna pani, że w pierwszej chwili ta opowieść brzmiała zupełnie nieprawdopodobnie.

- Teraz zmienił pan zdanie. Dlaczego?

- Bo, jak sama pani mówiła, zamieszana jest pani w sprawę śmierci Carmichaela, więc może to i prawda.

- Od tego wszystko się zaczęło.

- Powinna mi pani o tym opowiedzieć. Victoria spojrziała na niego twardym wzrokiem.

- Zastanawiam się - powiedziała - czy mogę panu ufać.
- Stawia pani sprawę na głowie. Przecież to ja mogę mieć podejrzenia, że przyjechała tu pani pod fałszywym nazwiskiem, żeby wyciągnąć informacje ode mnie. I może właśnie to pani robi.
- To znaczy, że wie pan coś o Carmichaelu, czym Oni będą zainteresowani?
- Co za Oni?
- Nie ma rady, muszę panu wszystko opowiedzieć - westchnęła Victoria. - Nie widzę innego wyjścia. Jeżeli jest pan jednym z Nich, i tak pan wie, więc wszystko jedno.
- Opowiedziała o nocy, kiedy zginął Carmichael, o rozmowie z Dakinem, podróży do Basry, pracy w Gałazce Oliwnej, wrogości Catherine, o doktorze Rathbonie i jego ostrzeżeniu, o ostatnich wydarzeniach, łącznie z tajemniczą sprawą ufarbowania włosów. Pominęła tylko czerwony szalik i madame Defarge.
- Doktor Rathbone? - Richard drgnął na dźwięk tego nazwiska. - Myśli pani, że on ma z tym coś wspólnego? Stoi za tym? Dziewczyno, to nie byle kto. Znany jest na całym świecie. Subskrypcje na jego artykuły napływają jedne po drugich.
- Czy rzeczywiście jest taki, jak się o nim mówi? - spytała Victoria.
- Zawsze uważałem go za pompatycznego osła - powiedział Richard w zamyśleniu.
- Pod taką przykrywką łatwo mu się maskować.
- Tak, tak. Być może. Kim jest Lefarge, o którego mnie pani kiedyś pytała?
- Nieważne. Jest jeszcze Anna Scheele - dodała.
- Anna Scheele? Pierwszy raz słyszę.
- To ktoś ważny - stwierdziła Victoria. - Ale nie wiem, na czym jej ważność polega. To wszystko takie pogmatwane.
- Niech mi pani jeszcze raz powie, kto panią w to wciągnął?
- Edw... to znaczy pan Dakin. Pracuje, zdaje się, w koncernie naftowym.
- Taki przygarbiony facet o zmęczonej twarzy, jakby pustej w środku?
- Tak, ale tylko pozornie. Mam na myśli pustkę.
- On przypadkiem nie pije?
- Tak mówią. To chyba nieprawda.
- Richard założył ręce do tyłu i spojrzał na Victorię.
- Phillipps Oppenheim. William Le Queux i kilku innych naśladowców? Czy jest to prawdziwe? Czy pani jest prawdziwa? Czy jest pani prześladowaną bohaterką, czy niecną awanturnicą?
- Victoria zadała całkowicie praktyczne pytanie:
- Dla mnie prawdziwym problemem jest to, co powiemy doktorowi Pauncefoot Jonesowi.
- Nic - odparł Richard. - To nie będzie konieczne.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Do Bagdadu wystartowali o wczesnej porze. Victoria była w kiepskim nastroju. Ze ściśniętym gardłem patrzyła na dom w bazie. Ale w samochodzie okropnie trzęsło i trudy podróży dawały się tak bardzo we znaki, że myślała już tylko o własnej niewygodzie. Dziwne uczucie budziła w niej ponowna jazda tą pseudodrogą, widok osłów i zakurzonych ciężarówek. Do przedmieść Bagdadu dotarli prawie po trzech godzinach. Ciężarówka zatrzymała się przed hotelem Tio i pojechała dalej już tylko z kucharzem i kierowcą, którzy mieli zrobić zakupy. Na doktora Pauncefoot Jonesa i Richarda czekał cały plik korespondencji. Pojawił się zaraz masywny Marcus i powitał Victorię ze swym promiennym uśmiechem.

- A, to pani - powiedział. - Dawno pani nie widziałem. Wcale nie przychodzi pani do hotelu. Chyba już tydzień albo i dwa? Dlaczego? Zje pani dziś u nas lunch? Na co pani ma ochotę? Kurczaczki? Duży stek? Tylko nie indyk nadziewany ziołami i ryżem, bo musiałbym zamówić dzień wcześniej.
- Było oczywiste, że w hotelu Tio nic nie było wiadomo o porwaniu Victorii. Prawdopodobnie Edward, za radą Dakina, nie zawiadomił policji.
- Czy pan Dakin jest w Bagdadzie? - spytała Victoria Marcusa.
- Pan Dakin... tak... bardzo miły człowiek... oczywiście, to pani znajomy. Był tu wczoraj, nie, przedwczoraj. I pan Crosbie tu był, zna go pani? Znajomy pana Dakina. Przyjeżdża dzisiaj z Kermanszah.
- Wie pan, gdzie się mieści biuro pana Dakina?
- Oczywiście. Każdy wie, gdzie jest Iraq Iranian Oil Co.
- Chcę się tam teraz wybrać. Taksówką. I chcę mieć pewność, że taksówkarz będzie wiedział, dokąd ma jechać.
- Dopilnuję tego - obiecał uczynnie Marcus.

Poszedł z nią do wylotu uliczki i krzyknął gwałtownie, jak to miał w zwyczaju. Po chwili przybiegł pędem wystraszony służący. Marcus kazał mu sprowadzić taksówkę. Odprowadził potem Victorię do samochodu i dał

polecenie kierowcy. Następnie cofnął się kilka kroków i pomachał ręką.

- I poproszę o pokój - powiedziała Victoria. - Będzie miał pan coś dla mnie?

- Tak, tak. Dostanie pani piękny pokój i zamówię dla pani duży stek, a na dziś wieczór mam coś specjalnego - kawior. A przedtem wypijemy drinka.

- Cudownie - powiedziała. - Och, jeszcze jedno, panie Marcus. Czy mógłby mi pan pożyczyć trochę pieniędzy?

- Oczywiście, proszę, niech pani bierze, ile pani chce.

Taksówka ruszyła, gwałtownie szarpnęła i Victoria poleciała do tyłu, ściskając w rękę banknoty i monety.

W pięć minut później weszła do gmachu Iraqi Iranian Oil Co. i spytała o pana Dakina.

Kiedy Victoria stanęła w drzwiach, Dakin siedział za biurkiem i pisał. Wstał i podał jej oficjalnie rękę.

- Panna Jones, o ile się nie mylę? Proszę podać nam kawę, Abdullahu.

Gdy zamknęły się dźwiękoszczelne drzwi, Dakin ode zwał się cicho:

- Nie powinna była pani tutaj przychodzić.

- Tym razem musiałam. Jest coś, co muszę panu powiedzieć natychmiast, zanim znowu coś mi się stanie.

- Jak to? Czy coś się pani stało?

- To nic pan nie wie? - spytała. - Edward panu nie powiedział?

- Byłem przekonany, że pracuje pani nadal w Gałazce Oliwnej. Nikt mi nic nie mówił.

- Catherine!

- Słucham?

- Ta świnią Catherine! Założę się, że naopowiadała jakichś bajek Edwardowi, a ten głupek w to uwierzył.

- No więc słucham - powiedział Dakin. - Eee... jeśli można... chciałem powiedzieć... - i spojrział dyskretnie na włosy Victorii - wolę panią jako brunetkę.

- To tylko część całej historii.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł goniec z dwiema filiżankami osłodzonej kawy. Po jego wyjściu Dakin zwrócił się do Victorii.

- A teraz nich mi pani spokojnie opowie wszystko po kolei. Nikt nas tu nie podsłucha.

Victoria zagłębiła się w opowieść o swoich przygodach. Zawsze kiedy rozmawiała z Dakinem, była logiczna i precyzyjna. Zakończyła sprawą czerwonego szalika upuszczonego przez Carmichaela i skojarzeniem z madame Defarge.

Na koniec spojrzała pytająco na Dakina.

Na początku spotkania wydawał jej się jeszcze bardziej zgarbiony i zmęczony niż zwykle. Teraz dostrzegła u niego jakiś nowy błysk w oku.

- Powinienem częściej czytywać Dickensa - powiedział.

- Więc uważa pan, że mam rację? Myśli pan, że on powiedział Defarge i że jakaś wiadomość jest zaszyfrowana w szaliku?

- Myślę - odparł Dakin - że wreszcie zapaliło się jakieś światełko, i to dzięki pani. Ważny jest szalik. Gdzie on jest?

- W mojej walizce. Tamtej nocy wcisnęłam go do szuflady, a kiedy się pakowałam, upchnęłam wszystko razem.

- I nigdy nikomu pani nie mówiła, absolutnie nikomu, o szaliku Carmichaela?

- Nie, bo zupełnie o nim zapomniałam. Włożyłam go razem z innymi rzeczami, kiedy jechałam do Basry, i od tego czasu nawet nie otworzyłam walizki.

- A więc wszystko w porządku. Gdyby nawet przeszukiwali pani rzeczy, nie zwróciliby uwagi na stary, brudny, wełniany szalik, chyba że otrzymaliby jakiś cynk, a to mi wygląda nieprawdopodobnie. Musimy teraz odebrać pani walizki i przesłać je do... właśnie, ma pani gdzie mieszkać?

- Zamówiłam pokój w Tio. Dakin skinął głową.

- Najlepsze miejsce.

- Czy muszę... czy chce pan... czy mam wrócić do Gałazki Oliwnej?

Dakin spojrział na nią uważnie.

- Boi się pani?

Victoria wysunęła brodę.

- Nie - powiedziała wyzywająco. - Wrócę, jeśli trzeba.

- To nie jest konieczne, byłoby nawet nierozsądne. Została pani zdemaskowana. Nie mogłaby więc pani już niczego się od nich dowiedzieć, lepiej zatem trzymać się z daleka.

Uśmiechnął się.

- Nie chciałbym się spotkać następnym razem z rudowłosą dziewczyną.

- To mnie najbardziej męczy - zawołała Victoria. - Dlaczego ufarbowali mi włosy? Zastanawiam się nad tym bez przerwy i nie rozumiem, o co chodzi. A pan?

- Jeden tylko nieprzyjemny powód przychodzi mi do głowy: w razie czego trudniej zidentyfikować ciało.

- Skoro im zależy na moich zwłokach, to dlaczego od razu mnie nie zabili?
 - Właśnie, bardzo słuszne pytanie. Wiele bym dał za to, żeby znać na nie odpowiedź.
 - I nic nie przychodzi panu do głowy?
 - Brak mi klucza do tej zagadki - odparł Dakin uśmiechając się lekko.
 - A propos klucza do zagadki - powiedziała Victoria. - Pamięta pan, że coś mi się nie zgadzało, kiedy zobaczyłam sir Ruperta Croftona Lee tamtego ranka w Tio?
 - Tak.
 - Nie znał go pan osobiście?
 - Nie, nigdy go przedtem nie spotkałem.
 - Tak podejrzewałam. Bo, widzi pan, to nie był sir Rupert Crofton Lee.
- I z ożywieniem przystąpiła do następnej opowieści. Poczynając od czyraka dojrzewającego na szyi sir Ruperta.
- Ach, więc to tak - powiedział Dakin. - Zastanawiałem się przez cały czas, jakim sposobem Carmichael mógł dać się podejść tamtej nocy. Poszedł z całym zaufaniem do Croftona Lee, ten zadał mu cios, ale Carmichael zdążył uciec, wpadł do pani pokoju. I chwycił się kurczowo szalika, jak tonący brzytwy.
 - Jak pan myśli, dlaczego mnie porwali? Czy wiedzieli, że wszystko panu opowiem? Ale przecież mówiłam o tym tylko Edwardowi.
 - Chyba chcieli usunąć panią jak najszybciej z boiska. Wiedziała pani o wiele za dużo o Gałązce Oliwnej.
 - Rathbone ostrzegł mnie. A raczej mi groził. Pewno odgadł, że nie jestem osobą, za jaką się podaję.
 - Rathbone - wtrącił Dakin - nie jest głupcem.
 - Bardzo się cieszę, że nie muszę już tam wracać - powiedziała Victoria. - Udawałam tylko, że się nie boję, ale naprawdę ciarki mnie przechodzą ze strachu. Ale jak ja się spotkam z Edwardem, jeśli nie pójde do Gałązki Oliwnej? Dakin uśmiechnął się.
 - Jeśli Mahomet nie przyjdzie do góry, góra musi przyjść do Mahometa. Niech pani do niego napisze. Niech mu pani powie, że mieszka pani w Tio i żeby przywiózł pani rzeczy. Wybieram się dziś rano do Rathbone'a w sprawie jednego z ich wieczorków. Łatwo wcisnę Edwardowi liścik, więc nie ma obawy, że pani nieprzyjaciółka Catherine go przechwyci. Niech pani wraca do Tio i tam czeka, i... Victorio...
 - Tak?
 - Jeśli znajdzie się pani w jakichkolwiek tarapatkach, niech się pani postara z nich wybrnąć z najmniejszą szkodą dla siebie. Będzie pani pod naszą obserwacją, ale mamy trudnego przeciwnika, a pani, niestety, wie dość dużo. Kiedy pani rzeczy znajdą się w Tio, pani zobowiązania wobec mnie się kończą. Proszę o tym pamiętać.
 - Wracam prosto do Tio - powiedziała Victoria. - Tylko po drodze kupię puder, szminek i krem. W końcu...
 - W końcu - dokończył za nią Dakin - nie można iść na spotkanie z chłopcem bez żadnego rynsztunku.
 - To nie miało dla mnie takiego znaczenia przy Richardzie, chociaż na pewno chciałabym mu pokazać, że potrafię ładnie wyglądać. Ale Edward...

Rozdział dwudziesty drugi

- Victoria uczesała starannie swoje blond włosy, upudrowała nos, umalowała usta i zasiadła na tarasie w Tio, po raz kolejny odgrywając rolę współczesnej Julii czekającej na Romea.
- I Romeo nadszedł. Zobaczyła go, jak idzie trawnikiem i rozgląda się na boki.
- Edward! - zawołała. Edward podniósł głowę.
 - A, jesteś!
 - Chodź na górę.
 - Dobrze.
- Po chwili znalazł się przy niej na tarasie, gdzie byli zupełnie sami.
- Tutaj jest spokojniej niż gdzie indziej - powiedziała Victoria. - A teraz pójdziemy na dół i poprosimy Marcusa, żeby dał nam drinka.
- Edward patrzył na Victorię z zakłopotaniem.
- Coś ty zrobiła z włosami, Victorio?
- Westchnęła z rozpaczą.
- Jeśli ktoś jeszcze raz wspomni przy mnie o włosach, palnę go w łeb.
 - Chyba wolałem poprzedni kolor.
 - Powiedz to Catherine.
 - Catherine? A co ona ma z tym wspólnego?
 - Wszystko - powiedziała Victoria. - Kazałeś mi się z nią zaprzyjaźnić, zrobiłam to i nawet nie wiesz, do czego to doprowadziło.

- Gdzie ty się podziewałaś, Victorio? Martwiłem się o ciebie.
- To bardzo ładnie z twojej strony. A jak myślisz, gdzie byłam?
- Catherine przekazała mi od ciebie wiadomość, że musiałaś nagle wyjechać do Mosulu w bardzo ważnej sprawie i że to coś dobrego, i że odezwiesz się do mnie.
- I ty jej uwierzyłeś? - spytała Victoria niemal z politowaniem.
- Pomyślałem sobie, że wpadłaś na jakiś trop i że oczywiście nie mogłaś zbyt wiele powiedzieć Catherine.
- Nie przyszło ci do głowy, że Catherine kłamie, że mnie ogłuszono...
- Co takiego? - zdumiał się Edward.
- Otumaniono, uśpiono, głodzano... Edward rozejrzał się bacznie dokoła.
- Mój Boże! Kto by pomyślał... ale wiedz, nie chcę tutaj rozmawiać. Te okna i w ogóle... Może pójdziemy do ciebie.
- Dobrze. Przywiozłeś mi rzeczy?
- Tak, oddałem portierowi.
- Bo wiesz, jak przez dwa tygodnie nie można się przebrać...
- Victorio, powiedz, co się z tobą działo. Wiem, co zrobimy. Jestem samochodem. Pojedziemy do Devonshire. Nie byłaś tam, prawda?
- Devonshire? - Victoria patrzyła na Edwarda ze zdumieniem.
- Tak się nazywa takie jedno miejsce pod Bagdadem. Jest tam pięknie o tej porze roku. Chodźmy. Już nie pamiętam, kiedy miałem cię tylko dla siebie.
- Wtedy, w Babilonie. Ale co z Rathbone'em i Gałązką Oliwną?
- Pał sześć Rathbone'a. Mam już powyżej dziurek w nosie tego starego osła.
Zbiegli po schodach i poszli do miejsca, gdzie Edward zaparkował samochód. Jechali przez Bagdad w kierunku południowym szeroką arterią. Potem samochód skręcił, podskakiwał na wybojach, przemykał się między palmami, przejeżdżał przez mostki na kanałach. Nieoczekiwanie dotarli do małego lasku otoczonego i poprzecinanego kanałami irygacyjnymi. Drzewa, głównie migdałowce i morele, zaczynały właśnie kwitnąć. Miejsce jak z bajki. Za laskiem widać było niedaleko Tygrys.
Wysiedli z samochodu i zaczęli się przechadzać wśród kwitnących drzew.
- Jak cudownie! - westchnęła Victoria. - Zupełnie jak w Anglii na wiosnę.
Powietrze było delikatne, ciepłe. Usiedli na zwalonym pniu, a nad ich głowami zwisały się różowe kwiaty.
- A teraz, kochanie - powiedział Edward - mów, co się z tobą działo. Było mi po prostu okropnie bez ciebie.
- Naprawdę? - spytała Victoria, uśmiechając się w rozmarzeniu.
Opowiedziała mu wszystko po kolei. O fryzjerce. O woni chloroformu i jak się broniła. Jak obudziła się półprzytomna i chora. Jak uciekła i spotkała przypadkowo Richarda Bakera, jak udawała Victorię Pauncefoot Jones w drodze na wykopaliska i jak cudem odegrała rolę studentki archeologii, która musiała przyjechać z Anglii.
Edward wybuchnął śmiechem.
- Jesteś wspaniała, Victorio! Czego ty nie wymyślisz i nie odegrasz!
- Tak - powiedziała. - Moi wujkowie. Doktor Pauncefoot Jones, a przedtem biskup.
W tym momencie przypomniała sobie, o co miała spytać Edwarda w Basrze, kiedy pani Clayton zawołała ich na drinka.
- Właśnie, miałam cię o coś spytać. Skąd wiedziałeś o biskupie?
Poczuła, jak ręka trzymająca jej dłoń nagle sztywnieje. Powiedział szybko, zbyt szybko:
- Przecież sama mi mówiłaś.
Victoria spojrzała na niego. Dziwne, myślała później, czego może dokonać jedno małe, głupie, dziecinne spotkanie. Zaskoczyła go. Nie miał gotowej odpowiedzi. Maskę spadła z twarzy.
I kiedy Victoria przyglądała się Edwardowi, wszystko zaczęło się przesuwac i ukladać jak w kalejdoskopie: ujrzała nagą prawdę. A może to się nie stało w niej nagle. Może w podświadomości nurtowało ją i gryzło pytanie: skąd Edward wiedział o biskupie Llangow od Victorii, mógł więc zdobyć tę wiadomość tylko od państwa Hamilton Clipp. Nie widział się jednak z panią Clipp po jej przyjeździe do Bagdadu, bo był w tym czasie w Basrze, czyli przekazali mu tę informację, zanim sam opuścił Anglię. A więc wiedział z góry, że Victoria jedzie z panią Clipp, i cudowny zbieg okoliczności nie był żadnym szczęśliwym przypadkiem. Wszystko było zaplanowane, zamierzone.
Patrząc na prawdziwego Edwarda, zrozumiała nagle, co miał na myśli Carmichael mówiąc o Lucyferze. Zrozumiała, kogo zobaczył tamtego dnia w ogrodzie konsulatu, biegnąc korytarzem. Zobaczył tę oto piękną twarz, którą ona teraz miała przed oczami, a była to twarz niewątpliwie piękna.
Jakożes spadł z nieba, Lucyferze, któryś rano wschodził!
To nie Rathbone, to Edward, pełniący mało znaczącą funkcję, funkcję sekretarza, ale kontrolujący, planujący i kierujący, posługujący się figurantem - Rathbone'em, który ją ostrzegł, by się oddaliła póki czas.

I patrząc na tę piękną, złą twarz, poczuła, że jej cielący zachwyt gdzieś się ulotnił. Jej uczucie do Edwarda nigdy nie było miłością. Podobnie durzyła się kilka lat wcześniej w Humphreyu Bogarcie, a potem w diuku Edynburga. To było zauroczenie. I Edward nigdy nie kochał jej, Victorii. Swój wdzięk wykorzystywał w konkretnym celu. Wtedy w Londynie użył całego swego czaru, by ją poderwać, zrobił to w tak zwykły, naturalny sposób, że zakochała się bez żadnych oporów. Ale była naiwna!

Nie do wiary, ile skojarzeń może przelecieć przez umysł w przeciągu kilku sekund. I wcale nie trzeba się głęboko zastanawiać. To przychodzi samo. Pełna znajomość rzeczy, w mgnieniu oka. Może dlatego tak się dzieje, że w rzeczywistości siedzi to gdzieś głęboko w człowieku.

Jednocześnie jakiś instynkt samozachowawczy, szybki jak wszystkie procesy myślowe Victorii, kazał jej zachować głupkowaty, beznamiętny podziw na twarzy. Czuła bowiem instynktownie, że znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Tylko jedna rzecz mogła ją uratować, mogła zagrać tylko jedną kartą.

I natychmiast to zrobiła.

- Wiedziałeś od początku! - zawołała. - Wiedziałeś, że przyjeżdżam. Zorganizowałeś to. Och, Edwardzie, jesteś cudowny!

Jej twarz, ruchliwa i wymowna, wyrażała tylko jedno uczucie: niemal bałwochwalcze uwielbienie. I zaraz nastąpił odzew: lekko pogardliwy uśmiech ulgi. Mogłaby się za-

łożyć, że Edward mówi w duchu: "Co za idiotka! Wszystko przełknie. Mogę z nią zrobić, co zechcę".

- Jak ty to zrobiłaś? - spytała. - Musisz mieć wielką władzę. Musisz być zupełnie inny niż ten, za kogo się podajesz. Jesteś - sam to powiedziałeś - królem Babilonu.

Zobaczyła pychę malującą się na jego twarzy. Zobaczyła moc i siłę, i piękno, i okrucieństwo, które skrywał pod postacią skromnego, sympatycznego chłopca.

"A ja jestem tylko chrześcijańską niewolnicą" - pomyślała Victoria. I szybko, niecierpliwie, dokonała ostatniego pociągnięcia, by dokończyć dzieła (a ona jedna wiedziała, jakim się to odbyło kosztem). Zapytała:

- Ale przecież ty mnie kochasz, Edwardzie?

Jego pogarda była już niemal jawna. Ta mała idiotka, wszystkie kobiety są bezdennie głupie! Tak łatwo wierzą, że się je kocha, i tylko to im w głowie. Nie mają żadnych ideałów wielkiej sprawy, nowego świata, skomlą o miłość, to wszystko. Są niewolnicami i trzeba je traktować jak niewolnice, by osiągnąć własne cele.

- Oczywiście, że cię kocham - odparł.

- O co tu chodzi, Edwardzie? Powiesz mi? Chciałabym zrozumieć.

- To nowy świat, Victorio. Nowy świat, który powstanie na gruzach i popiołach starego.

- Opowiedz mi.

Opowiedział, a ona wbrew sobie dała się ponieść jak we śnie. Stare zło musi ulec zagładzie: z jednej strony brzuchaci podstarzali faceci gromadzący bogactwo, hamujący postęp, z drugiej bigoci-komuniści, głupcy usiłujący zaprowadzić marksistowski raj na ziemi. Musi dojść do wojny totalnej, totalnego zniszczenia. A potem - nowe niebo i nowa ziemia. I wybrańcy - grupa wyższych istot, naukowcy, eksperci od rolnictwa, od zarządzania, młodzi ludzie tacy jak Edward, młodzi Zygfydowie nowego świata, wierzący w swe przeznaczenie nadludzi. Kiedy nastąpi zniszczenie, wyjdą na pokład i przejmą ster.

Było to szaleństwo, ale szaleństwo realne. Taka rzecz mogła się zdarzyć w tym świecie pełnym wstrząsów, w stanie dezintegracji.

- A ci wszyscy - spytała Victoria - którzy muszą przedtem zginąć?

- Nic nie rozumiesz - powiedział Edward. - Oni się nie liczą.

Nie liczą się - oto credo Edwarda. I nagle, bez żadnego powodu, wspomnienia starej, zwykłej wazy sprzed trzech tysięcy lat, naprawianej masą bitumiczną, przemknęło przed oczami Victorii. Jakże, to się właśnie liczy - zwykłe codzienne sprzęty, rodzina, dla której trzeba gotować, cztery ściany domu, kilka ulubionych przedmiotów. Tysiące szarych ludzi, krzątających się wokół własnych spraw, uprawiających ziemię, robiących garnki, wychowujących dzieci, śmiejących się i płaczących, wstających rano i kładących się spać wieczorem. To oni się liczą, a nie przewrotni aniołowie, którzy chcą zbudować nowy świat, nie bacząc na cudzą krzywdę.

Ostrożnie, z wyczuciem, bo śmierć była tu, w Devonshire, tak blisko jak nigdy, Victoria powiedziała:

- Jesteś cudowny, Edwardzie. A co ze mną? Co ja mogę zrobić?

- Chcesz nam pomóc? Wierzysz w to? Uwaga, Victorio! Żadnych gwałtownych nawróceń, byle nie posunąć się za daleko.

- Chyba po prostu wierzę w ciebie! - zawołała. - Zrobię to, -eo ty mi każesz.

- Moja grzeczna dziewczynka.

- Powiedz mi przede wszystkim, dlaczego załatwiłeś mi przyjazd do Bagdadu? Przecież nie bez powodu?

- Oczywiście. Pamiętasz, zrobiłem ci wtedy zdjęcie.

- Pamiętam.

"Ty idiotko, jaka byłaś wtedy zadowolona, jak się wdzięczyłaś do obiektywu" - karciła się w duchu Victoria.

- Zaskoczył mnie twój wygląd z profilu, uderzające podobieństwo do pewnej osoby. Zrobiłem zdjęcie, żeby się upewnić.

- Do kogo jestem podobna?

- Do kobiety, która przysparza nam wielu kłopotów, do Anny Scheele.

- Do Anny Scheele! - Victoria szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. - Chcesz powiedzieć, że ona jest podobna do mnie?

- Uderzająco, z profilu. Zupełnie te same rysy. I jeszcze jeden niesamowity zbieg okoliczności: masz małą bliznę na górnej wardze z lewej strony...

- Tak, upadłam na blaszanego konika, kiedy byłam małą. Sterczało mu ostre ucho i porządnie rozciąłam sobie o nie wargę. Tego bardzo nie widać, zwłaszcza kiedy się upudruję.

- Anna Scheele ma znamię dokładnie w tym samym miejscu. J to jest wasza wspólna najcenniejsza cecha. Macie mniej więcej tę samą wagę i budowę, ona jest o parę lat starsza od ciebie. Tylko włosy macie inne, ty jesteś brunetką, ona blondynką. I zupełnie inne fryzury. Obie macie niebieskie oczy, ale twoje są ciemniejsze. To się da załatwić za pomocą ciemnych okularów.

- I dlatego chciałeś, żebym pojechała do Bagdadu. Bo jestem do niej podobna.

- Tak, uważałem, że to może nam się przydać.

- I wszystko załatwiłeś... a państwo Clipp... kim oni są?

- Nie mają żadnego znaczenia, robią, co im się każe.

W głosie Edwarda było coś takiego, że Victorię przeszedł dreszcz. Zupełnie jakby powiedział z nieludzką obojętnością: "obowiązuje ich posłuszeństwo".

Było coś religijnego w tej całej szaleńczej idei.

"Edward - pomyślała - jest sam dla siebie bogiem. I to jest przerażające".

- Nie rozumiem - odezwała się głośno Victoria - powiedziałaś, że Anna Scheele jest waszym przywódcą, waszą królową pszczół.

- Musiałem cię jakoś zmylić. I tak już za dużo wiedziałaś. "Gdybym nie była podobna do Anny Scheele - pomyślała Victoria - już by mnie nie było".

- Kim ona naprawdę jest? - spytała.

- Sekretarzem Ottona Morgenthala, Amerykanina, międzynarodowego bankiera. Ale na tym nie koniec. To wielki mózg finansowy. Podejrzewamy, że wykryła większość naszych finansowych operacji. Trzej ludzie byli dla nas niebezpieczni: Rupert Crofton Lee, Carmichael i Anna Scheele. Pierwszych dwóch się sprzątnęło, pozostaje Anna Scheele. Za trzy dni ma przyjechać do Bagdadu. Na razie zniknęła.

- Zniknęła? Gdzie?

- W Londynie. Wyparowała z powierzchni ziemi.

- Nikt nie wie, co się z nią stało?

- Może Dakin.

Ale Dakin nie wiedział. To było jasne dla Victorii, nie dla Edwarda. Gdzie zatem była Anna Scheele?

- I nic wam nie przychodzi do głowy?

- Owszem - powiedział powoli Edward.

- Co takiego?

- Anna Scheele musi być na konferencji w Bagdadzie, która, jak wiesz, ma się odbyć za pięć dni.

- Już za pięć dni? Nie miałam pojęcia.

- Sprawdziliśmy każdy przyjazd do Iraku. Na pewno nie wybiera się pod własnym nazwiskiem. Ani rządowym samolotem. Mamy swoje sposoby, żeby się tego dowiedzieć. Wchodzi w grę tylko indywidualna rezerwacja. W BOAC jest zabukowane miejsce na nazwisko Grete Harden. Ktoś taki nie istnieje. Adres jest fałszywy. Nazwisko fikcyjne. Uważamy, że Grete Harden to Anna Scheele.

I dodał:

- Ten samolot ląduje w Damaszku pojutrze.

- A potem?

Edward spojrzął jej głęboko w oczy.

- To zależy od ciebie, Victorio.

- Ode mnie?

- Wskoczysz na jej miejsce.

- Tak jak było z sir Rupertem Croftonem Lee? - spytała wolno Victoria, prawie szeptem. Po podstawieniu sobowtóra Rupert Crofton Lee został zabity. I kiedy Victoria zajmie miejsce Anny Scheele, Anna Scheele - lub Grete Harden - też zginie... Jeśli odmówi, Anna Scheele i tak zginie.

A Edward czekał. I jeśli na moment zwątpi w jej lojalność, wtedy zginie również Victoria i nawet nie będzie mogła nikogo ostrzec.

Nie, musi się zgodzić, może uda jej się przekazać wiadomość panu Dakinowi.

Wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała:

- Ja... ja... och, Edwardzie, ja nie potrafię. Rozpoznają mnie. Nie umiem mówić z amerykańskim akcentem.

- Anna Scheele nie ma praktycznie żadnego amerykańskiego akcentu. Zresztą będziesz chora na zapalenie krtani. Potwierdzi to jeden z najlepszych tutejszych lekarzy.

"Mają wszędzie swoich ludzi" - pomyślała.

- Co mam zrobić?

- Polecisz z Damaszku do Bagdadu jako Grete Harden. Zaraz się położysz do łóżka. Nasz słynny lekarz wypuści cię prosto na konferencję. Przedstawisz im przywiezione ze sobą dokumenty.

- Prawdziwe?

- Gdzieżby. Podmienimy je.

- Co będzie w dokumentach? Edward uśmiechnął się.

- O najbardziej zdumiewającej akcji komunistów w Ameryce, bardzo przekonujące informacje.

"Jak zręcznie to obmyślili" - stwierdziła w duchu Victoria. A głośno powiedziała:

- Naprawdę myślisz, że sobie poradzę, Edwardzie?

Teraz, kiedy wzięła już na siebie rolę, nie sprawiało jej żadnego problemu to pytanie i odegranie szczerego zaniepokojenia.

- Jestem tego pewien. Kiedy coś odgrywasz, czerpiesz z tego taką przyjemność, że po prostu nie można ci nie uwierzyć.

- Czuję się jak idiotka, kiedy pomyślę o państwie Hamilton Clipp - powiedziała w zamyśleniu.

Zaśmiała się z wyższością.

Victoria, wciąż patrząc z uwielbieniem na Edwarda, pomyślała złośliwie: "Ale ty byłeś ostatnim głupcem, kiedy wygadałeś się o biskupie. Gdyby nie to, nigdy bym cię nie przejrzała".

- A co z Rathbone'em? - spytała nagle.

- O co ci chodzi?

- Czy jest po prostu figurantem?

Twarz Edwarda wyrażała pogardę i okrucieństwo.

- Rathbone musi się trzymać wytycznych. Wiesz, co robił przez te wszystkie lata? Sprytnie przywłaszczał sobie trzy czwarte wpłat napływających z całego świata. To najzręczniejszy oszust od czasów Horatia Bottomleya. Rathbone jest całkowicie w naszych rękach, dobrze wie, że możemy go w każdej chwili zdemaskować.

Victoria poczuła nagle wdzięczność do człowieka o szlachetnym, myślącym czole, kierującego się niskimi pobudkami. Oszust, ale oszust o dobrym sercu, próbował ją namówić, by uciekła.

- Wszystko pracuje na nasz nowy ład - powiedział Edward.

A ona pomyślała: "Edward, który wygląda tak normalnie, jest szaleńcem. Może człowiek staje się szaleńcem, kiedy próbuje odgrywać rolę boga. Mówi się, że pokora jest cnotą chrześcijańską, teraz rozumiem dlaczego. Pokora pozwala zachować rozum i człowieczeństwo".

Edward wstał.

- Pora na nas - powiedział. - Musimy cię odtransportować do Damaszku, wszystko szykujemy na pojutrze.

Podniosła się skwapliwie. Kiedy znajdzie się z dala od Devonshire, znowu w Bagdadzie, wśród ludzi, w hotelu Tio, gdy uśmiechnięty, gadatliwy Marcus zaprosi ją na drinka, uporczywe, bliskie niebezpieczeństwo, zagrażające ze strony Edwarda, odsunie się trochę na dalszy plan. Przed nią podwójne zadanie: usypiać czujność Edwarda swym chorobliwym psim oddaniem, a cichaczem pokrzyżować mu plany.

- Więc myślisz, że Dakin wie, gdzie jest Anna Scheele? Mogłabym spróbować coś wywęszyć. Może Dakin czymś się zdradzi.

- Nie sądzę. Zresztą, nie zobaczysz się z Dakinem.

- Prosił, żebym przyszła do niego dziś wieczorem - skłamała Victoria i poczuła lekki chłód w całym ciele. - Jeszcze pomyśli, że coś mi się stało.

- Nieważne, co sobie teraz pomyśli Dakin - powiedział Edward. - Wszystko już gotowe. - I dodał: - Nie pojedziesz wcale do Bagdadu.

- Och, Edwardzie. Mam tam wszystkie rzeczy w Tio. Zarezerwowałam pokój. Szalik. Bezczenny szalik.

- Twoje rzeczy na razie nie będą potrzebne. Przygotowałem ci, co trzeba. Chodź.

Wsiadł do samochodu. Victoria myślała: "Powinnam była się domyślić, że Edward nigdy nie pozwoli mi skontaktować się z Dakinem po tym, co się stało. Uważa, że mam bzika na jego punkcie - tak, chyba w to nie wątpi - ale mimo wszystko nie zaryzykuje".

- A jeśli mnie zaczną szukać?
- Zajmiemy się tym. Oficjalnie puścimy wiadomość, że rozstaliśmy się na moście i że poszłaś do znajomych w zachodniej dzielnicy.

- A naprawdę?

- Przyjdzie pora, to się dowiesz.

Victoria siedziała w milczeniu. Samochód podskakiwał na wyboistej drodze, mijał gaje palmowe i małe mostki irygacyjne.

- Lefarge - mruknął Edward. - Chciałbym wiedzieć, kogo miał na myśli Carmichael. Victorii zabiło mocniej serce.

- Ach, zapomniałam ci powiedzieć. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Niejaki Lefarge pojawił się któregoś dnia w Tell Aswad.

- Co takiego? - Edward z podniecenia omal nie wypuścił z rąk kierownicy. - Kiedy?

- Jakiś tydzień temu. Mówił, że przyjeżdża z wykopalisk w Syrii. Od pana Parrot bodajże.

- Czy pokazali się tam u was tacy dwaj Francuzi, Andre i Juvet?

- Tak - odparła. - Jeden był chory na żołądek, poszedł do domu się położyć.

- To nasi ludzie - powiedział Edward.

- Dlaczego przyjechali? Po mnie?

- Nie, nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. Richard Baker był w Basrze w tym samym czasie co Carmichael. Chcieliśmy sprawdzić, czy Carmichael czegoś mu nie przekazał.

- Baker mówił, że przeszukano jego pokój. Znaleźliście coś?

- Nie. A teraz zastanów się, Victorio. Czy ten Lefarge pojawił się przed przyjazdem naszych ludzi czy potem?

Victoria udawała, że się zastanawia, w rzeczywistości rozważała różne możliwości dotyczące mitycznego Lefarge'a.

- Czekaj... było to... już wiem, na dzień przed ich przyjazdem.

- A co on robił?

- Poszedł zwiedzać wykopaliska z Pauncefoot Jonesem.

A potem Richard Baker zabrał go do domu i pokazywał różne rzeczy w antyka room.

- A więc poszedł do domu z Bakerem. Rozmawiali?

- Tak myślę - powiedziała Victoria. - Trudno, żeby się do siebie słowem nie odezwali, byłoby to dziwne, prawda?

- Lefarge - mruknął pod nosem Edward. - Kim jest Lefarge? I dlaczego nic o nim nie wiemy?

Victorię korciło, żeby powiedzieć: "To brat pani Harris", ale się powstrzymała. Była zadowolona, że wpadła na pomysł z Lefarge'em. Wyobraziła go sobie dokładnie: młody mężczyzna, suchy jak szkielet, z ciemnymi włosami i małym wąsikiem. Na pytanie Edwarda opisała go dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.

Jechali teraz przez przedmieścia Bagdadu. Edward skręcił w boczną ulicę, na której znajdowały się nowoczesne wille w pseudoeuropejskim stylu, z tarasami i ogródkami. Przed jednym z domów stał duży samochód turystyczny. Edward zaparkował tuż za nim, wysiedli i poszli po schodkach do drzwi frontowych.

Otworzyła im szczupła ciemnowłosa kobieta. Edward powiedział coś do niej szybko po francusku. Victoria nie знаła na tyle języka, by zrozumieć wszystko dokładnie, ale zorientowała się mniej więcej, o co chodzi: Edward mówił, że to jest właśnie ta dziewczyna i że trzeba natychmiast zmienić rzeczy.

Kobieta uprzejmie zwróciła się do Victorii po francusku:

- Pani pozwoli ze mną.

Zaprowadziła ją do sypialni, gdzie na łóżku leżał habit zakonny. Kobieta wskazała na strój i Victoria zaczęła się przebierać: włożyła sztywny wełniany spód i obszerną średniowieczną czarną szatę. Kobieta poprawiła jej nakrycie głowy. Victoria zerknęła w lustro. Jej twarz, mała i blada pod olbrzymim kwefem (czy tak to się nazywa?), z białymi fałdami pod brodą, wyglądała niewinnie i nieziemsko. Francuzka powiesiła jej na szyi drewniany różaniec. I na koniec buty, za duże ordynarne półbuty, w których Victoria powłóczyła nogami, wracając do Edwarda.

- Dobrze wyglądasz - powiedział z uznaniem. - Spuszczaj oczy, zwłaszcza przy mężczyznach.

Po chwili dołączyła do nich Francuzka w identycznym co Victoria stroju. Obie zakonnice wyszły z domu i wsiadły do samochodu turystycznego, w którym siedział już kierowca: ciemny, wysoki mężczyzna ubrany po europejsku.

- Teraz wszystko w twoich rękach, Victorio - powiedział Edward. - Masz robić dokładnie to, co ci mówiłem. W jego głosie dał się słyszeć twardy, groźny akcent.

- Nie jedziesz z nami, Edwardzie? - spytała błagalnie. Uśmiechnął się.

- Zobaczymy się za trzy dni - powiedział. I szepnął jej jeszcze w swój dawny, sugestywny sposób: - Liczę na ciebie, kochanie. Tylko ty możesz to zrobić. Kocham cię, Victorio. Nie odważ się pocałować zakonnicę, ale wierz mi, mam na to wielką ochotę.

Spuściła skromnie oczy, jak na zakonnicę przystało; w rzeczywistości musiała ukryć ogarniającą ją na moment

wściekłość.

"Ohydny judasz" - pomyślała.

I przybierając odpowiednią pozę, rzekła:

- Chyba tak powinna wyglądać chrześcijańska niewolnica.

- Grzeczna dziewczynka - stwierdził Edward. I dodał: -Nie martw się. Twoje dokumenty są bez zarzutu, nie przewiduję najmniejszych kłopotów na syryjskiej granicy. Pamiętaj, jesteś siostrą Marie des Anges. Siostra Therese, która ci towarzyszy, ma nad wszystkim pieczę, dokumenty są u niej. I, na litość boską, słuchaj rozkazów, bo jak nie, ostrzegam cię, odpowiesz nam za to.

Cofnął się o kilka kroków i pomachał wesoło ręką na pożegnanie. Samochód ruszył.

Victoria oparła się o siedzenie i przystąpiła do rozważania rozmaitych możliwości. Mogłaby, kiedy przejeżdżali przez Bagdad albo przy kontroli na granicy, wszczać alarm, krzyczeć o pomoc, wołać, że została porwana, słowem, stawić natychmiastowy opór.

Do czego by to jednak doprowadziło? Najprawdopodobniej oznaczałoby koniec Victorii Jones. Zauważyła, że siostra Therese wsunęła pod habit podręczny pistolet automatyczny. Victoria nie zdążyła pisać słówka.

Mogłaby poczekać do czasu przyjazdu do Damaszku. I tam wszczać alarm. Ale pewno czekałby ją ten sam los albo też kierowca i druga zakonnica zaprzeczyliby jej słowom. Mogliby na przykład przedstawić dowody, że jest niespełna rozumu.

Najlepsze zatem wyjście - to poddać się biegowi wydarzeń zgodnie z planem. Przyjechać do Bagdadu jako Anna Scheele, odegrać jej rolę. Przecież w końcu przyjdzie taki moment, że Edward straci kontrolę nad tym, co ona powie i zrobi. Jeśli dalej uda jej się nabierać Edwarda, że jest gotowa dla niego na wszystko, przyjdzie chwila, że stanie z fałszywymi dokumentami przed zgromadzeniem na konferencji i Edwarda tam nie będzie.

I nikt jej nie powstrzyma przed wystąpieniem: "Nie jestem Anną Scheele. Dokumenty są fałszywe, fakty zmyślone".

Edward chyba nie podejrzewał jej o takie zamiary. Próżność jest dziwnie zaślepiająca, pomyślała. Ta cecha była jego piętą achillesową. A przede wszystkim, Edward i jego ludzie musieli mieć jakąś Annę Scheele, mniej więcej podobną do prawdziwej, jeśli miał się powieść ich plan. Znaleźć dziewczynę podobną do Anny Scheele, łącznie z bliźną w odpowiednim miejscu, było rzeczą niezmiernie trudną. Victoria przypominała sobie, że w Lyons Mail Dubosc miał bliźnię nad okiem i zniekształcony palec u ręki. Jedną ułomność miał przez wypadek, a drugą od urodzenia. Takie zbiegi okoliczności zdarzają się niezmiernie rzadko. Tak, superman potrzebował stenotypistki Victorii Jones i Victoria Jones trzymała go w ręku, tym właśnie i niczym innym.

Samochód przejechał przez most. Victoria patrzyła tęsknie na Tygrys. Potem już pędzili szeroką zakurzoną autostradą. Siostra Marie des Anges przesuwiała w palcach paciorki różańca. Ich dźwięk działał uspokajająco.

"W końcu - myślała Victoria nagle podbudowana na duchu - jestem chrześcijanką. A jeśli się jest chrześcijaninem, to tysiąc razy lepiej być chrześcijaninem męczennikiem niż królem Babilonu. I wygląda na to, że jednak będę męczennicą. Cóż, tyle dobrego, że nie będzie lwów. Tego bym nie zniosła."

Rozdział dwudziesty trzeci

I

Wielki samolot poszybował w dół, wylądował idealnie. Kołował powoli po pasie startowym i zatrzymał się w wyznaczonym miejscu. Pasażerowie zaczęli wysiadać. Jadący do Basry poszli w jednym kierunku, udający się do Bagdadu w drugim.

Do Bagdadu leciały cztery osoby. Zamożnie wyglądający iracki przedsiębiorca, młody lekarz Anglik i dwie kobiety. Musieli przejść mnóstwo kontroli i pytań.

Na pierwszy ogień poszła ciemna kobieta ze zmęczoną twarzą i potarganymi włosami zawiniętymi nieporządnie w chustkę.

- Pani Pauncefoot Jones? Obywatelstwo brytyjskie? Dobrze. Jedzie pani do męża? Proszę podać adres w Bagdadzie. Jakie pieniądze... ? - I tak dalej.

Przyszła kolej na drugą kobietę.

- Grete Harden. Zgadza się. Obywatelstwo? Duńskie. Z Londynu. Cel podróży? Rehabilitantka? Adres w Bagdadzie? Pieniądze?

Grete Harden była szczupłą blondynką w ciemnych okularach z ledwie dostrzegalną bliźną nad górną wargą zatuszowaną warstwą pudru. Ubrana była schludnie i skromnie.

Jej francuski był kiepski, czasami trzeba było powtarzać pytania.

Czwórka pasażerów dowiedziała się, że samolot do Bagdadu wystartuje po południu, a na razie pojedą do hotelu Abbassid na lunch i odpoczynek.

Grete Harden siedziała na łóżku, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła, w drzwiach stała wysoka ciemna dziewczyna w mundurku BOAC.

- Przepraszam panią. Czy zechciałaby pani pójść ze mną do biura BOAC? Są jakieś kłopoty z pani biletem. Zaprowadzę panią.

Grete Harden poszła korytarzem za stewardesą. Na jednych drzwiach wisiała duża tabliczka ze złożonym napisem: "Biuro BOAC".

Stewardesa otworzyła drzwi i skinęła na Grete Harden, która weszła do środka. Dziewczyna z BOAC zamknęła na zewnątrz drzwi i szybko zdjęła tabliczkę.

Za drzwiami stało dwóch mężczyzn, którzy zarzucili Grete Harden jakiś materiał na głowę. Zakneblowali jej usta. Jeden z nich podwinął jej rękaw, wyjął strzykawkę i zrobił podskórny zastrzyk.

Kilka chwil potem ciało kobiety znieruchomiało.

Młody lekarz powiedział z zadowoleniem:

- Mamy z nią spokój na jakieś sześć godzin. Dalej, bierzcie się do roboty! - I skinął głową w stronę dwóch innych osób znajdujących się w pokoju.

Przy oknie siedziały dwie zakonnice. Mężczyźni wyszli. Starsza zakonnica podeszła do Grete Harden i zaczęła ściągać ubranie z jej nieruchomego ciała. Młodsza, drząc lekko, zdejmowała habit zakonny. Po chwili Grete Harden, w stroju zakonnicy, leżała spokojnie na łóżku, a obok stała młoda zakonnica przebrana w rzeczy Grete Harden.

Starsza zakonnica zajęła się jasnymi włosami swojej towarzyszki. Wyjęła fotografię, oparła ją o lustro i zabrała się do układania fryzury. Ściągnęła włosy z czoła, a nisko na szyi zrobiła węzeł.

Cofnęła się parę kroków i powiedziała po francusku:

- Zupełnie się pani zmieniła. Proszę włożyć ciemne okulary. Ma pani zbyt ciemnoniebieskie oczy. Tak, teraz świetnie. Rozległo się słabe pukanie do drzwi, mężczyźni wrócili. Szczęrzyli zęby w uśmiechu.

- Wszystko się zgadza. Grete Harden to Anna Scheele - powiedział jeden. - Ma dokumenty w walizce, ukryte starannie między kartkami duńskiej książki o rehabilitacji. A teraz, panno Harden - skłonił się ceremonialnie przed Victorią - czy zechce mi pani towarzyszyć na lunch?

Victoria wyszła za nim z pokoju i udali się do hallu, gdzie druga pasażerka do Bagdadu usiłowała wysłać telegram.

- Nie - mówiła. - PAUNCEFOOT. Doktor Pauncefoot Jones. Przyjeżdżam dziś hotel Tio. Do zobaczenia.

Victoria spojrzała na nią w przychylnym zainteresowaniu. Żona doktora Pauncefoot Jonesa jedzie do niego! Że było to tydzień wcześniej, nic w tym nadzwyczajnego. Pauncefoot Jones wciąż lamentował, że zgubił list żony podający datę przyjazdu; co prawda był prawie pewien, że miało to być dwudziestego szóstego.

Gdyby jakimś cudem mogła przekazać wiadomość Richardowi Bakerowi przez panią Pauncefoot Jones...

Towarzysz Victorii jakby czytał w jej myślach i pociągnął ją za łokieć w drugą stronę.

- Żadnych rozmów ze współpasażerami, panno Harden - powiedział. - Byłoby nie najlepiej, gdyby ta miła kobieta zorientowała się, że podróżuje teraz z inną osobą.

Wyprowadził ją z hotelu i udali się na lunch do restauracji. Kiedy wrócili, spotkali na schodach panią Pauncefoot Jones, która schodziła w dół. Uśmiechnęła się do Victorii bez cienia podejrzliwości.

- Była pani w mieście? - spytała. - Właśnie idę obejrzeć bazary.

"Jakby tu coś wsunąć jej do walizki?" - myślała Victoria.

Ale ani przez sekundę nie była sama.

Samolot do Bagdadu wystartował o trzeciej.

Pani Pauncefoot Jones siedziała na przedzie. Victoria miała miejsce z tyłu przy drzwiach, a przy wejściu siedział jej jasnowłosy anioł stróż. Nie miała najmniejszych szans, by dotrzeć do tamtej kobiety i podać jej jakąś wiadomość.

Lot nie trwał długo. Po raz drugi w życiu Victoria spoglądała z wysokości na miasto w dole, przecięte Tygrysem niczym złotym paskiem.

Leciała nad Bagdadem niecały miesiąc temu, że rzeczy się od tego czasu wydarzyło!

Za dwa dni dwaj mężowie stanu, reprezentujący dwie główne ideologie, zjadą tu, by toczyć rozmowy o przyszłości świata.

I ona, Victoria Jones, będzie mieć w tym swój udział.

n

- Wie pan - powiedział Richard Baker - niepokoję się o tę dziewczynę.

- Jaką dziewczynę? - spytał niepewnie doktor Pauncefoot Jones.

- O Victorię.

- A, Victoria! - Pauncefoot Jones rozejrział się dokoła. - Gdzie... och, mój Boże, nie wróciła wczoraj z nami.

- Byłem ciekaw, czy pan to zauważy - powiedział Richard.

- Co za gapa ze mnie. Tak się wciągnąłem w ten raport wykopalisk w Tell Bamdar! Zupełnie zaburzony układ stratygraficzny! Czyżby nie mogła znaleźć naszej ciężarówki?

- Jej powrót tutaj nie wchodził w grę - rzekł Richard. -A w ogóle, ona nie jest Venetią Savile.

- Nie jest Venetią Savile? Bardzo dziwne. Sam pan przecież mówił, że ma na imię Victoria.

- Tak, to się zgadza. Ale nie jest antropologiem. I nie zna Emersona. Prawdę powiedziawszy, cała sprawa jest... cóż... nieporozumieniem.

- Boże drogi, to rzeczywiście bardzo dziwne. - I Pauncefoot Jones zastanowił się głęboko. - Bardzo dziwne. Mam nadzieję... czy to moja wina? Wiem, jestem trochę roztargniony. Może nie ten list?

- Nie rozumiem - powiedział Richard Baker, marszcząc brwi i nie zwracając uwagi na rozważania doktora Pauncefoot Jonesa. - Pojechała, zdaje się, gdzieś samochodem z jakimś młodym człowiekiem i nie wróciła. Co więcej, przywieziono jej rzeczy i nawet nie zajrzała do walizek. To wszystko mi się nie podoba, zważywszy cały ten bigos, jakiego narobiła. Że też nie chciała się przebrać?... I byliśmy umówieni na lunch. Nie, nie rozumiem. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Na pewno nie - pocieszył go Pauncefoot Jones. - Jutro zaczynam poziom H. Liczę na jakąś rewelację. Ten fragment tabliczki jest bardzo obiecujący.

- Porwali ją raz - ciągnął swoje Richard. - Dlaczego nie mieliby tego zrobić po raz drugi?

- Nieprawdopodobne, bardzo nieprawdopodobne - powiedział doktor Pauncefoot Jones. - W kraju jest teraz zupełnie spokojnie. Sam pan to mówił.

- Gdybym mógł sobie przypomnieć nazwisko tego człowieka z towarzystwa naftowego. Może Deacon? Deacon, Dakin? Coś takiego.

- Nigdy o nim nie słyszałem - stwierdził Pauncefoot Jones. Chyba zostawię Mustafę i jego bandę i przejdę do północno-wschodniego narożnika. Potem moglibyśmy przedłużyć poziom J...

- Czy będzie pan mi miał bardzo za złe, jeśli pojedę jutro do Bagdadu?

Doktor Pauncefoot Jones spojrzał teraz z całą uwagą na swego kolegę.

- Jutro? Ależ byliśmy tam zaledwie wczoraj.

- Niepokoję się o tę dziewczynę. Bardzo.

- Wielki Boże, Richardzie, nie miałem pojęcia, że to tego rodzaju historia.

- Jakiego rodzaju?

- Uczuciowa. Nie ma nic gorszego niż kobiety na wykopaliskach, a zwłaszcza ładne. Wtedy, dwa lata temu, byłem przekonany, że nic nam nie grozi ze strony Sybil Muirfield, rozpaczliwie brzydka dziewczyna. I co z tego wyszło? Powinienem był słuchać Claude'a w Londynie, ci Francuzi potrafią trafić w sedno. Pamiętam, jak wyrażał się o jej nogach, z całym entuzjazmem. Tak, tak, ta nasza Victoria czy Venetia, czy jak jej tam w końcu, jest bardzo ładna, urocze stworzenie. Ma pan dobry gust, gratuluję. Zabawne, to pierwsza dziewczyna, którą się pan zainteresował, odkąd się znamy.

- Nie ma tu żadnej tego rodzaju historii - powiedział czerwieniąc się Richard, z jeszcze wynioślejszym niż zazwyczaj wyrazem twarzy. - Po prostu... eee... niepokoję się. Muszę jechać do Bagdadu.

- Cóż, jeśli pan jutro jedzie - powiedział Pauncefoot Jones - może pan przywieźć te zapasowe kilofy. Ten idiota kierowca zapomniał ich zabrać.

Richard wyruszył do Bagdadu o świcie i po przyjeździe na miejsce udał się prosto do hotelu Tio. Dowiedział się, że Victoria nie wróciła.

- Byliśmy umówieni na kolację - mówił Marcus. -I miałem dla niej bardzo ładny pokój. To dziwne, prawda?

- Zawiadomił pan policję?

- Och, nie, to nie byłoby w porządku. To nie w jej stylu. A na pewno nie w moim.

Richard szybko dowiedział się, kim jest Dakin, i poszedł do jego biura.

Pamięć go nie zawiodła. Miał przed sobą przygarbionego człowieka z niezdecydowaną twarzą i lekko drżącymi dłońmi. Ofiara losu! Richard przeprosił Dakina, że zabiera mu czas, ale chciałby się dowiedzieć, czy pan Dakin widział ostatnio Victorię Jones.

- Była u mnie przedwczoraj.

- Mógłby mi pan podać jej adres?

- Jest chyba w hotelu Tio.

- Są tam jej rzeczy, ale Victorii nie ma. Dakin lekko unióś brwi.

- Pracowała z nami na wykopaliskach w Tell Aswad -wyjaśnił Richard.

- Aha. Cóż, obawiam się, że niewiele panu pomogę. Z tego, co wiem, ma kilku znajomych w Bagdadzie, ale nie znam jej na tyle, by powiedzieć panu coś bliższego.

- Czy może być w Gałazce Oliwnej?

- Nie sądzę. Ale proszę się dowiedzieć.

- Nie ruszę się z Bagdadu, póki jej nie znajdę, niech pan to sobie zapamięta! - powiedział Richard i patrząc z wściekłością na Dakina, wybiegł z pokoju.

Kiedy za Richardem zamknęły się drzwi, Dakin uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Oj, Victorio, Victorio - szepnął z wyrzutem. Richard wpadł jak burza do hotelu Tio, prosto na promiennego Marcusa.

- Wróciła! - krzyknął gwałtownie Richard.

- Nie, nie, chodzi o panią Pauncefoot Jones. Dowiedziałem się, że dzisiaj przylatuje. Doktor Pauncefoot Jones wspominał o przyszłym tygodniu.

- On zawsze mylił daty. A co z Victorią Jones? Twarz Marcusa stała się znowu poważna.

- Żadnych wiadomości. Nie podoba mi się to, panie Baker. To brzydka sprawa. Taka młoda dziewczyna! I taka ładna. I wesoła, i urocza.

- Tak, tak... - Richard nie chciał podjąć tematu. - Chyba zaczekam, żeby przywitać się z panią Pauncefoot Jones.

Na miłość boską, co mogło się stać z Victorią?

m

- Ty tutaj! - zawołała Victoria, nie ukrywając wrogości. Pierwszą osobą, na którą nadziała się w pokoju w Babylonian Pałace, była Catherine.

Catherine pokiwała głową i odparła równie jadowniczo:

- A tak. To ja. A teraz proszę się położyć. Zaraz przyjdzie lekarz.

Catherine miała na sobie strój pielęgniarki. Poważnie traktowała swoją rolę, wyraźnie zdecydowana nieprzerwanie stać u boku Victorii. Victoria smętnie jęknęła z łóżka:

- Gdyby tu był Edward...

- Edward, Edward! - powiedziała Catherine z wyższością. - Edward nigdy o ciebie nie dbał, ty głupia Angieleczko. On mnie kocha!

Victoria spoglądała na zaciętą, fanatyczną twarz Catherine bez cienia entuzjazmu.

Catherine mówiła dalej:

- Zawsze cię nienawidziłam, od pierwszej chwili, kiedy przysłałaś i zażądałaś bez ceregieli widzenia z doktorem Rathbone'em.

Victoria nie pozostała jej dłużna i natychmiast wetknęła swoją szpileczkę:

- Mów sobie, co chcesz, a ja i tak jestem sto razy ważniejsza od ciebie. Pierwsza lepsza dziewczyna może zagrać rolę pielęgniarki. A na mnie opiera się wszystko.

Catherine zrobiła mądrą minkę.

- Nie ma ludzi niezastąpionych. Tak nas uczą - powiedziała.

- Ja jestem. Na litość boską zamów mi coś porządnego do jedzenia. Wyobrażasz sobie, że dobrze odegram rolę sekretarza amerykańskiego bankiera z pustym brzuchem?

- A jedz sobie, jedz... póki możesz - powiedziała złośliwie Catherine.

Victoria nie zwróciła uwagi na złowieszczą wymowę tego zdania.

IV

- Dowiedziałem się, że zatrzymała się u was panna Harden? - kapitan Crosbie zwrócił się do uprzejmie wyglądającego recepcjonisty w Babylonian Pałace.

- Tak, proszę pana. Przyjechała z Anglii - skinął głową urzędnik.

- To przyjaciółka mojej siostry. Czy mógłbym prosić o przekazanie jej mojej wizytówki?

Napisał kilka słów na wizytówce i włożył ją do koperty. Boy hotelowy zabrał kopertę i po chwili wrócił.

- Pani źle się czuje, sir. Bardzo boli gardło. Zaraz przyjdzie lekarz. Jest pielęgniarka.

Crosbie zawrócił na pięcie. Skierował swe kroki do Tio. Tam zaczął go Marcus.

- A, witam. Napijmy się. Tłok dziś w hotelu. Przez tę konferencję. Jaka szkoda, że doktor Pauncefoot Jones wrócił przedwczoraj na wykopaliska, dzisiaj przyjechała jego żona, a jego nie ma. Wcale nie jest z tego zadowolona, ani trochę! Mówi, że zawiadomiła go o przylocie. Ale wie pan, jaki on jest. Daty zawsze mu się plączą. Ale to bardzo miły człowiek - zakończył jak zawsze dobrodusznie Marcus. - Musiałem ją gdzieś wcisnąć... mam tu bardzo ważnego faceta z ONZ...

- Bagdad zupełnie zwariował.

- Wszyscy ci policjanci, których ściągnięto... stan pogotowia... Słyszał pan, że szykuje się zamach komunistyczny na prezydenta? Zaaresztowano sześćdziesięciu pięciu studentów. Widział pan rosyjskich policjantów? Bardzo podejrzliwi. Za to interesy idą jak złoto.

V

Zadzwoił telefon i natychmiast podniesiono słuchawkę.

- Słucham. Ambasada Amerykańska.

- Tu Babylonian Pałace. Jest u nas pani Anna Scheele.

- Anna Scheele? Teraz mówił attache. Czy może podejść do aparatu?

- Pani Scheele leży w łóżku z zapaleniem krtani. Mówi doktor Smallbrook. Jestem lekarzem pani Scheele. Ona ma ze

sobą ważne dokumenty i prosi, żeby przyszedł po nie ktoś odpowiedzialny z ambasady. Zaraz? Dziękuję. Czekam na pana.

VI

Victoria przejrzała się w lustrze: dobrze skrojony kostium, blond włosy w idealnym porządku. Była podekscytowana, w dobrym nastroju.

Kiedy odwróciła się, dostrzegła triumfalny błysk w oczach Catherine. Poczula niepokój. Skąd u Catherine ten triumf? O co chodzi?

- Z czego się tak cieszysz?

- Wkrótce się przekonasz.

Catherine nie ukrywała złośliwej radości.

- Taka z ciebie mądra! - powiedziała pogardliwie Catherine. - Myślisz, że wszystko od ciebie zależy. Jesteś po prostu głupia, i tyle.

Victoria jednym susem przyskoczyła do Catherine, schwyciła ją za ramię, wpijając paznokcie w ciało.

- Ty zarazo! Gadaj, ale już!

- Puść, boli!

- Gadaj...

Rozległo się pukanie do drzwi. Jedno, zaraz potem drugie, przerwa i pojedyncze.

- Zaraz zobaczysz! - wrzasnęła Catherine.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wśliznął się jakiś człowiek. Wysoki mężczyzna w mundurze międzynarodowej policji. Zamknął za sobą drzwi i wyjął klucz z zamka. Podeszedł do Catherine.

- Szybko! - powiedział.

Wyjął z kieszeni zwój grubego sznura i przy współpracy Catherine przywiązał ją błyskawicznie do krzesła. Następnie umocował jej na ustach szalik. Cofnął się o parę kroków i pokiwał z uznaniem głową.

- Doskonale, to wystarczy.

Po czym odwrócił się w stronę Victorii. Zobaczyła ciężką pałkę, którą wywijał w rękę, i zrozumiała nagle, jakie są naprawdę ich zamiary. Nie miała odegrać roli Anny Scheele na konferencji, takiego planu nigdy nie było. Jakże by mogli ryzykować coś takiego? Victoria była zbyt znana w Bagdadzie. Nie, plan był zupełnie inny, od samego początku: zamierzali w ostatniej chwili zabić Annę Scheele, zabić w taki sposób, żeby trudno ją było po śmierci zidentyfikować... Miały pozostać tylko papiery, które przywiozła, starannie sfalszowane papiery.

Victoria podbiegła do okna, wrzasnęła. Mężczyzna zbliżał się do niej z uśmiechem na ustach.

Potem wydarzenia nastąpiły jedne po drugich: trzask tłuczonego szkła, czyjaś ręka, upadek, gwiazdy w oczach, ciemność... I w ciemności głos, kojące słowa po angielsku:

- Nic się pani nie stało? Victoria coś wymamrotała.

- Co ona mówi? - spytał drugi głos. Człowiek, który odezwał się pierwszy, odparł, drapiąc się w głowę:

- Że lepiej być władcą w niebiosach niż sługą w piekle - powiedział niepewnie.

- To cytat - stwierdził drugi. I dodał: - Tylko przekreśliła go.

- Nie - powiedziała Victoria i zemdląca.

VII

Zadzwoił telefon i Dakin podniósł słuchawkę.

- Operacja "Victoria" zakończona pomyślnie - zameldowano.

- W porządku - rzekł Dakin.

- Mamy Catherine Serakis i lekarza. Drugi facet rzucił się z balkonu. Stan ciężki.

- Nic się nie stało dziewczynie?

- Zemdląca, ale czuje się dobrze.

- Nie ma wiadomości o prawdziwej A. S.?

- Nic nowego.

Dakin odłożył słuchawkę.

Victorii nic się nie stało, Anna, cóż, pewno nie żyje. Chciała działać na własną rękę, zapewniała, że niezawodnie stawi się w Bagdadzie dziewiętnastego.

Dziewiętnasty był dzisiaj, a Anna Scheele jak nie było, tak nie ma. Może i miała rację, że nie ufała organizacji, trudno powiedzieć. Na pewno były przecieki. W każdym razie własny koncept też okazał się zawodny...

A bez Anny Scheele zabraknie ostatecznego dowodu.

Wszedł goniec z karteczką od Richarda Bakera i pani Pauncefoot Jones.

- Nikogo nie przyjmuję - powiedział Dakin. - Proszę im powiedzieć, że przepraszam, ale jestem zajęty.

Goniec wrócił po chwili i wręczył Dakinowi kopertę.

Dakin otworzył liścik i przeczytał:

“Chcę się z panem spotkać w sprawie Henry'ego Carmichaela. R. B.”

- Proszę wprowadzić.

Pani Pauncefoot Jones i Richard Baker weszli do pokoju. Pierwszy odezwał się Baker:

- Nie chciałbym panu przeszkadzać, ale chodziłem do szkoły razem z Henrym Carmichaeliem. Straciliśmy się z oczu na wiele lat, a kiedy byłem kilka tygodni temu w Ba-srze, spotkałem go w poczekalni konsulatu. Zaatakował go człowiek z rewolwerem, udało mi się wytrącić mu broń z ręki. Carmichael uciekł, zanim to jednak zrobił, wsunął mi do kieszeni pewną rzecz, którą odkryłem później. Wydawało mi się, że to nic ważnego, zwykły świstek z nazwiskiem Ahmed Mohammed. Założyłem jednak, że dla Carmichaela to było ważne. Nie dał mi żadnych instrukcji, zachowałem tę karteczkę w przekonaniu, że kiedyś się po nią zgłosi. Potem dowiedziałem się od Victorii Jones, że Carmichael nie żyje. Na podstawie innych jej informacji doszedłem do wniosku, że pan jest człowiekiem, któremu należy tę rzecz przekazać.

Wstał i położył na biurku Dakina brudną kartkę.

- Czy coś to panu mówi? Dakin głęboko odetchnął.

- Tak - odparł. - Więcej, niż pan sądzi. Wstał.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, panie Baker - powiedział. - Proszę mi wybaczyć, że nie mogę dłużej z państwem rozmawiać, ale mam wiele spraw i ani minuty do stracenia. - Podał rękę pani Pauncefoot Jones. - Pewno jedzie pani do męża na wykopaliska. Życzę powodzenia.

- Dobrze się złożyło, że doktor Pauncefoot Jones nie przyjechał ze mną dzisiaj do Bagdadu - powiedział Richard. - Pocziwy John Pauncefoot Jones nie zwraca większej uwagi na to, co się dzieje wkoło, ale chyba odróżniłby własną żonę od szwagierki.

Dakin spojrział z lekkim zdziwieniem na panią Pauncefoot Jones. Niskim, miłym głosem powiedziała:

- Moja siostra Elsie jest jeszcze w Anglii. Ufarbowałam włosy na czarno i przyjechałam na jej paszport. Panieńskie nazwisko siostry jest Scheele. Elsie Scheele. Ja nazywam się Anna Scheele.

Rozdział dwudziesty czwarty

Bagdad był innym miastem. Obstawiono ulice sprowadzonymi tu specjalnie oddziałami międzynarodowej policji. Amerykańscy i rosyjscy policjanci, z nieruchomymi twarzami, stali ramię przy ramieniu.

Nie ustawały plotki, że nie zjawi się żaden z Wielkiej Dwójki. Dwa razy lądował pod eskortą rosyjski samolot i za każdym razem na pokładzie był tylko młody rosyjski pilot.

Wreszcie rozeszła się jednak wiadomość, że wszystko w porządku. Prezydent Stanów Zjednoczonych i rosyjski przywódca znajdowali się już w Bagdadzie. W Regensf Pałace.

Rozpoczęła się historyczna konferencja.

W małym salonie działy się rzeczy, które mogły zmienić bieg historii. Jak zawsze przy doniosłych wydarzeniach sprawozdania nie miały w sobie nic dramatycznego.

Doktor Alan Breck z Harwell Atomie Institute złożył raport zdawkowo i zwięźle.

Zmarły sir Rupert Crofton Lee zostawił mu do analizy pewne próbki. Uzyskał je w czasie jednej ze swych wypraw przez Chiny, Turkiestan i Kurdystan do Iraku. Oświadczenie doktora Brecka zawierało czysto techniczne szczegóły. Rudy metali... wysoka zawartość uranu... Umiejscowienie złóż dokładnie nieznane, ponieważ notatki i dziennik sir Ruperta zostały zniszczone w czasie wojny przez nieprzyjaciela.

Następnie wystąpił Dakin. Łagodnym, znużonym głosem opowiedział sagę Henry'ego Carmichaela, o tym, jak uwierzył w pogłoski i dziwne opowieści o fantastycznych instalacjach i podziemnych laboratoriach w odległej dolinie poza zasięgiem cywilizacji. O jego poszukiwaniach uwieńczonych sukcesem. I jak wielki podróżnik, sir Rupert Crofton Lee, znawca tamtych stron, uwierzył Carmichaelowi, zgodził się przyjechać do Bagdadu, i o tym, jak zginął. I jak zginął Carmichael z rąk sobowtóra sir Ruperta.

Sir Rupert i Henry Carmichael nie żyją. Jest jednak trzeci świadek, żyjący i tutaj obecny. Pani Anna Scheele przedstawi za chwilę swoje świadectwo.

Anna Scheele, równie spokojna i opanowana jak w biurze Morganthala, podała wykaz nazwisk i cyfr. Z niezwykłym znanstwem spraw finansowych przedstawiła rozbudowaną siatkę, która wycofywała pieniądze z obiegu i finansowała działalność zmierzającą do podziału cywilizowanego świata na dwa zwalczające się obozy. Nie były to puste słowa. Przedstawiła fakty i cyfry. Przekonała tych, którzy jeszcze wątpili w niesłychaną opowieść o Carmichaelu.

Dakin znowu zabrał głos.

- Henry Carmichael nie żyje. Ale przywiózł ze swej desperackiej wyprawy namacalne, niezbite dowody. Nie mógł ich trzymać przy sobie, bo wróg mu deptał po piętach. Miał jednak wielu przyjaciół. Za pośrednictwem dwóch z nich

przesłał dowody w bezpieczne ręce, także swojego przyjaciela, człowieka, który cieszy się poszanowaniem i estymą w całym Iraku. Łaskawie zgodził się on być tutaj dzisiaj z nami. To szejch Hussein el Ziyara z Karbali.

Jak powiedział Dakin, szejch Hussein el Ziyara był zna-

na powszechnie postacią w świecie muzułmańskim. Uchodził za świętobliwego człowieka i wielkiego poetę. Wielu ludzi uważało go za świętego. Wstał teraz z miejsca i wszyscy patrzyli na tę imponującą postać z ciemnobrązową, pofarbowaną henną brodą. Ubrany był w szarą marynarkę wykończoną po brzegach złotą lamówką i powiewny brązowy płaszcz misternej jak pajęczyna roboty. Na głowie miał zawój z zielonego materiału, ozdobiony sznurkami ciężkich złotych agali, który nadawał mu patriarchalny wygląd. Głos miał głęboki i dźwięczny.

- Henry Carmichael był moim przyjacielem - przemówił. - Znałem go jako chłopca, zgłębiał wraz ze mną wiersze naszych wielkich poetów. Dwóch ludzi przyjechało pewnego razu do Karbali. Jeździli po kraju z wędrownym kinem. To prości ludzie, ale godni wyznawcy Proroka. Przynieśli paczkę i powiedzieli, że to od mojego przyjaciela, Anglika Carmichaela, który prosił, żeby ją oddać w moje ręce. Miałem ją trzymać w ukryciu, zabezpieczyć i oddać tylko Carmichaelowi, bądź posłańcowi, który powie pewne słowa. Wypowiedz je tedy, jeśliś rzeczywiście owym posłańcem, mój synu.

Dakin powiedział:

- Sayyid, arabski poeta Mutanabbi, "pretendent do roli proroka", żyjący tysiąc lat temu, napisał odę do księcia Sayfu'l-Dawla z Aleppo, w której głosi te oto słowa: "Zid hash-shi bashshi tafaddal adni surra sili".

Szejch Hussein el Ziyara podał z uśmiechem paczkę Da-kinowi.

- Mowę, jak książę Sayfu'l-Dawla: "Spełni się twoje pragnienie... "

- Proszę państwa - powiedział Dakin. - Oto mikrofilmy, które przywiózł Carmichael na dowód swej relacji...

Wystąpił jeszcze jeden świadek: tragiczna postać, stary, załamany mężczyzna o pięknym szlachetnym czole, niegdyś podziwiany i darzony powszechnym szacunkiem.

Przemawiał z tragiczną godnością.

- Proszę państwa - zaczął. - Stanę wkrótce na ławie oskarżonych jako zwykły oszust. Dzieją się jednak rzeczy, których nawet ja popierać nie mogę. Istnieje grupa, złożona przeważnie z młodych ludzi, których dusze są podłe, a cele tak niskie, że wprost trudno w to uwierzyć.

Podniósł głowę i zawołał wielkim głosem:

- Antychryst! Trzeba powiedzieć stop! Musimy osiągnąć pokój, zabić rany, stworzyć nowy ład i aby to uczynić, musimy się rozumieć nawzajem. Wszedłem w tryby maszyny do robienia pieniędzy, ale, przysięgam na Boga, uwierzyłem w końcu w to, do czego wzywałem, chociaż nie bronię moich metod. Na Boga, zacznijmy od początku, pójdźmy razem...

Nastąpiła chwila milczenia, po czym wysoki urzędowy głos, bezosobowy, bezbarwny i biurokratyczny, oznajmił:

- Fakty te zostaną przedłożone Prezydentowi Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz pierwszemu sekretarzowi Związku Radzieckiego...

Rozdział dwudziesty piąty

Wie pan, co mnie trapi - powiedziała Victoria. - Ta biedna Dunka zabita przez pomyłkę w Damaszku.

- Nic jej się nie stało - uspokoił ją Dakin. - Zaraz po wystartowaniu pani samolotu zatrzymaliśmy tę Francuzkę i zawieźliśmy Grete Harden do szpitala. Szybko przyszła do siebie. Zamierzali ją trzymać pod narkozą do czasu zakończenia sprawy bagdadzkiej. To jedna z naszych, jak może się pani domyśleć.

- Ach tak?

- Tak. Anna Scheele zniknęła, więc uważaliśmy, że dobrze dać przeciwnikowi trochę do myślenia. Zarezerwowaliśmy przelot Grete Harden i specjalnie stworzyliśmy fałszywe pozory. Złapali się na to, doszli do wniosku, że Grete Harden to Anna Scheele. Na dowód miała ze sobą cały pakiecik podrobionych dokumentów.

- A prawdziwa Anna Scheele siedziała sobie spokojnie w lecznicy u boku siostry, czekając na wyjazd pani Pauncefoot do męża?

- Tak. Proste i skuteczne. Wyszła z założenia, że w trud-

nych chwilach można liczyć tylko na własną rodzinę. To wyjątkowo bystra kobieta.

- Naprawdę myślałam, że mam odegrać jej rolę - powiedziała Victoria. - Czy pana ludzie rzeczywiście mieli mnie cały czas na oku?

- Tak. Bez przerwy. Pani Edward nie był taki mądry, za jakiego się uważał. Prawdę powiedziawszy, obserwowaliśmy Edwarda Goringa już od jakiegoś czasu. Gdy mi pani powiedziała o sobie, tej nocy, kiedy zginął Carmichael, bardzo się zaniepokoiłem. I doszedłem do wniosku, że najlepiej wciągnąć panią do siatki jako szpiega. Jeśli Edward dowie się, że jest pani ze mną w kontakcie, będzie pani względnie bezpieczna, bo przez panią uzyska informacje o nas. Tak cennych osób się nie likwiduje. Poza tym mógł przekazać nam przez panią fałszywe wiadomości. Była więc pani

łącznikiem. Odkryła pani jednak sobowtóra sir Ruperta Croftona Lee i Edward zdecydował, że trzeba trzymać panią z daleka do czasu, kiedy będzie pani potrzebna (jeśli w ogóle) do odegrania roli Anny Scheele. Tak, tak, Yic-torio, ma pani szczęście, że może pani sobie teraz siedzieć spokojnie i zająć pistacjowe orzeszki.

- Wiem o tym.

- Niech mi pani powie, dziecino, czy bardzo przeżywa pani sprawę Edwarda? - spytał Dakin.

- Wcale - rzekła pewnym głosem Victoria. - Byłam głupią gąską. Dałam mu się poderwać, zawrócił mi w głowie. Durzyłam się w nim jak uczennica, wyobrażałam sobie, że jestem Julią, tego rodzaju głupoty.

- Niech się pani nie tłumaczy. Edward ma w sobie coś nieodpartego dla kobiet.

- Tak, nabrałam się na to.

- Niewątpliwie dała mu się pani oczarować.

- Jak następnym razem się zakocham - powiedziała Victoria - nie będę kierować się wyglądem czy wdziękiem. To będzie prawdziwy mężczyzna, nie taki, który prawi słodkie słówka. Może sobie być łysy czy nosić okulary. Musi być przede wszystkim ciekawym człowiekiem, znać się na ciekawych rzeczach.

- Ile ma mieć lat, trzydzieści pięć czy pięćdziesiąt pięć? Victoria spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jednak trzydzieści pięć.

- To Bogu dzięki. Przez chwilę myślałem, że mnie pani składa propozycję. Victoria zaśmiała się.

- Wiem, że nie powinnam zadawać pytań - powiedziała

- ale czy była jakaś wiadomość ukryta w szaliku?

- Nazwisko. Les tñcoteuses, do których należała madame Defarge, udziergały na drutach listę nazwisk. Szalik i świstek papieru Carmichaela składały się na klucz. Jedna część klucza to nazwisko szejcha Husseina el Ziyara z Karbali. Po zastosowaniu pary jodu uzyskaliśmy słowa stanowiące drugą część klucza, które skłoniły szejcha do oddania nam depozytu. To była najbezpieczniejsza kryjówka - święte miasto Karbala.

- A paczkę przenieśli dwaj ludzie z kinem, ci, których spotkałam na pustyni?

- Tak. Dwaj zwykli ludzie znani tutejszym mieszkańcom. Niezwiązani z polityką. Po prostu przyjaciele Carmichaela. On miał wielu przyjaciół.

- To musiał być bardzo miły człowiek. Szkoda, że nie żyje.

- Wszyscy kiedyś musimy umrzeć - powiedział Dakin.

- A jeśli jest jakieś inne życie, w co głęboko wierzę, Carmichael będzie miał satysfakcję, widząc, że jego wiara i odwaga zrobiły więcej niż cokolwiek innego, by ratować ten nieszczęsny świat przed przelewem krwi i katastrofą.

- Jakie to dziwne - powiedziała Victoria w zamyśleniu. - Richard Baker miał jedną połowę tajemnicy, a ja miałam drugą połowę... Zupełnie jakby...

- Jakby tak właśnie miało być - dokończył Dakin, mrużąc oko. - A co teraz zamierza pani z sobą zrobić?

- Muszę poszukać jakiejś pracy - powiedziała. - Trzeba się rozejrzeć.

- Niech się pani zbytnio nie rozgląda - poradził Dakin.

- Wydaje mi się, że praca sama idzie do pani.

I Dakin usunął się dyskretnie, w momencie kiedy pojawił się Richard Baker.

- Niech pani posłucha, Victorio - powiedział Richard.

- Venetia Savile koniec końców nie przyjeżdża. Zdaje się, że ma świnkę. Bardzo nam się pani przydała na wykopaliskach. Czy chciałaby pani wrócić? Niestety, możemy pani dać tylko utrzymanie. I ewentualnie opłacić powrót do Anglii, ale o tym jeszcze porozmawiamy. Pani Pauncefoot Jones przyjeżdża w przyszłym tygodniu. Co pani na to?

- Och, czy naprawdę mnie chcecie? - zawołała. Richard Baker zaczerwienił się nagle po uszy. Zakaszłał i wytarł pincenez.

- Myślę - mruknął - że... hm... będzie nam pani potrzebna.

- Cudownie - powiedziała.

- W takim razie, niech pani idzie po rzeczy, zaraz wyjeżdżamy. Chyba nie chce pani szwendać się po Bagdadzie?

- Ani trochę - stwierdziła Victoria.

- A, jest Veronica - powiedział doktor Pauncefoot Jones.

- Richard się bardzo o panią martwił. Tak, tak, mam nadzieję, że będziecie naprawdę szczęśliwi.

- O czym on mówi? - spytała Victoria ze zdziwieniem, kiedy doktor Pauncefoot Jones się oddalił.

- Och, nic takiego - odparł Richard. - Wie pani, jak to z nim bywa. Trochę się pospieszył, to wszystko.